



Alexandre Jardin



**Autobiografia
pewnej miłości**

*Najpiękniejsze szaleństwo nie polega na tym, żeby kochać,
tylko pozwolić się kochać.*

Jacques Salomé

TLR

I

Popatrz w oczy, które dzięki tobie nauczyły się patrzeć.

Christiane Singer

Gdzie jest prawdziwe życie? To pytanie młodzieńca, który odrzuca wszelkie rozcieńczone emocje, nieustannie wiodło Alexandre'a Rivière'a w stronę kobiet. Miłość nigdy nie była wytchnieniem, raczej jedynym sensownym pretekstem, pozwalającym na kontynuowanie egzystencji, jednym z rzadkich narkotyków zdolnych złagodzić jego radosny pesymizm.

Bardzo wczesnie odczuł niesmak, że w ogóle się urodził, jedynie ów przemożny pociąg do płci odmiennej podnosił go na duchu. Rivière, więzień publicznie demonstrowanej pogody, gromadził przyjemności, dostarczał otoczeniu okazji do zabawy i śmiechu ze wszystkiego być może po to, by przekonać samego siebie, że życie nie zasmuca go aż tak mocno. Jednak w wieku lat trzydziestu dwóch miłość dręczyła go niczym świadomość nieuchronnej przegranej.

Przez długi czas potrzeby i pragnienia małżonki były dla niego niezrozumiałe, potem, wzbogacony doświadczeniami rozmaitych związków, Alexandre przyznał, że wychodzi się naprzeciw oczekiwaniom dziewczyny tylko po to, by w próbie ich zaspokojenia znaleźć sens życia. Podstawowe pragnienia Jeanne, nawet jej urazy, w pewnym sensie go postarzały. Jakby, zezwalając na intymność, żona chciała mu wynagrodzić fakt, że jest tylko mężczyzną. Jedynie towarzyszka dość odważna, by zadawać prawdziwe pytania i nie oszczędzać go, pozwoliłaby mu akceptować siebie w całości, ze wszystkimi zakamarkami własnej osobowości. Kiedy tylko umykał przed aspiracjami swojej drugiej połowy, czuł się na pół sparaliżowany.

Przez pierwszych siedem lat Alexandre miał głęboką nadzieję, że małżeństwo uczyni go lepszym. Myślał, że oczyści się z egoizmu, stanie się zdolny raczej do poświęcenia niż adaptacji, potrafi odgadnąć to, co niepojęte i ukryte w osobowości żony. Miał nadzieję, że ta „kuracja prawdy” odsłoni przed nim własne potrzeby, wyzwoli z pokusy przeciętności, wyrwie z monotonnej egzystencji nauczyciela przytłoczonego tropikami, a dokładniej: Nowymi Hebrydami. Jednak koło trzydziestki Rivière musiał przyznać, że ich miłość, tak początkowo rozbrykana i pełna obietnic, tonie od pewnego czasu w rynsztoku kompromisów. Szczęście Jeanne nigdy nie będzie miało na imię Alexandre Rivière.

Jeanne, opanowana niezmiennymi żalami i urazami, straciła uśmiech, jej wzrok zawsze uciekał, a twarz była nieprzenikniona. Wieczorami, nieobecna w jego objęciach, udzielała mu jeszcze jałmużny swego ciała, nie dając jednak niczego z siebie samej. W łóżku, w niedbałym pośpiechu, Jeanne nie wciągała go już w ten szal pożądania, w którym niegdyś żądza zapierała im dech. Miłość fizyczna byle jaka, na odczepne, uprawiana z obrzydzeniem, stanowiła ostatnią ranę, jaką mogła mu zadać Jeanne, w ten sposób dając wyraz zarzutom, że nie jest już mężczyzną. Ta odległa bliskość, ten niespieszny spokój, którego mu

odmawiała, te zawsze umykające kontury codziennie raniły mu serce. Cierpiał z tego powodu. I tracił szacunek dla siebie samego.

Ilekroć zaczynał do niej mówić o miłości, cięła go ostrzem ironii, obnażała jego wady, podawała w wątpliwość jego starania, niemal go odrzucała. Z okrucieństwem rekompensowała sobie ową naiwną i nieograniczoną ufność, jaką w nim kiedyś pokładała. Umniejszała go przelotnymi aluzjami z rozpaczliwą wściekłością, właściwą raczej osobie udręczonej niż dręczycielce; wręcz zatapiała go w braku harmonii. Ilekroć próbował przerwać owo powolne zatapianie, uciekając się do karkołomnych inicjatyw, które zaspokajały potrzeby raczej jego niż jej, ona odpłacała mu milczeniem i spojrzeniami pełnymi rezygnacji, co wznosiło między nimi mur. Jeanne nie wierzyła już jego pocałunkom; wysychała z rozczarowania.

Wkrótce po przybyciu do Port-Vila, w błękit Oceanii, na jedno z tych wilgotnych konfetti, które tworzyły wówczas archipelag Nowe Hebrydy, cierpienie Jeanne jeszcze się pogłębiło; czuła się bardzo samotna na rozleniwiających wyspach, gdzie wszystko zachęcało do wspólnej niemożności, do oddychania wspólnym rytmem. Jak mogła wykrzyknąć swój smutek w otoczeniu podobnej feerii, w takim bogactwie kwiatów? Drzewa korzeniary, palety koralu promieniujące pogodą, intensywne barwy lagun - wszystkie te zalane światłem słońca gauguiny mówiły o zapomnieniu, odzyskanej intymności, o możliwych horyzontach, podczas gdy ona ugięła się pod brzemieniem samotności, która dusi wszystkich nierozumianych. Głuchy tam-tam nieskończoności wzywał ją na spotkanie nieupiększone, wabił do miłości utkanej z prawd niebezpiecznych dla obojga, pełnej śmiechu, miłości, która teraz była dla nich niedostępna. Między nimi nie można już było mówić o nieskończoności, zostały tylko nadszarpnięte uczucia, skandal przeciętności.

Mimo podejmowanych przez młodą kobietę prób, by czasem okazać mężowi trochę czułości, jej spojrzenia nieustannie gasiły zapaly Alexandre'a, kładły cień na jego intencje. Każdy z urazów małżonki sam w sobie był ogromny, a wszystkie razem tworzyły ogromniejącą całość. Bywały takie wieczory, kiedy Alexandre miał jeszcze nadzieję, że Jeanne zaoferuje mu odrobinę ich wspólnej, ożywionej przeszłości; ta nadzieja, uparta, płonna, zakorzeniona w sercu, wyniszczała go do końca.

Teraz, przy kolacji, wystarczyły dwie odpowiedzi, by zakończyć wszelkie próby konwersacji. Nieuwaga Jeanne była dostatecznym świadectwem niezadowolenia z powodu spożywania posiłku w jego towarzystwie. Rezygnując z deseru, Alexandre coraz częściej udawał, że musi poprawiać prace uczniów, co było prawdziwe, nie będąc jednak prawdą. Uciekał na cały wieczór na najwyższą kondygnację ich skromnego drewnianego domu, do pachnącego drzewem sandałowym pokoiku, który zarezerwował dla siebie. Pokój wypełniały drobiazgi z ubiegłego stulecia: zniszczony sekretarzyk z mahoniu z Borneo, całe ruchome wyposażenie uratowane z katastrofy statku i mocno uszkodzone. Tutaj, z dala od małżeńskiego kotła, wśród fioletowej nocy tchnącej powiewem pasatu, gdy Port-Vila spało wspólnym i wilgotnym snem, udawało mu się wyrwać kilka godzin z tropikalnego ogłupienia.

Z tej kryjówki Rivière dostrzegał w dole ulicę La Pérouse obramowaną sylwetkami kokosowych palm; ulica wspinała się do dzielnicy australijskiej ponad dwugłowym pałacem sprawiedliwości francusko-brytyjskiego kondominium. Ta krótka, stroma i dziwaczna uliczka została wytyczona w absolutnej

zgodzie z symetrią przez architekta Vollarda około 1920 roku, kiedy giełdy północnoamerykańskie, kapryśne jak piłeczki jo-jo, pasjonowały się cenami kopry i stworzyły dobrobyt pierwszych kolonistów na Nowych Hebrydach. Budynek naprzeciwko, który przetrwał trzęsienia ziemi i mordercze cyklony tego regionu, miał nadjedzone przez termyty kolumnady; jego fasada robiła wrażenie powtórzonego w egzotycznym drewnie frontonu budynku po parzystej stronie ulicy, gdzie mieszkali państwo Rivière.

Wsparty łokciami na stosie błędów ortograficznych, trawiony wściekłością, że wciąż nie potrafi wyzwolić Jeanne z jej urazów, Alexandre błędził wzrokiem po wnętrzach zasłoniętych moskitierą, badał rezultaty historii podobnych do jego własnej, składankę scen przesiąkniętych wilgocią, całą wyczerpującą i paralizującą codzienność. Sączył swoje żale wraz z lokalnymi trunkami o właściwościach znieczulających. Kolejne łyki *kavy* podsuwały myśli pozbawione wyrazistości, narzucały spokój i zapomnienie w środku nocy, która niosła niebiosom ukojenie. W ten sposób Alexandre łagodził swój smutek człowieka, który czuje się skutkiem pozbawionym poważniejszej przyczyny. Był nikim, zaledwie jednym z czterdziestu tysięcy niewydarzonych mężów na Hebrydach, którzy codziennie łamali serce jakiejś kobiety i ograbiali jej ciało, nie dając nic w zamian, a jeśli nawet - to niezwykle skąpo. Na scenie małżeńskiej miłości Rivière czuł się wygwizdanym aktorem, co zniechęcało go do wszystkiego. Nieszczęście, które uczepiło się jego losu, naprawdę do niego nie pasowało. Posepność stanowiła barierę dręczącą duszę.

Ilekcio poczuł się cudownie wesoły, choćby na przelotną chwilę, miał wrażenie, że narusza kapitał przeznaczony na całą wieczność, że pobiera watał zaliczkę z rachunku beztroskiego szczęścia, którym Octave, jego brat bliźniak, potrafił zawsze cieszyć się z taką rozkoszą. Od momentu wspólnych narodzin Alexandre mimo pozorów pogody wziął na siebie wszystkie cienie tego duetu, cały ból egzystencji, którym nasycona jest kondycja ludzka, zostawiając bratu swobodę sukcesów, oznaki triumfów, życie bez skazy, wpływające z taką łatwością. Octave, nawet beczynny, zdawał się być w ciągłym ruchu, gotów panować nad wydarzeniami, powodowany swoim wojowniczym charakterem, podczas gdy Alexandre, uwięziony w gorsecie wychowania, niepewny, często wbrew sobie wątpiący w swą osobowość pełną wahań i rozmarzoną, zazwyczaj potrafił wyrazić ledwie ułamek tej witalności, którą skrywała jego natura. Alexandre czuł się zaledwie brulionem, nieudanym szkicem osobowości Octave'a, sportowca uszczęśliwionego życiem, pełnego lekkości. Świadomość ta pogłębiła się jeszcze po zniknięciu Octave'a na Wyspie Banksa podczas polowania na morskiego krokodyla przed trzynastu laty w dotąd niewyjaśnionych okolicznościach. Octave pozostał w pamięci Alexandre'a niby aureola, jakby jego udane drugie ja, faworyzowane przez los, pozbawione lęków tak bardzo pomniejszających człowieka.

Pewnego wieczoru Alexandre, zajęty popijaniem i spoglądaniem na blaszane dachy wypolerowane światłem księżyca, z dala od duszących więzów małżeństwa, trzy piętra niżej dostrzegł Judith. Mieszkała w domu, który pod wpływem *kavy* bardziej niż zwykle przypominał rzeźbione odbicie ich własnego domu. Zaintrygowany Rivière przypomniał sobie, że przecież jest mężczyzną, i zdziwił się, że nigdy dotychczas nie zauważył tej kobiety z własnego mieszkania, które znajdowało się na tej samej wysokości. A poza tym Port-Vila nie było wszak miastem tak ruchliwym, żeby podobna postać mogła pozostać niezauważona.

Taka żywa reklama przelotnych przyjemności musiała przecież rzucić się w oczy tym wszystkim, którzy myślą o kobietach.

Sąsiadka, jeszcze nieszkodliwa, widoczna w półcieniu okien, czasami wyraźniej rysująca się na tle zasłony, nie miała na imię Judith, było to imię kobiety z marzenia, imię nadane przez Alexandre'a wymagowanej kochance, stworzonej przez jego nastoletnią wówczas wyobraźnię, kiedy oszałamiały go ówczesne miłości, kiedy wywoływało w nim konsternację to, że nie był doceniany przez dziewczyny, które pozwalały mu się całować. Jego Judith była kobietą, jaką naprawdę mógłby zrozumieć, wyczuć wszystkie sprzeczności, kochać za prawdę; byłaby kochanką, której zaspokajanie sprawiłoby mu rozkosz, przeżywaliby wspólnie najbardziej tajemne zawroty głowy, niebezpieczne gorączki, o jakich obydwójce nie mieli pojęcia. Od początku, od pierwszych chwil wypełnionych niedomówieniami, Alexandre miał nadzieję, że Jeanne stanie się jego Judith, że pewnego dnia z zawiązanymi oczami pójdzie za nim po linie, której jedynym zabezpieczeniem będzie siatka jej cudownej ufności. Wyblakłe lata, zdradziecki napór rozwodnionych dni naruszyły to wypieszczone marzenie.

Alexandre sam nie bardzo rozumiał, dlaczego po kilku zaledwie wieczorach ta nieznana sąsiadka przybrała w jego myślach owo imię i stała się osią wszystkich pragnień. Od tej pory dręczyła go, drażniła jego pożądanie i nie potrafił się wyzwolić z tej ukrytej obsesji. Samopoczucie Alexandre'a poprawiało niewątpliwie to, że mógł obarczyć swoją słabością tę dziewczynę bez twarzy, mieszkającą po drugiej stronie ulicy, z dala od jego świata, to niewyraźne oblicze, które na pewno nie zderzy się z jego przeznaczeniem. Owa niezwykle ostrożna namiętność, niemal zbliżona do ideału - ponieważ wszystko zależało wyłącznie od niego - nie sprawiała mu najmniejszej przykrości, zablizniała wszystkie gorycze, utwierdzała w przekonaniu, że nie stał się maszyną niezdolną do kochania, i to w okresie, gdy stracił wiarę, że jego uczucia mają jakąkolwiek wartość na targowisku emocji. Przeżywał więc z Judith miłość cieplarnianą, do której nie miały dostępu żadne burze, która broniła przed wieczorną pogardą Jeanne, dawała tyle ukojenia, że mógł co wieczór powracać do małżeńskiego łóżka zaraz po zgaszeniu przez Judith lampy przy swoim łóżku. Alexandre wślizgiwał się wtedy w zbyt czystą pościel, obok zwiniętego w kłębek ciała Jeanne, która zdążyła zasnąć - już od dawna sypiał z jej plecami - przeciągał się jeszcze pod wrażeniem niewyraźnego obrazu Judith, owego zlepku odczuć zebranych w trakcie wypatrywania jej wspaniałego ciała za falą firanek lub w przestrzeni, jaka ich rozdzielała. Czasami zdarzało się nawet, że obraz nabierał wyrazistości, mimo alkoholu, który rozleniwiał jego źrenice i powodował dodatkowe zniekształcenia odbicia na szkle.

Judith co wieczór leżała na łóżku i często zajmowała tę pozycję niemal w tej samej chwili, gdy Alexandre wchodził do swojego schronienia. Niezbyt dobrze widział jej pokój, ponieważ patrzył pod ostrym kątem, a ona zapalała zazwyczaj tylko jedną lampę, by przepędzić ciemności: metaliczny punkt bluzgający mocnym światłem, które koncentrowało się na dużym zeszycie. Nocny rytuał tej kobiety, zdającej się rozkoszować swoją samotnością, poruszał go co wieczór coraz bardziej. A ta niewczesna czułość nie przestawała go zadziwiać, gdy siódmego dnia Judith zaczęła robić dokładnie to, czego nie

chciałby obserwować w wykonaniu Jeanne: rozpuściła włosy i ruchami szczotki roznieciła wielki jasny pożar. Jemu zaś zawsze się wydawało, że robią na nim wrażenie jedynie włosy upięte, ucywilizowane fryzurą, której urok podkreśla sposób trzymania głowy - niezaprzeczalny wdzięk odkrytego karku. Judith przymierzała stroje, których zdecydowana wulgarność studziła jego zachwyty. Potem bawiła się perukami; w ciągu kilku minut zmieniała kolor włosów i wyraz twarzy - od płomiennej czerwieni i elektryzującej witalności do nieoczekiwanego bezruchu. Potem wkładała buty z coraz dłuższymi cholewami i obracała się. Jej gust ranił Rivière'a, podobnie jak przesadne kręcenie biodrami, kiedy zaczynała tańczyć przed lustrem, bezładnie, ubrana w ledwie widoczne majtki. Jednak zachowywała się z taką swobodą, tak bez reszty oddawała się owym barwnym radościom, że spektakl ten nie przestawał go fascynować. Obserwowanie ruchów tej kobiety z dala od męskich spojrzeń, wolnej od uwłaczającej chęci podobania się, sprawiało, że nie mógł się jej oprzeć; przypominała mu nagle promienny humor i frywolność Jeanne na początku ich znajomości, tę najistotniejszą lekkość z czasów, gdy jej przeznaczeniem była kobiecość, nie macierzyństwo. Tak, wyczuwał u Judith tę samą fałszywą dezynwolturę i tę prawdziwą wesołość, które świadczą o niechęci do skrajności, charakterystycznej dla istot wymagających. I ten stop dwóch magnetycznych metali: przesadnie lekkiego i bardzo ciężkiego, sprawiał, że reakcje Alexandre'a przypominały oszalały kompas.

Czyżby wpadł w sidła namiętności? Przez kolejne dni, im uważniej wsłuchiwał się w głos rozsądku, im bardziej starał się ośmieszyć uczucie zbudowane na tak wątej podstawie, tym energiczniej jego serce odrzucało bezbarwne nauki rozumu. Pożar, rozprzestrzeniający się radośnie, pożerał nudę małżeństwa, w którym cała gra wydawała się z góry ustalona. Niecierpliwe pragnienie kochania owej jakże kobiecej Judith - owszem, był absolutnie pewien, że jest całkowicie utkana z materii stanowiącej esencję życia - wyczerpywało jego wstrzemięźliwość, prowadziło w kierunku owej niebezpiecznej lekkości, która każe nam poddać się miłości w momencie, gdy ta miłość nas wybierze.

Odległość i niedobre oświetlenie nie pozwoliły mu poznać twarzy Judith, ale w miłosnym zaślepieniu nadawał jej rysy zgodne z żywym temperamentem: spojrzenie rozpalone i radosne, pasujące do naturalności jej zachowania. Zamiast spoglądać na nią z niezdrowym błyskiem w oku, typowym dla podglądaczy, Rivière po prostu czuł się szczęśliwy, patrząc na dziewczynę, której zachowanie zaniepokoiłoby go u Jeanne, ale tak wspaniale pasowało do określonych snów jego wieku dorastania. Ta nieznaną Judith stopniowo zachęcała go do zaryzykowania nowych swobód, do zerwania ze sztywnością, która niemal zniszczyła jego osobowość: ta kobieta wyzwalała go z poczucia powagi, rozbudzała w nim fatalną skłonność do rozkoszy.

Pewnego wieczoru skonstatował ze zdziwieniem, że głośniejsze nastawił radio - muzyczny program japoński, który można było złapać na Hebrydach - żeby tańczyć równocześnie z nią, próbując przechwycić jej szaleńczą radość. Zaraźliwy zapach Judith rozbijał jego smutek, a rytmiczny szal uelastyczniał sztywność. Opanowany chęcią znalezienia ujścia dla swojej witalności, zapamiętania się w ruchu choć na kilka chwil, pozwalał sobie na nagłe rozluźnienie gorsetu dobrego wychowania, czego zazwyczaj nie ułatwiała

nawet szklaneczka szkockiej; ta eksplozja japońskiego rocka ożywiła soki w jego zdrewniałym ciele, które zaprzestało tańców już od... Ta dziewczyna budziła w nim ochotę do tańca! Przywrócenia radości niemal zasklepionym żyłom i oziębiałym członkom! Kiedy odzyskał dech, niemal natychmiast go stracił, gdy zadał sobie pytanie: czy długo jeszcze zdoła zadowalać się tym związkim wizualnym, złożonym z monologów, kiedy sama tylko bliskość Judith budziła tyle zapomnianych apetytów i spopielałych już pytań?

Przez kolejne dni Alexandre bezustannie zastanawiał się nad zawartością zeszytu Judith. Wyczuwał intuicyjnie, że prawda tej kobiety, niewątpliwie obecna na każdej stronie zeszytu, pozwoliłaby mu poznać własną prawdę; nie wyobrażał sobie bowiem, by mogła zapisywać jakieś głupstwa czy zatrzymywać się na myślach wygodnych dla tego, kto spróbował jej ciała. Uczucia Alexandre'a skłaniały go do przypisywania Judith wszystkich zalet. Poczucie przyjemności, jakie z nią kojarzył, nigdy nie wydawało mu się błahe; należała do tych kobiet, które akceptują trudne i niemiłe problemy intymnej rewolucji, zamiast pławić się w jej trywialnych oczywistościach. Rivière pragnął się o tym upewnić i to mu się udawało! Judith musiała mieć dar tych wybranych kobiet, które potrafią stawić mężczyznom czoło w realnej rzeczywistości, ten wspaniały dar uwalniający je od małoduszności, skutecznie niwelującej osobowość. Przeczynał, że spotkanie z nią byłoby dla niego decydujące, spowodowałoby przemianę nieudanego osobnika w osobę naprawdę żywą, gotową raczej stawać się niż egzystować. I pewnego wieczoru zobaczył, jak chiński cień Judith przyczepia sznur do haka od lampy na suficie. Bardzo metodycznie zawiązała pętlę. Podstawiła taboret i zrobiła krok w kierunku własnego kresu.

Wystraszony Rivière przez kilka chwil nie mógł się poruszyć, zanim uświadomił sobie, że jest właśnie świadkiem przygotowań do samobójstwa. Judith, jego Judith, szykowałą się do włożenia głowy w pętlę! Odzyskawszy siły, podniósł telefon, żeby kogoś uprzedzić - ale kogo? - i w tym momencie, być może dzięki Bogu, Judith zesza ze stołka. Rivière, cały drżący, sączył *kawę*, odwiesił słuchawkę i wzrokiem wbitym w okno śledził sylwetkę kobiety, która wróciła na łóżko, do swojego zeszytu.

Tego wieczoru, rozedrgany z emocji podlanej alkoholem, Alexandre postanowił wkroczyć w jej życie, bez zwłoki oferować jej swą najgłębszą uwagę, ów niezwykły balsam, który czasami łagodzi trud egzystencji i oddala otchłanie. O tak późnej porze? Może to niezbyt stosowny pomysł, ale wszak poznał właśnie jej tajemnicę: to straszliwie posępne pragnienie, które ją dręczyło. W tej sytuacji nie liczyły się maska konwenansów ani uroki dobrego wychowania. Niezdolny jednak uspokoić swoich myśli, zbyt rozproszonych, by mógł zdobyć się na zimną krew, postanowił poczekać do rana.

Zaraz po obudzeniu, wyleczony snem z nocnej paniki, porzucił plecy Jeanne, wyszedł na ulicę i usadowił się w swoim dżipie, zaopatrzwszy się w starą australijską gazetę (drukowane nowiny docierały do Port-Vila bez zbytej troski o punktualność, często już wyblakłe, jakby papier żółkł równie szybko jak aktualność wydarzeń). Skryty za nieaktualnymi przepowiedniami sportowymi, obserwował wszystkie kobiety wychodzące spod numeru 33 przy ulicy La Pérouse. Ilekroć w drzwiach pojawiała się kobieta, kulił się na siedzeniu. Starając się w ten sposób ukryć, dostrzegał jedynie śmieszność swojej pozycji. Zresztą co miałby powiedzieć Judith, żeby ją zachęcić, nie narzucając się przy tym? Żeby skierować ich znajomość na

tory absolutnej prawdy, nie wprawiając jej przy tym w przerażenie, trzymając się bezpiecznej scenerii pierwszego spotkania? Czy jego twarz jej się spodoba? Nie miał przyjemności przekonania się o tym, ponieważ ona się nie pokazała.

Również przez następne dni, ciągle ukryty za nieruchomymi nowinami australijskimi, nie zobaczył wychodzącej Judith; wieczorami zaś przestała go dręczyć zabawa ze sznurem. Przyczajony za kierownicą rozgrzanego samochodu, Alexandre nie pojmował, co się dzieje. Czy wstawała bardzo wcześnie? Czy koło południa? Po pięciu kolejnych porankach nieoczekiwane wydarzenie przyniosło odpowiedź.

Nagle otworzyły się prawe przednie drzwiczki samochodu. Zjawiła się kobieta, której zbliżenie poprzedził zapach znajomych perfum... tak pachniały plecy, z którymi dzielił łóżko!

- Co ty tu robisz? Co wyprawiasz od trzech dni? - rzuciła Jeanne. - Śledzisz mnie?

Kompletnie zbity z tropu, wybąkał coś głupiego, jakąś wymówkę szytą grubymi nićmi. A cóż mógł powiedzieć? Znajdował się w miejscu, które istotnie narzucało podejrzenie, że obserwował wejście do budynku. W samochodzie widział profil rozdygotanej Jeanne; o sekundę poprzedzał ją drobny, idealny i uparty nos, a w ślad za nim szedł buntowniczy koński ogon. Opalanej słońcem Oceanii, mimo wszystko nieodparcie kuszącej Jeanne towarzyszyła otoczka melancholii. Wyglądała na trzydziestkę, wydawała się panować nad sobą, hamować wściekłość.

- No więc? - podjęła.

- No więc... tak - usłyszał własną odpowiedź. - Jestem zazdrosny.

To naprędce zaimprovizowane kłamstwo miało znamiona prawdy, mogło nawet wzruszać. Obdarowana tą fałszywą monetą, Jeanne zamilkła, absolutnie zaskoczona. Wyznanie nie mieściło się w sposobie bycia Alexandre'a.

- Kochasz mnie? - wyszeptwała, okazując w tym momencie kruchość, o jaką jej nie podejrzewał.

Teraz Alexandre'owi zabrakło słów. Na twarzy Jeanne odbiło się ogromne zdumienie, że on darzy ją żywym uczuciem zbliżonym do przywiązania. Już od tak dawna poruszali się wyłącznie w obszarach obojętności. Nastąpił cudowny moment niekłamanej emocji, podczas którego Alexandre dostrzegł kobietę, która być może jeszcze zupełnie z niego nie zrezygnowała. Znieruchomiał pod jej wilgotnym spojrzeniem, nagle wezbranym od powstrzymywanych łez. Próbowwała powiedzieć parę słów, uśmiechnęła się sztucznie i wysiadła z dżipa. Nic więcej.

Przy kolacji próbowali świętować trzydzieste trzecie urodziny Alexandre'a. Tego wieczoru ich milczenie zdawało się mieć inną jakość. Nie udało im się jednak znaleźć słów, które przerywają ciszę i snują nić prawdziwej rozmowy. Jeanne pozostawała dla niego nieprzenikniona, zraniona przez kolejne niezrozumienie. Śluzę po obu stronach nie otwierały się. Po zdmuchnięciu świec poszedł się ukryć w swoim pokoiczku na ostatnim piętrze. Po kilku minutach za zasłonami zarysował się cień Judith. I znowu, ale tym razem bez wahań, cień ten przystawił taboret, zawiązał na sznurze węzeł, przyczepił sznur do haka i włożył głowę w pętlę.

Oślupiały Alexandre nie bardzo wiedział, jak zatrzymać ten niemy film, bez namysłu otworzył okno, chwycił butelkę *kawy* i z całej siły cisnął w słabo oświetlone okno Judith. Okno dwa piętra niżej rozprysło się z hałasem, ujawniając niespodziewanie absolutną ciemność panującą w pomieszczeniu. Nie było tam nikogo! Nicość! Judith nie istniała!

I wtedy nadeszła owa sekunda, decydująca, ożywiająca i zaskakująca, która miała położyć nagły kres wspaniałemu samozadowoleniu Alexandre'a i zdecydować o jego losie. Otepiały ze zdziwienia, nie rozumiał od razu, że jego Judith była jedynie odbiciem Jeanne. Jej obraz pukał do ciemnych okien pustego apartamentu naprzeciwko. Płyty szkła niby szydercze zwierciadło przekazały mu tajemne życie Jeanne. Przez całe tygodnie Rivière zachwycał się odwróconą sylwetką własnej żony! Niewierny w marzeniach, mimo woli śnił o tej, która od tylu lat budziła w nim tak posępne urazy. Okazuje się, że to Jeanne dostarczyła mu wszystkich słodczy erotyzmu oczekiwania, wszystkich błyszczących rozkoszy nadziei; ta sama Jeanne, z którą sypiał jedynie przez grzeczność! Obudzone zmysły niemal rozżarzyły ciało ociążale od smutku, zawiedzione bliskością, która w małżeńskiej pościeli już go nie rozpałała.

Jednak w ułamku sekundy uświadomił sobie, że nie wie nic albo prawie nic o tej nieprzeniknionej kobiecie, która w urodzinowy wieczór chciała uraczyć go samobójstwem. Na czym polegała ta zgubna odraza Jeanne? Więźniarką jakich intymnych labiryntów stała się matka jego dzieci? Swoich prawdziwych wątpliwości i wyolbrzymionych niepowodzeń? Na pewno przed siedmioma laty zatrzymał się tuż przy Jeanne. Nigdy nie dostrzegał prawdziwej piękności ani żony, ani swojej własnej w jej obecności. Jego rzekoma druga połowa, towarzyszką codziennych dni, była mu nieznana, ledwie zdołał ją musnąć, stanowiła olbrzymią niewiadomą, zupełnie źle rozszyfrowaną. Niczego nie zauważył. Pograżony w swojej głupocie, uważał, że Jeanne jest solidna, nie dostrzegał sztucznego makijażu, osłaniającego zboląłą duszę. Nie pozwolił sobie na sprawdzenie tego, co odczuwała, jakby nie chcąc zetknąć się z zawodem, jaki jej sprawił, pragnąc uniknąć owych mdłości, które zawsze pokrywał powierzchowną wesołością, wymuszonym śmiechem, sztucznym entuzjazmem malującym się na twarzy wiecznego młodzieńca. Jak można zaakceptować czyjeś zawroty głowy, kiedy stoi się samemu nad niezgłębioną przepaścią? W tym decydującym momencie widział to wszystko wyraźnie, zobaczył także własną małostkowość.

Musi się uspokoić: Jeanne nie skończyła z sobą tego dnia. Hałas stłuczonego okna po drugiej stronie ulicy w samą porę wyrwał ją z hipnotycznego pragnienia śmierci. Ale od tego momentu Alexandre, wstrząśnięty owym tchnieniem teatralnego wręcz efektu, postanowił poznać prawdę o swojej żonie, o niezwykle gęście dziewczyny dążącej do nieskończoności, wolny od chęci, by na dobre się odkochać, gotów wyłuskać spod pełnych rezerwy i pewności min Jeanne tę skrajną osobowość, która go przerażała, to straszne zwierciadło, trampolinę do własnej prawdy. Kim była ta, którą poślubił? Kim była ta poszukiwaczka absolutu, która przez siedem lat strzegła go nieustannie przed przepaściami, przed gorączką sprzeczności, przed prawdziwymi pragnieniami? To ryzykowne pytanie, kryjące niepokój i możliwość małżeńskich przewrotów, miało odtąd rządzić Rivière'em. Po siedmiu latach kręactwa miał wreszcie moż-

liwość spotkania z osobami, jakimi obydwójce byli naprawdę. Tego dnia Alexandre wkroczył w prawdziwe życie.

Czerwony zeszyt Jeanne leżał na nocnym stoliku, niezbyt starannie ukryty, jakby pragnęła, żeby Alexandre wreszcie go przeczytał i uwolnił ją od tajemnic. Ta ukradkowa myśl towarzyszyła mu następnego ranka, gdy brał do ręki zeszyt. Tytuł na okładce ostrzegał, dawał wyraźnie do zrozumienia, że będą to strony poświęcone sekcji ich nadziei, tak niegdyś żywych, kronice ich niepowodzenia. *Autobiografia miłości*. Ważył w rękach zeszyt, przez moment wahał się, czy narzucać sobie tę lekturę, czy zagłębiać się w tajniki duszy osoby, którą - jak mu się zdawało - znał od siedmiu lat. Alexandre miał przed sobą prawdę o swojej żonie, wszystkie prawdy - takie, które zdradza się tylko, trzymając w ręku pióro, które zadają gwałt przyzwoitości, z konieczności naruszają miłość własną i kpią ze skromności. Czuł, że to, co kryje zeszyt, jest nie do zniesienia: niczym nieosłonięte spojrzenie Jeanne, pozbawione tej odrobiny ostrożności, która łagodzi ciosy, rani mniej boleśnie.

Otworzył czerwony zeszyt, pobladł i zagłębił się w pierwszy rozdział z odwagą żołnierzy, którzy niegdyś, w czasie wielkiej wojny, wyskakiwali z okopów na równinach Flandrii na spotkanie z gradem kul. Po kilku stronach dziwił się, że jeszcze żyje, że ciągle trzyma się na nogach, ledwie trochę zmęczony.

Jeanne nie kierowała na niego żadnego bagnetu. Zadowalała się wyznaniem, że marzy o znacznie mocniejszych alkoholach, o bardziej ostrych kątach, zgodnie z życzeniami swego nieumiarkowanego serca. Smuciło ją, że nie potrafiła pozyskać idealnego szczęścia, na sobie samej próbowała ostrza sarkazmu, szlifowała podstawowe zarzuty, zwracając je przeciwko sobie.

Jednak drugi rozdział go zmiążdżył. Pierwsze stronicę, cięte, początkowo jedynie upokorzyły Rivière'a: Jeanne opisywała, jak bardzo czuła się nieuznawana, spychana w głąb siebie w ciągu siedmiu lat tego powolnego fiaska pod płaszczykiem banalnego szczęścia. Rozcinała na kawałki kłamstwo uśmiechniętej szczęśliwości, przytaczała w najdrobniejszych szczegółach wydarzenie, które jemu zdawało się błahe i o którym już dawno zapomniał, choć było to jedno z potknięć raniących serce kobiety w najczulsze miejsce, tam gdzie wpisują się wszystkie gorycze niemożliwe do wymazania.

Jeanne wspominała, jak podczas ich nocy poślubnej w Nouméa - kiedy oddała mu się z zapamiętaniem, cechującym dar wielki i bezwarunkowy, wkroczenie w zmysłowość, która wydawała jej się znacznie bardziej nieogarniona, z ufnością bez skazy - o pierwszej nad ranem zadzwonił budzik. Jego dźwięk nie zmroziłby jej bynajmniej, gdyby nie fakt, że nastawił go Alexandre, by położyć kres rozkoszy ich zmysłów...

- Muszę spać - oznajmił jedynie. - O piątej wyjeżdżam do Lifou, a o ósmej mam lekcję.
- Oczywiście...
- Nie gniewasz się?
- Nie - usłyszała własną odpowiedź, niezbyt wyraźną z powodu szoku.

Alexandre od razu pogrążył się we śnie, od razu zostawił Jeanne samą ze swoją samotnością, uęczonej tym, że narzucił jej swój rytm, bez skrępowań zlekceważył jej zamięłowanie do bezkresnych godzin,

w których miłość nie zna ograniczeń. Czowała się zlekceważona, a w dodatku bezradna, wściekła, że nie została wysłuchana, nie została zauważona. I od tej pory, co jasno wynikało z tekstu, Rivière nieustannie zadawał gwałt jej intymnemu rytmowi, nie rozpoznawał pulsu regulującego wszystkie jej pragnienia. Zawsze wyprzedzając Jeanne lub pozostając za nią w tyle, Alexandre nigdy nie potrafił pokochać strumienia jej uczuciowości, którego meandry tak bardzo były obce jego potrzebie prostoty.

Dalej - ze złością wyczuwalną w drzeniu liter - Jeanne zanotowała szczegóły innego gorzkiego wspomnienia. Po poronieniu Alexandre zmusił ją do zrobienia skrobanki, co stanowiło banalny i konieczny sposób wyczyszczenia macicy. Nie było to pilne, nalegał jednak, by odbyło się wtedy, gdy jemu to odpowiadało. Pragnąc jak najszybciej uwolnić się od własnego smutku, Alexandre nie chciał czekać, aż Jeanne dokończy swojej żałoby, że tym razem nie została matką. Wszystko mieściło się w tym okrutnym epizodzie, gdzie dość zwykły w końcu przypadek losowy Alexandre potrafił przekształcić w dramat, tym poważniejszy, że zignorował zupełnie wrażliwość Jeanne, odmawiając jej prawa do złego samopoczucia tak długo, jak długo trapiłaby ją ta straszna potrzeba. Zawsze próbował zdławić wszelkie wynurzenia, których trwanie go przerażało - dla niej zawsze za krótkie, dla niego ciągnące się w nieskończoność. Bojąc się zbliżyć do nieszczęścia, które zbyt żywo rozbudziłoby jego własne - odsuwane jak najdalej - przekonany, że się nim zadławi, Alexandre zazwyczaj zbierał się w sobie i narzucał sprawom odpowiedni rytm, aby uniknąć uduszenia. Zawsze zmyślnie utrzymywał panowanie nad ich życiem tak zupełnie nie wspólnym - od pierwszej małżeńskiej nocy z tym budzikiem - jakby obawiał się, że pozostawienie swobody pragnieniom Jeanne, i w ogóle kobiet, groziło objęciem władzy przez niekontrolowane siły. I tu właśnie kryła się jego nędzna arogancja, tak w sumie żałosna, w tym ciągłym lęku, który sprawiał, że przypominał tenisistę niezdolnego do rozegrania debla; Alexandre słabeusz wolałby grać sam.

Jego ślepy brak szacunku znowu ujawniał się z całą ostrością w opowieści o tej ponurej i pospiesznej interwencji. Sytuacja stała się jednak nieodwracalna, kiedy Jeanne wyznawała rozczarowanie faktem, że w ich życiu seksualnym nastąpił tak kompletny brak synchronizacji - czego Alexandre nawet nie zauważył - że jej dawna skłonność do niespiesznych gestów wiodących do rozkoszy niemal całkowicie ją opuściła. Po latach odkryła śmiałość własnych pragnień i chciała zmienić rytm ich umęczonego erotyzmu, niemal zostać zniewolona, uwolniona od zwyczajności przez mężczyznę, którego kochała, który mógłby pokazać jej sedno najbardziej pociągających lęków. Jeanne miała do niego pretensję, bo nie odgadł, że od tej pory chciała być jego niewolnicą - tak właśnie chciała być traktowana w szarości monotonnych wieczorów. Jednak to brutalne pragnienie, podszyte lekką obawą, nie było na tyle wyraźne, by mogła je sformułować bez skrupowania, bo wszak ten mężczyzna - jej mąż - był także ojcem jej dzieci, osobnikiem, który przy śniadaniu smarował masłem pieczywo dla rodziny, kimś, kto występował na zewnątrz u boku żony, nieprzejawiającej żadnych skrajnych instynktów, bo przecież taką rolę odgrywała w towarzystwie. Toteż Jeanne wcale nie była pewna, czy chce, by ten sam mężczyzna postrzegał ją w ten sposób, by na obraz codzienności nakładał wyobrażenie kobiety ulegającej popędowi, pławiącej się w rozkoszy, kobiety, która wyzwoliła się raz na zawsze ze wszystkich oporów skromności. A jednak to właśnie

z nim, pod bezpieczną osłoną ich dawnej miłości, chciałyby zaryzykować zjazd po tych stokach, na których wykorzystuje się cały zasób swojej zwierzęcości, by głębiej odnowić duszę. Jeanne byłaby szczęśliwa, gdyby okazał się na tyle mężczyzną, by to wszystko zrozumieć, i na tyle dżentelmenem, by następnego ranka nie przypominać jej, do czego potrafiła się posunąć w godzinach pełnych potu. Jednak Rivière, uwięziony w swoich dotychczasowych rolach, niczego nie dostrzegł, nie wyczuł tej metamorfozy, spowodowanej nowymi zamięłowaniami do gier i niecodziennych, bardziej prymitywnych zaspokojień, i to doprowadzało Jeanne do rozpacz. Właściwie obydwójce nigdy nie wiedzieli do końca, czego tak naprawdę od niego oczekiwała. Ale teraz pragnęła właśnie czegoś kompletnie nieznanego w miłości fizycznej z nadzieją, że rozbudzi to w niej kobietę, której istnienie przeczuwała. Jeanne spodziewała się, że pewna wspólnie zaimprovizowana swoboda seksualna doprowadzi do definitywnej kolizji z jej podświadomością, bo przecież ich wyczyny już od dawna nie objawiały jej niczego o niej samej. W dodatku miała pretensje do Alexandre'a, że nie umiał odnaleźć w sobie tej zdecydowanej męskości, która rekompensowałaby niepewne gesty mężczyzny niezbyt doświadczonego. Wyczuwała, że nie poradziłby sobie z szokiem zaskakujących inicjatyw erotycznych, które stworzyłyby jej cudowną możliwość całkowitego zapamiętania się, zupełnego wyzwolenia instynktów. Ale do tego potrzebny jej był mężczyzna zgubnie męski, a nie delikatny cherlak przerażony samym pomysłem takiej swobody.

Im dłużej Rivière czytał, tym bardziej raniło mu serce wyznanie, które było jak policzek i które praktycznie go dyskwalifikowało. Wilgotne powietrze wsączało w jego płuca limfatyczną ociężałość, gęstniało echem wyrzutów. Gdy Jeanne w krótkim akapicie uskarżała się na jego częste kłamstwa, maskujące rzeczywistość - Alexandre zaczynał odczuwać ów smutek nie do wytrzymania, który przytłaczał jego żonę. Jeanne wyznawała z rozpaczą, że podczas gdy on poprawiał rzeczywistość, by nadać jej jaskrawsze barwy, ona czuła, że należy do tej nieudanej rzeczywistości półtonów, która jemu wydaje się tak niewystarczająca, i za każdym razem ogarniało ją przepotężne, dręczące zniechęcenie. Nabierała wówczas przekonania, że nigdy nie nauczy go kochać prostych emocji, jakie czerpała z życia, ani niuansów całej prawdy o sobie, że zawsze będzie musiała podporządkowywać się snom Alexandre'a, by popробować przelotnych chwil bycia we dwoje. Jak to możliwe, że on się niczego nie domyśla! Przecież kobieta taka jak ona oddycha tylko po to, by być razem, najchętniej z mężczyzną, którego chciała kochać, i że właśnie to pragnienie stanowi sens jej życia.

Ta rewelacja wywarła na Alexandre wielkie wrażenie. Wyraźnie zobaczył głupotę swego uporu i uderzyło go piękno pragnienia Jeanne, by sens egzystencji sprowadzać do tworzących ją więzi, by zaangażować całą silną zmysłowość, a nie tylko drobne oznaki uwagi, w to, co stanowiło niemal jej powołanie, religię wspólnoty. Po raz pierwszy, kiedy obnażała się sama zamiast jego przytłaczać wyrzutami, zakochał się w szlachetności własnej żony, tak bardzo zorientowanej na ułamki nieskończoności dostępne w codziennych błahostkach. Jeanne obdarzała życie zaufaniem bez granic.

Poruszony i przytłoczony odkryciem percepcji żony, Alexandre nagle poczuł się pewniej. Pod grą pozorów dostrzegł wielkie cierpienie, którego Jeanne doznała w trakcie ich związku i które na pewno

jeszcze nie ustało. Podtekst ich miłości, nagle wydobyty na powierzchnię, stawał się punktem oparcia, stawał się wreszcie solidną rzeczywistością, i co dziwniejsze - zachęcał do zapoznania się z tą oceną małżeńskiego niepowodzenia, sporządzoną w kategoriach sprawozdania medyczno-prawnego. Ale wielka i nieprzewidziana zmiana losu Alexandre'a nastąpiła dopiero pod koniec następnego rozdziału, przy opisie przeciętnego epizodu zdrady.

Jeanne opowiadała o niesmaku, jaki pozostawiła w niej zdrada, o zawodzie, jaki sprawił jej fakt, że mąż o nią nie walczył. Była całkowicie zgnębiona, bynajmniej nie triumfująca czy rozwścieczona. To, że pozwolił jej zaangażować się w ten związek bez wdzięku, że nie potrafił przeszkodzić odejściu w obce ramiona, wywołało w niej mnóstwo urazów, wpłynęło na nieprzychylną ocenę jego osoby, bo Jeanne nie należała do kobiet oddających się mężczyźnie bez walki, bez tych wewnętrznych rozdarć, które zmieniają sposób myślenia o sobie. Teraz czuła do Alexandre'a zimną nienawiść, ponieważ musiała zrezygnować z marzeń o błyskotliwej miłości, utkanej z dotrzymanyh obietnic, poetyckiej i satysfakcjonującej, w której tak żarliwie realizowałyby swoją potrzebę absolutu. Nienawidziła go za to, że musiała obcować z amantem w dyskomforcie poczucia winy, w ukryciu nieudolnie niszonych kłamstw, podczas gdy tak uwielbiała prawdę, pełnię słońca, demonstrację szczęśliwych uczuć z pełnym dumy zapalem. Nienawidziła również nieszczęsnego Alexandre'a za to, że chciałaby pogрузić się w gąszczu swoich kobiecych pragnień z legalnym małżonkiem, w poczuciu pewności u boku tego mężczyzny, który przecież był jej pierwszym, aby wspólnie głębiej zapadać w owe cielesne przepaście, tak różne od przykładowych poczynań, stanowiących ich codzienność. Okazywanie kobiecości nieznanemu naprawdę ją żenowało, łączyło się także z lękiem, który psuje nawet najpiękniejsze chwile zapamiętania.

Oczywiście to wszystko musiało zrodzić pogardę, i to głęboką pogardę, którą Jeanne opisywała linijka po linijce w swoim dzienniku. Alexandre rozumiał teraz, co podgrzewało ten jad. Odkrywał też niespodziewanie, jak szaleńczo kochał kobietę, która powierzała cienkiemu zeszytowi swoje wielkie rozgoryczenie. Tak, w miarę czytania coraz bardziej urzekała go kruchość tej kobiety, której nie umiał dostrzec podczas siedmiu lat nakładających się porażek, tak głęboko zakorzenionych w podświadomości, że dodatkowo przytłoczony samotnością rozważał nieraz ponurą myśl o śmierci, choć nie bardzo wiedział, dlaczego. Ta prawda na piśmie, odkrywana stopniowo, najpierw go zraniła, a teraz, na koniec, wzruszała; jego, męża zimnego i zdradzanego. I to wzruszała do tego stopnia, że opanowało go zupełnie nowe pragnienie kochania prawdziwej Jeanne, której rzeczywiste oczekiwania pozwalały mu zrozumieć własne pragnienia; tej autentycznej Jeanne, z którą w wyobraźni kochał się bez ograniczeń, za to z niezwykłą słodyczą i wystarczającą brutalnością, by wreszcie seks stał się dla nich wyprawą we wzniosłość. Alexandre, daleki od smutku z powodu zdrady, nawet jeśli troszkę nią poirytowany, poczuł się nagle do głębi odurzony odnowioną miłością, której bezsens rozumiał, jako że pogarda Jeanne wydawała się nieodwracalna. To nagle zmartwychwstanie uczuć dawnych i silnych zaskoczyło go; głupota sytuacji zdawała się go przytłaczać. Miał przed sobą wstydlive świadectwo: za późno, było za późno, by sobie wyobrazić, że ona jeszcze go kocha, że będzie mogła odsunąć wszystkie niemile resentymenty, jakie

odcisnął w jej sercu; ona, stworzona do tego, by wypełniać całe dni uczuciami wzniosłymi, by oddawać się bez reszty ideałowi uskrzydłonej miłości.

Toteż Alexandre, przewracając kartki, próbował wynaleźć jakieś pretensje do niej, wytropić jakieś wady głęboko ukryte, które pomogłyby mu odkochać się, jednak szczegółowy opis ich nieporozumień, ten tragiczny raport, jedynie pogłębiał jego współczucie i powodował przyływ czułości, co wbrew woli przybliżało go do Jeanne. W trakcie ich małżeńskiego życia nie podjął żadnej inicjatywy, która nie wzbudziłaby pogardy Jeanne, niezgodnie z jego intencjami; ta stała rozbieżność, tak przytłaczająca, dobiła go ostatecznie. Dawał jej część pensji na codzienne utrzymanie rodziny. Czuła się tym upokorzona, do żywego dotknięta myślą, że znalazła się w sytuacji jak niegdyś jej matka, tak podporządkowana, gotowa spełniać wszystkie *ukazy* małżonka. W małej wówczas Jeanne taka postawa budziła odruchy wymiotne. Toteż dwadzieścia lat później dostawała rodzaju psychicznej wysypki i popadała w taki lęk, że starała się nie wydać na siebie ani centyma z miesięcznych pieniędzy, które dawał jej Alexandre. W rozumieniu Jeanne jedynie dwójka ich dzieci mogła korzystać z tej sumy, która ją samą plamiła. Tak więc od siedmiu lat raz na miesiąc Alexandre wypisywał dla niej czek nie bez pewnej przyjemności, i aż do tej chwili nie miał najmniejszego pojęcia, jakie odwieczne niepokoje wywołuje ten dar. Daleka od odczuwania wdzięczności - co przyjąłby z zadowoleniem - Jeanne za każdym razem brała pieniądze z hamowaną wściekłością, nie ośmielając się jednak nic powiedzieć ani dać do poznania; to milczenie tylko pogłębiało gorycz, bo Jeanne przekonywała w duchu samą siebie, że komfort zapewniony przez męża zmniejsza jej zdolność do układania własnego życia, że opium tych pieniędzy ogranicza jej zapały i pragnienia.

To wyznanie nabazgrane ze zjadliwą goryczą - o czym świadczył nacisk na pióro - zbulwersowało Alexandre'a, podobnie jak fragment, w którym Jeanne wyrażała zdziwienie, że mąż nie pojmuje jej języka, nie rozumie, że ona okazuje swoje przywiązanie za pomocą gestów - jak jej się zdawało wyjątkowo przejrzystych, zamiast posługiwania się pięknymi słowami, które tak szybko tracą wartość. Przerażająca ślepotą Alexandre'a - zdaniem Jeanne - rysowała się najwyraźniej w humorystycznym epizodzie: Przed trzema laty podarowała Alexandre'owi płócienne spodnie, które z pełnym miłości staraniem wybrała w butik z Sydney. Nie raczył ich przymierzyć przez pięć dni, podczas gdy Jeanne na jego miejscu z pewnością zrobiłaby to od razu. Alexandre mógł do znudzenia powtarzać, że ją kocha; gruchać o rozpierających go uczuciach, Jeanne nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że jego zachowanie świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Czuła się dotknięta, że nawet nie przyszło mu do głowy, jak wiele czasu poświęciła na zakup tych spodni, jak długo rozmawiała ze sprzedawcą o swoim mężu, o jego skłonnościach, o niezdarnej sylwetce człowieka, który nie lubi swojego ciała. Nawet nie pomyślał, że płócienne spodnie wymagały od niej tyle czasu i uwagi. W owym czasie Alexandre nie mógł zrozumieć, dlaczego pewnego wieczoru odnalazł w swojej szafie te spodnie z pociętymi nogawkami. Dopiero dzisiaj pojął, jaką wściekłość wyrażały pocięte nogawki; ze zgrozą odczuł niemożliwą do zniesienia samotność kobiety, z którą - jak mu się zdawało - spędzali wspólne dni.

Właśnie ten przyimek - z - powracał jak refren w całym zeszycie, był znakiem przestankowym wyznań, nie ulegało bowiem wątpliwości, że Alexandre zawsze robił wszystko dla Jeanne, ale nie z nią. A ona nie chciała niczego, co nie było wcześniej upragnione, oczekiwane, wykonane czy wymyślone razem z nią. Do tego sprowadzało się jej oczekiwanie, do tego upartego wymagania, które przestawało ją dręczyć jedynie w zbyt rzadkich chwilach prawdziwego spotkania z Alexandre'em. W miarę jak Alexandre coraz bardziej naruszał układ ich miłości, lekceważąc jej potrzeby, Jeanne miała wrażenie, że wkracza w czarną noc niebytu, której nie potrafiła już nawet rozjaśnić miłość do dzieci. Nie umiała akceptować półśrodków tolerowanych przez ludzi kompromisu, nie potrafiła więc wpasować się w swój niedoskonały los. Nie była zdolna cieszyć się egzystencją, której nie wypełniała całkowicie nieskończoność miłości. Bez tego tlenu, jedynego, który jej odpowiadał, nie potrafiła znieść prowizorki składającej się na powszedniość dni. Jedyną dla niej miarą był brak ograniczeń - to stanowiło jej horyzont niepodlegający żadnym negocjacjom - toteż zaczęła myśleć, czy raczej spontanicznie odczuwać, że pozostaje jej tylko umrzeć ze smutku i nadmiaru rozpacz. Czy jej miłość, w którą zainwestowała cały swój kapitał czystości, okazała się niepowodzeniem? Taki wyciągała wniosek, równie wielki co dziecinny, wprost niewyobrażalny, jak wszystko, co stanowi podstawy życia nazywanego rzeczywistym. Zapoznana przez mężczyznę, do którego należała, nie miała już ochoty starać się o jego niechętnie zainteresowanie i nie widziała konieczności kontynuowania takiej egzystencji. Skazana na oglądanie innego, poczuła się tym splamiona, wyzuta ze swego najważniejszego marzenia. Wierząc w to, że Alexandre potrafi zaopiekować się dziećmi, postanowiła usunąć się z posępnej fikcji małżeństwa, w którym nie widziała dla siebie miejsca i w którym nie mogła już szanować samej siebie. To właśnie napisała w zeszycie, bez żadnej emfazy, i to właśnie wzruszyło Alexandre'a, zagubionego wobec kobiecości tak pełnej i głęboko zdegustowanego, że nie potrafił dorównać jej wielkością.

Jeanne nawet nie brała pod uwagę możliwości wyleczenia się z tej nienawiści, podjęcia próby odtworzenia wcześniejszych zapalów. Alexandre utracił ją bezpowrotnie. Nie było już czasu na ponowne otwieranie akt. Świadom nieodwracalności sytuacji, wpadł we wściekłość, że okazał taką niemoc w uwolnieniu Jeanne od niej samej. Niezdolny pozbyć się dręczących frustracji, nabrał do siebie najczarniejszej odrazy, bo jeśli jego miłość nie wносиła w życie małżonki niczego szczęśliwego, ożywczego i wyzwalającego, to on sam uznał się niegodny jej namiętności. Zwyciężony przez własną głupotę, przekonany, że sytuacja jest już nie do naprawienia, zdecydował zająć się tym, co najpilniejsze: ocalić życie Jeanne, zmusić ją, by żyła dla dzieci. Zadziwiające samoograniczenie podyktowane najbardziej bezinteresownym uczuciem! Tego samego dnia, czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, Rivière spakował trochę rzeczy, wsiadł do najbliższego samolotu do Australii i zniknął. Czerwony zeszyt na łożu małżeńskim, otwarty, dobrze widoczny, przypominał pośredni i wymowny, a tym samym śmieszny dowód. Była to jedyna wiadomość, jaką zostawił Alexandre. Jeanne nigdy go już nie zobaczyła.

II

Ludzie nie dlatego mają problemy, że rozumują chłodno, inteligentnie, logicznie. Mają problemy dlatego, że są nierozsądni i nielogiczni. Toteż, jeśli chcemy im pomóc, musimy spotkać się z nimi na ich własnym terytorium: na gruncie braku logiki.

Milton H. Erickson

Skazana na życie Jeanne zapomniała o samobójstwie, przewartościowała swoje smutki, teraz zbyt ambitne dla samotnej matki. Konieczność zrobiła z niej nauczycielkę, co rano odrabiającą pańszczyznę w zastępstwie Alexandre'a. Owo tymczasowe rozwiązanie stało się niemal jej oficjalnym przeznaczeniem, a dzięki systemowi premii - nawet dość lukratywnym zajęciem zarobkowym. Pogodzona z faktem, że stała się jedynie maszyną do wychowywania dzieci, przyzwyczaiła się do obyczajów profesorskich, bo ją podtrzymywały na duchu, do egzystencji niejako automatycznej, która uwalniała ją od uciążliwości samego istnienia, i do niewiarygodnych trudności idących z tym w parze. To kłamliwe życie, niemal bez jej udziału, toczyło się na Nowych Hebrydach na wypadek, gdyby Alexandre'owi zachciało się wrócić do własnej postaci i na własne miejsce przy stole.

Wraz z upływem kolejnych miesięcy Jeanne pogrążała się czasami w obezwładniającej nostalgii, długo negowała ideę miłości i upajała się goryczą. A potem, niewyleczona jeszcze ze wspomnień o Alexandre, odkryła w sobie zmianę: znacznie się ożywiła, odkąd nie musiała spełniać oczekiwań mężczyzny, bardziej interesowała ją kobieta hołdująca mniejszej liczbie pewników, jaka zaczęła się w niej budzić. Niektóre tropikalne poranki przynosiły godziny cudownej samotności, miesiąc miodowy z samą sobą. W chwilach gdy kolorów i emocji nie zabijał jeszcze upał, zaskakiwały ją przebłyski prawdziwie wewnętrznej radości w powodzi smutku, który wydawał jej się ostateczny. Wróciła jej chęć podobania się sobie, zwykle preludium do chęci podobania się. Zaczęło jej sprawiać przyjemność bywanie w powiększonym świecie młodej kobiety bez męża. Dlatego też Jeanne wraz z dziećmi, Maksem i Bérénice, ożywiona nowymi pragnieniami, przeprowadziła się do niewielkiego drewnianego domu z werandami na prerii Oceanii, na brzegu ciepłego oceanu. Pod ogromnym dachem z rdzewiejącej blachy wymyśliła sobie życie. Jedyny kłopot sprawiały jej niewiarygodne trudności z Maksem i Bérénice, dzieci bowiem postanowiły odegrać się na rodzaju ludzkim, a szczególnie na matce, za gorzki zawód, jaki sprawił im ojciec swoim zniknięciem, które oznaczało, że się dla niego nie liczyły. Stały się mistrzami buntu, zwłaszcza Max, demonstrujący sztywną niedostępność, niechętny naturalnej dezynwolturze i poetyckości swego usposobienia. Tak wyglądała sytuacja, gdy 14 kwietnia 1979 roku z samolotu w Port-Vila wysiadł mężczyzna, który mógł być Rivière'em.

Profil podróznego bardzo przypominał profil męża Jeanne, tyle że nie miał podwójnego podbródka, który przed dwoma laty obciążał rysy Alexandre'a. Również spojrzenie było bardziej nerwowe, bardziej

szperające, niedostępne i smutne zarazem. Szczuplejsza sylwetka emanowała prawdziwą, szaleńczo instynktowną męskością, podkreśloną sposobem trzymania głowy, wspartej na sztywnym karku; zdawało się, że na rozgrzanej płycie lotniska pojawił się niekwestionowany autorytet. Cała ta niewątpliwa uroda - którą wydawał się ignorować czy lekceważyć - przypominała kobietom, że nigdy nie przestanie ich pociągać kocia, bezczelna męskość. Jakże podnoszące na duchu jest pożądanie mężczyzny, który już się potknął, ale zwyciężył własne słabości! Cała fizjonomia świadczyła o zdecydowaniu, o wyraźnym zamiłowaniu do nieskończoności; o ile bardziej interesująca była ta fizjonomia od młodzieńczej twarzy Alexandre'a, zbyt gładkiej i puciołowatej. Na nieobecnym obliczu tego człowieka malowało się życie wewnętrzne; rysy ożywały chwilami pod wpływem natłoku myśli. Wtedy ta opanowana twarz wymykała się spod kontroli, na moment skręcała się z bólu, co świadczyło o tym, że pancierz nie jest kompletny. Podczas kontroli celnej mężczyzna spokojnie czekał w kolejce, niemal zażenowany widocznym wrażeniem, jakie wywoływała jego rezerwa i magnetyzm. Następnie pokazał paszport, z którego wynikało, że istotnie nazywa się Rivière. Funkcjonariusza policji, który sądził, że zidentyfikował przybysza, zadziwiło tylko imię: Octave.

- Od półtora roku jest poszukiwany niejaki Alexandre Rivière - wymamrotał.

- Mój brat? - mężczyzna wydawał się zaskoczony, mówił z lekkim akcentem nowozelandzkim. - Ja też go poszukuję.

Celnik o lepkiem spojrzeniu i ruchach mocno spowolnionych przez upał poprosił go o przejście do biura brytyjskiego inspektora, sztywnego, napuszonego wagą swojej pozycji. Na Nowych Hebrydach w owym okresie administracja francusko-angielska panowała jeszcze nad dwugłową kolonią, na której rodził się silny podwójny nacjonalizm. Octave Rivière wydawał się niezadowolony, kiedy mu powiedziano, że Alexandre, jego brat bliźniak, zniknął przed dwoma laty. Poproszono, by dla dobra śledztwa pozwolił się sfotografować. Funkcjonariusz skonstatował, że uszy Octave'a są bardziej odstające niż uszy Alexandre'a, nie wiedział bowiem, że Alexandre naprawił to drobne niedopatrzenie natury przed ośmiu laty, poddając się lekarskiemu skalpelowi w Melbourne. Krótko mówiąc, Octave dość szybko uwolnił się od tej rozmowy, której towarzyszyła typowo policyjna podejrzliwość. Wyszedł zaopatrzonej w nowy adres bratowej.

Kiedy Jeanne otworzyła drzwi, zobaczyła eleganckiego Alexandre'a, który jej nie poznawał.

- Pani Rivière, jak przypuszczam? - zaryzykował Octave z uśmiechem, który przygwoździł młodą kobietę.

Był to niemal taki uśmiech, jaki Jeanne chciała zobaczyć na ustach Alexandre'a od pierwszej chwili małżeństwa: wreszcie męski, płynący z wnętrza, trochę nieśmiały, pozbawiony małostkowej chęci podobania się. Jednak w ukradkowym przygryzieniu warg kryła się osobowość odmienna od jej męża. Ten wzrok bez lęku, zamknięty w oczach koloru rtęci, w których koncentrował się cały energiczny charakter, odbijał niezwykłą czystość, palące pragnienie bycia prawdziwym. Jeanne stała jak skamieniała, przytłoczona obecnością tego niedostępnego mężczyzny, obdarzonego niezwykłym zasobem woli, tego innego Alexandre'a, który wszak mógł być tylko Alexandre'em. Na werandzie królował bezruch obejmujący

i ludzi, i rzeczy. Ciszę przerywał uparty wentylator, nagle obecny między nimi, niedający się zignorować. Erotyzm tkwiący w ich zażenowaniu na chwilę nasycił atmosferę, po czym Jeanne uciekła się do ironii:

- Wyszedłeś po papierosy?
- Jest pani jego żoną?
- Kpisz ze mnie?
- Jestem Octave. Czy mogę wejść?

Lekki akcent nowozelandzki, słyszalny nawet w tych kilku słowach, na chwilę zbił ją z tropu. Ale zaraz wybuchnęła szalonym śmiechem, kaskadą urywanych dźwięków, wyrażających całą złość, jaka nabrzmiewała w niej przez dwa lata. Octave pozostał uważny, nieruchomy, bez widocznej reakcji przyjmował nerwowe zachowanie młodej kobiety. Więc ten przesadny śmiech wydał się Jeanne nie na miejscu, choćby dlatego, że nie zakłócił spokoju rozmówcy. Umilkła, starając się uchwycić zimny ogień we wzroku gościa, spytała w końcu:

- Pan jest Octave? Naprawdę?
- Octave Rivière - odpowiedział, wyciągając do niej rękę.

Zrobił krok do przodu i dokładnie w chwili, gdy miała ująć jego dłoń, zacisnął ją w pięść. Zaskoczona Jeanne stała przez chwilę niepewna; po kilku sekundach opuściła ją wszelka chęć do kpin i zwątpienia. Korzystając z jej niepewności, którą tak zręcznie spowodował, Octave rozprostował dłoń. Jeanne ujęła ją i od razu zorientowała się, że uściśnięcie tej ręki oznacza zetknięcie się z wymaganiami. Alexandre, zawsze gotów ustępować kobietom, ospalej Oceanii i sobie samemu, nigdy nie miał niezależnej osobowości tego człowieka, który - co łatwo dawało się odgadnąć - przez cały czas stara się ocalić siebie przed przeciętnością. Ta różnica postawy wyrażała się w uścisku ręki Octave'a, uścisku, który do końca się nie rozluźniał.

Ciągle zdezorientowana Jeanne wpuściła mężczyznę do domu. Dzieci bawiły się daleko na plaży, w plecionych kapeluszach chroniących od palącego słońca. Na zewnątrz nic nie umykało letargicznemu upałowi, który wciskał się wszędzie. Ocean pozbawiony fal rozciągał swą horyzontalną martwość w niezmierną dal pocętkowaną wulkanicznymi wysepkami. O tej porze woda zdawała się płynnym płomieniem, którego nienaruszona gładkość sięgała aż do Papeete. Wysokie mahonie drżały w lekkich podmuchach pasatu, oddzielały ich od upartego błękitu, od wertykalnego światła, pożeracza cienia; od światła, które niby martwe liście w szpalerach drzew wciskało się do wnętrza przez chińskie żaluzje z brązowego papieru. Octave milczał w obliczu tej przyrody, nieznaającej jesieni ani zmęczenia, w obliczu wilgotnego pożaru powtarzanego w nieskończoność, ale jego milczenie nie przypominało milczenia Alexandre'a, uciekającego w oazy ciszy, które niegdyś przyprawiały Jeanne o takie cierpienia. To milczenie było szczęśliwe, przyjemne, z uporem robiło im miejsce, zapowiadało moment wybrany specjalnie dla nich, bez nieporozumień; wspólne oddychanie w takim milczeniu zachwycało Jeanne, wciąż jeszcze zaskoczoną. Czuła, że Octave potrafi wytworzyć w sobie pustkę, która nie jest jałowa, tę strefę odnowy, w której umacniają się rozproszone, jeszcze niezbyt wyraźne uczucia.

Octave odwrócił się wreszcie. Nagła pieszczota jego wzroku - choć nadal unikał spojrzenia jej w oczy - zadziwiła Jeanne; uderzyła ją niespodziewana słodycz tego człowieka, w którego osobowości tak zdecydowanie przeważała prymitywna męskość pod delikatną powłoką ogłady. W jego źrenicach pojawiały się odbicia, które za moment mógł wykorzystać. Powstrzymał się jednak i jakby zdyscyplinował swoje ogromne ciało, na chwilę zlekceważone. Znowu wydawało się, że zamierza coś powiedzieć, jakby wyzwalał się z ogarniających go tęsknot, co obudziło w Jeanne pragnienie, by się odezwał.

- Więc co? - zapytała.

- Spotkałem w samolocie śmieszna kobietę, zbyt wyperfumowaną, która na pewno by panią rozbawiła; taki typ małej Blanche, niezdolnej zaakceptować rzeczy oczywistych i z uporem trzymającej się swoich pomysłów. Rozumie pani? Baba dość ograniczona, zjadliwe zero, głęboko rasistowskie, tępe...

Ton początkowo kpiący, potem nacechowany pogardą, nie zachęcał do kontaktów z opisywaną pasażerką; po chwili milczenia, podczas której Jeanne pomyślała, że ta kobieta pełna złośliwości była uosobieniem stereotypu osadnika z Hebrydów, nagle dorzucił:

- Była przekonana, że jestem Alexandre'em. Chyba się znali... pani Lebranche.

- Owszem, żona doktora Lebranche'a.

Po kilku sekundach, dzięki tej porozumiewawczej nucie, Jeanne pogodziła się z myślą, że ma przed sobą Octave'a, nieświadoma, że stała się obiektem manewru. Później, dokonując nagłego zwrotu niwelującego na pozór wyniki tego pierwszego fortelu, mężczyzna zapytał:

- A gdybym teraz powiedział, że jestem Alexandre'em, czy pani by mi uwierzyła?

Zbita z tropu Jeanne milczała, niezdolna jasno myśleć; w końcu odpowiedziała z pewnością świadcząca jedynie o jej prawdziwych odczuciach:

- Nie, pan nie jest Alexandre'em.

- A jednak mógłbym nim być. Wszystko zresztą pozwala na takie przypuszczenie. Jego nie ma - ja jestem. Nasze uderzające podobieństwo dotyczy również głosu, prawda? Zresztą wiem, że zdaniem angielskiej policji jestem Alexandre'em.

- Ale nie moim.

- Tylko proszę nie mówić, że są rzeczy, które kobieta wyczuwa, bo sprawi mi pani zawód... Proszę powiedzieć coś, co będzie na pani poziomie.

- Nie jest pan moim mężem.

- Stwierdzam, że za łatwo nabiera pani pewności.

To ostatnie zdanie zupełnie ją zaszokowało, nie mogła zebrać myśli. Nagle uznała tę rozmowę za pierwszy rozdział przygody pełnej poślizgów.

A on dokończył:

- Wolałbym panią widzieć bardziej pewną, a mniej zarozumiałą.

Jeanne próbowała się uspokoić, pozbyć otępienia, w jakie wprawiło ją zachowanie tego mężczyzny, i ze zdumieniem stwierdziła, że nic ją nie obchodzi, czy to Octave, czy Alexandre, tak wyraźną

przyjemność sprawiało jej spotkanie w nim swojego męża, ale poprawionego, przerobionego, nareszcie prawdziwego mężczyznę. O jednym tylko była przekonana: chętnie zaproponowałaby mu pokój, łóżko i siebie w tym łóżku, bo przeżywała wspaniałą powtórkę pierwszego kontaktu z Rivière'em, z poprawionym sobowtórem, przygodę, która nigdy nie może zdarzyć się w rzeczywistości. I tylko to było ważne, tylko to przemawiało do jej drżącej skóry i rozgrzanej wyobraźni, a kiedy kobieta czuje się zmuszona słuchać swego ciała, odpowiadać marzeniom, które trzymają ją w niepewności, to wkrótce się podda. Tymczasem Jeanne zamierzała zachować dystans, fałszywą obojętność w sposobie bycia; kontynuowała więc:

- Co mam powiedzieć dzieciom?

- Ta dwójka jest pani?

- I twoja - usłyszała własną odpowiedź. - W co ty się bawisz?

Kiedy przeciągnął ręką po włosach, Jeanne przez sekundę wierzyła, że widzi przed sobą Alexandre'a, i zadrzała na widok napiętych rysów twarzy mężczyzny, który tak przypominał jej własnego męża. Ten przypływ pewności, całkiem nieracjonalny, ośwładnął ją i wyeliminował poprzednie wrażenia, jakby nagle w tym gościu ujrzała dowód, że odnalazła Alexandre'a, ulepszony, który przynajmniej w części był sobą.

Kierowana odruchem, wyciągnęła ukradkiem rękę w jego stronę, by potwierdzić namacalnie to, co podszeptowała jej intuicja. Jednak Octave cofnął się o krok i z całym właściwym sobie zdecydowanym i nieodwołalnym chłodem zapytał bez osłonek:

- Czy Alexandre powiedział pani, dlaczego zniknąłem przed piętnastu laty?

- To był wypadek... na Wyspie Banksa... polowanie na morskiego krokodyla, prawda?

- Krokodyl miał na imię Justine. Pożarł nas... obydwu, kiedy wyszliśmy z *École Normale*. A potem ten krokodyl nas rozdzielił. Przyjechałem tu, żeby przebaczyć mojemu bratu i znowu się z nim spotkać. Po piętnastu latach, to może trochę późno... Alexandre opowiadał pani o Justine?

- Nie - odparła Jeanne.

- Pewnie umarła dla niego...

- Tak jak pan. Twierdził, że pan nie żyje.

- A on? Żyje jeszcze?

- Przed miesiącem dostałam kartkę pocztową z Malezji. Pisał...

Jeanne zamilkła, patrzyła na Octave'a, który utrzymywał, że jest zmartwychwstałym Rivière'em, a potem dorzuciła jednym tchem:

- Daj spokój, Alexandre, w co ty się bawisz?

- Co pisał na tej kartce? - podjął spokojnie, ignorując pytanie Jeanne.

- Pisał, że będziesz tutaj za miesiąc. U mnie.

Mówiąc te słowa, Jeanne zaryzykowała dotknięcie palcem warg Octave'a. Ręka mężczyzny, szybsza, powstrzymała ten gest czułości. Powiedział stanowczo:

- Już nigdy żadna kobieta nie rozdzieli mnie z Alexandre'em.

- Dlaczego mówi pan to mnie?

- Zostanę na Nowych Hebrydach, dopóki on nie wróci.

Kartka jest sprzed miesiąca, więc nie powinno to trwać długo... Ale kiedy wyjdę za próg, owszem, nie wcześniej, dopiero jak wyjdę z tego domu, może się zdarzyć, że pani się we mnie zakocha. Istnieje taka możliwość - nawet jeśli trudno teraz w to uwierzyć - ponieważ jestem do niego bardzo podobny, a kiedyś podobał się pani. Jeśli tak się zdarzy, równie możliwe jest, że pani to przede mną ukryje...

- Słyszał pan kiedyś o skromności? - wtrąciła zjadliwie.

- Jest pani wyraźnie poirytowana. Zastanawiam się, czy ta złość wymierzona jest we mnie, czy też pomaga utopić pani uczucia...

- Nic do pana nie czuję, jasne?

- Kochała go pani?

- Pogardzałam nim.

- Będę więc panią trzymał na dystans.

- Dlaczego? - zapytała.

- Może później wytłumaczę...

- Dlaczego?

- Nie chciałbym, żeby moja odpowiedź przyczyniła się do wzbudzenia namiętności... - I powtórzył, modulując głos: - ...kiedy już przekroczę próg tego domu.

- Uważa mnie pan za dziewczynkę, na której łatwo zrobić wrażenie?

- Proszę usiąść! - polecił.

- Dobrze się czuję, stojąc!

- Zamierza pani w dalszym ciągu rozmawiać ze mną, przemierzając pokój w tę i z powrotem, tak jak teraz?

- Owszem, jeśli szczerze odpowie pan na moje pytania.

Octave milczał, opóźniając odpowiedź tak długo, by Jeanne zapragnęła ją usłyszeć. Patrząc na nią tak, że cała reszta salonu przestała dla niej istnieć, powiedział:

- Pytam, czy po moim wyjściu z tego pokoju zakocha się pani we mnie z prostej chęci przeciwstawienia się temu, co pani wyznałam, czy też wygodniej pani będzie zadać sobie to pytanie później, bo oczywiście nie ma ono sensu w tej chwili, podczas naszej rozmowy, to zrozumiałe, dopóki pani chodzi w tę i z powrotem, a ja tu jestem; w każdym razie jeszcze nie teraz, przyzna pani...

W umyśle Jeanne były już tylko oczy i głos Octave'a, owa fascynacja, która przekreślała wszelkie pytania o prawdziwą tożsamość tego człowieka. Zauważyła, że przestał unikać jej wzroku, że ich oczy się spotykały. Starając się zapanować nad sobą, Jeanne powtórzyła pytanie:

- Czy mogę wiedzieć, dlaczego uznał pan za konieczne, by trzymać mnie na dystans, jak pan to powiedział?

Teraz Octave zaczął spacerować po pokoju, nie przestając mówić, a ona nawet nie uświadomiła sobie, że jego kroki czynią taki sam hałas jak jej obcasy, i ta niedająca się zdefiniować harmonia - choć wyznaczana przez niego - powoli stawała się ich wspólną.

- Gdybym pani to powiedział - Octave znowu unikał jej wzroku - i gdyby miało to przyspieszyć proces, do którego prawdopodobnie dojdzie, nie będzie mi pani miała tego za złe? Ponieważ nie ulega żadnej wątpliwości, że nigdy nie zaakceptuję związku z żoną Alexandre'a. Nigdy. Nawet jeśli obydwoje, pani i ja, wiemy, że ta ewentualność może nastąpić, choć w tym momencie wydaje się absurdalna.

- To na pewno nie mieści się w programie.

- Czy naprawdę nie obawia się pani moich wyjaśnień? Nawet jeśli narzucą taki sposób widzenia, który skłoni panią, choćby wbrew woli, do uświadomienia sobie swoich sentymentów? Oczywiście, jeśli one się zrodzą, zaraz po moim wyjściu... Chciałbym, żeby miała pani absolutną pewność, że godzi się na ryzyko zakochania się we mnie, mimo że ja zawsze pozostanę niedostępny...

- Owszem.

- Skoro jest pani uprzedzona o tym, co nastąpi... to może... kiedy już wyjdę, na pewno nie wcześniej. Nie będzie pani mogła powiedzieć, że panią podszedłem.

- Nie - potwierdziła, oszołomiona jego pewnością siebie.

- Zgoda. Zanim jednak powiem pani, dlaczego czuję się w obowiązku trzymać ją na dystans, i zanim przekroczę próg tego domu, chciałbym, z czystej ostrożności, wyznać, kim jestem naprawdę, przekonać, że jestem godny nienawiści, ostatni mężczyzna, jakiego można kochać. Zwłaszcza dotyczy to takiej kobiety jak pani.

- Dlaczego zwłaszcza takiej kobiety jak ja?

- Nie, w końcu wolę milczeć, ponieważ nie sądzę, że jest pani gotowa słuchać czy raczej zrozumieć to, co chciałbym jej powierzyć...

Mówiąc to, Octave zaczął chodzić wolniej, narzucając Jeanne swój rytm, czego nawet nie zauważyła. Przez cały czas starał się unikać jej wzroku.

- Proszę posłuchać, to po prostu śmieszne... Po pewnym czasie kontynuował:

- Gdybym był kobietą, stroniłbym od takiego typu jak ja. Bo jestem człowiekiem chwili; człowiekiem, który nieustannie próbuje przekonać siebie samego o tym, w co rzekomo wierzy; człowiekiem, którego słowa po ośmiu dniach tracą wszelką wartość, szczególnie jeśli są wielkie i zdecydowane; człowiekiem, który zawsze pragnął i zawsze będzie pragnął wszystkich kobiet! Tak, wszystkich, aby dzięki nim poznać całą prawdę o życiu, a także część tego, czym jest, aby się nie zamknąć, nie zabalsamować w swoim ostatecznym ja.

- Nigdy nie dochował pan wierności?

- Nigdy nie spotkałem kobiety, która mogłaby być wszystkimi kobietami.

- Sądzi pan, że ona istnieje?

- Czy taka kobieta istnieje? Oczywiście! Ale żadna nie potrafiła mi udowodnić, że jest właśnie nią. Żadna nie sprawiła, bym pragnął być kimś więcej niż tylko żalonym amantem. A ponieważ marzę o tym, żeby być wiernym, zdarza mi się czasami przekonać samego siebie, że takim jestem przez jakiś czas, żeby zbadać coś, co poznaje się tylko w związku monogamicznym. Pozostaję jednak mężczyzną, który szybko się nudzi, takim typem jak Oscar Wilde, który wyzwala się od pokusy, jedynie ulegając jej, i którego często przeraża myśl, że nie uda mu się spotkać takiej... Nienawidzę uczuć, które wzbudzam.

- W sumie jest pan mężczyzną bardzo przeciętnym...

- Owszem, bardzo, bardzo przeciętnym, który jednak całkiem dobrze potrafi wmówić, że nim nie jest. Proszę mi nie wierzyć, nigdy. A teraz... nie wiem, czy potrafi pani o mnie zapomnieć. Nie wiem, czy po moim wyjściu z tego pokoju po kilku minutach ogarną panią uczucia, których pani nie życzę. Do widzenia, Jeanne. Od tej pory będę robił wszystko, żeby pani unikać.

- W dalszym ciągu nie chce mi pan powiedzieć, dlaczego? - powtórzyła.

Octave uchwycił przedramię młodej kobiety. Bardzo ją to zmieszało, bo przyciskał rękę, patrząc w inną stronę; toteż Jeanne zaczęła myśleć o tym kontakcie, zapominając opierać się temu, co sugerował pewny siebie głos:

- Jeśli gardzi pani moim bratem, ponieważ panią zawiódł, to znaczy, że pani go kocha. Teraz, kiedy stoi pani przede mną i w dalszym ciągu mnie słucha, chciałbym, żeby pani zdecydowała się nie widzieć we mnie odmienionego Alexandre'a, zdolnego panią zrozumieć, być może nawet dokładnie takiego, jakim pani pragnęłaby go widzieć. Ani pani, ani ja nie wiemy, czy pani to robi, nie życzyłbym sobie jednak, żeby odnalazła pani we mnie swojego męża, wyleczonego ze wszystkich wad, które wywołały pani pogardę, Alexandre'a, który pozbył się wszystkich dawnych błędów. Niektóre kobiety na pani miejscu mogłyby się wciągnąć w to zamieszanie, ale...

Puścił jej rękę. Świadomość Jeanne błyskawicznie wróciła do tego, co jej wyznawał, kiedy powtórzył:

- ...tego wszystkiego sobie nie życzę.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Octave zamknął oczy, pochylił się w stronę Jeanne i kładąc jej dłoń na plecy, pocałował w usta, w chwili ulotnej jak rozkosz, pożądanej przez całe jego ciało, zanim pomyślał o tym umysł. Czowała się ogłuszona, zaszokowana, nierozumiejąca, co jej się przydarzyło, gdy on tymczasem dodał z widocznym zażenowaniem, mrużąc powieki:

- Proszę wybaczyć. Teraz pani zrozumie, dlaczego jej unikam. Pragnę nigdy się pani nie podobać. Nigdy!

I oddalił się. W momencie gdy Octave wychodził, Jeanne rozumiała, że właśnie wszedł w jej życie. Swoją zniewalającą pewnością i rozbijającym urokiem skutecznie kierował ją najpierw powoli, a potem raptownie w swoją stronę, czym definitywnie zburzył jej prowincjonalny spokój. Jeanne natychmiast zaczęła walczyć z chaosem myśli, nie chcąc zagłębiać się w prawdziwe uczucia do tego wspaniałego mężczyzny - okazu męskości, który z tak nieomylnym talentem potrafił ją zirytować. Ocieżała

od nadmiaru emocji czy raczej skręcająca się z pożądania pośrodku własnego salonu, zapomniała nawet zadać sobie pytanie, czy pocałował ją Octave, czy Alexandre.

W Port-Vila wiadomość o powrocie Alexandre'a dołała oliwy do ognia komentarzy, wywołała lawinę plotek we wszystkich sennych stowarzyszeniach kolonii, nie wyłączając klubu brytyjskiego, zachowującego rytualną wręcz rezerwę i niechęć do mieszania się w zbyt francuskie debaty. Wymawianie imienia Alexandre'a oznaczało nazwanie po imieniu śmiałości, makiawelizmu małżeńskiego i lokalnej zagadki ostatniego dziesięciolecia. Aby uciec od zwyczajności, upajano się oczernianiem, wymyślano z zapalem pomówienia na temat tej, w sposób oczywisty podejrzanej afery. Dla nikogo z tych ludzików, przetransplantowanych na wyspy - od urzędnika tonącego w pesymizmie z powodu malarii do najbardziej zaaklimatyzowanego kupca - nie ulegało wątpliwości, że chodzi o męża Jeanne Rivière, choć niektórzy starsi mieszkańcy pamiętali, że przed wielu laty spotykali innego Alexandre'a, brata niemal identycznego, o rysach dokładnie skopiowanych z bliźniaka. Pozostawało jednak ciągle aktualne pytanie, które dręczyło wszystkich plotkarzy: dlaczego Alexandre Rivière wrócił? Jego zamiary musiały być równie mętne jak postęпки. Wyobrażano sobie, że bez trudu żegluje po rzece forteli, pławiąc się w kłamstwie, w drodze do jakiegoś przerażającego celu, który przekraczał nadwerężone upałem możliwości pojmwania mieszkańców wyspy. Oczywiście, że ten fałszywy brat przyjechał się zemścić, tylko za co?

Jeanne zadawała sobie podobne pytania, choć równocześnie była zła na siebie, że pozwoliła się pocałować temu Rivière'owi, który być może był jej mężem; temu mężczyźnie, który nagle wprowadził ją w stan niespokojnego oczekiwania, podczas gdy wolałaby po prostu jeszcze silniej nienawidzić Alexandre'a. Naturalnie od momentu jego zniknięcia próbowała innych miłości, niezobowiązujących, kiedy raczej wypożyczała się, niż oddawała, lub chwyciała jedynie przelotną rozkosz. Zawsze zmuszała się, by odchodzić od tych mężczyzn, od roju wzdychających, uciekać od uczuć zbyt trwałych w obawie, by nie rozproszyć się w kolejnej przeciętności.

I oto znowu pojawił się Alexandre w osobie Octave'a - jakby to wszystko było ledwie żartem - łagodząc tym jej wściekłość i niwelując dodatkowe wyrzuty, by lepiej zawładnąć jej zmysłami. Zaledwie kilkoma kwestiami, i to nawet nie patrząc jej w oczy, narzucił swoją defensywną grzeczność, swoją rezerwę, która była ostrzeżeniem. Oszołomiona sprawą tożsamości Rivière'a, Jeanne czuła się zdezorientowana. Zachowania, do których przywykła w obecności Alexandre'a, stały się bezużyteczne, nieprzydatne. Zahipnotyzowany umysł, przytłoczony tą zagadką, nie miał czasu, by rozważyć wszystkie przyczyny urazy.

A był jeszcze inny powód jej niezadowolenia. Max i Bérénice dowiedzieli się o przybyciu owego Octave'a, którego uważano za ich ojca. Żadne z nich nie wątpiło, że pokazywał się w miejscach, w których mogliby go spotkać, tylko dlatego, żeby dać im znać o przyjeździe. Widziano, jak kręcił się z fałszywą dyskrecją w pobliżu ich szkoły, a także w innych punktach, gdzie często spędzały czas dzieciaki z miasta. Fakt, że ponownie pojawił się ten człowiek, którego zniknięcia nigdy nie mogli zrozumieć, i że od przybycia na Hebrydy jakby ich unikał, tylko powiększał niepewność, zwielokrotnioną milczeniem matki,

tą upartą ciszą, która jedynie powiększała niecierpliwość dzieci. A prawdę mówiąc, Jeanne po prostu nie wiedziała, co ma im wytłumaczyć.

Pewnego wieczoru Bérénice zdobyła się na odwagę, nie domyślając się nawet, do jakiego stopnia kierują nią z oddali zamiary Octave'a, i zapytała:

- Ten pan to tata czy nie?

Jeanne, pełna wahań i obaw, by nie popełnić błędu o fatalnych konsekwencjach dla dzieci, odpowiedziała krótko:

- Nie wiem.

- Jest do niego podobny - oświadczył Max. - Widziałem go w porcie.

- Twierdzi, że jest jego bliźniakiem - podjęła Jeanne. - To prawda, że tata miał brata bliźniaka, ale sądziłam, że on nie żyje, bo tata nie chciał o nim mówić.

- Więc to jest nasz wuj - stwierdził Max.

A Bérénice zauważyła:

- Lucie widuje swojego wujka...

Jeanne nie zareagowała na tę zawołaną aluzję, która wymagała wyjaśnienia. Wstała i z hałasem sprzątała ze stołu, wykorzystując tę domową dywersję.

Jednak Bérénice nalegała:

- Przychodzi do nich w niedziele, ten wujek...

- Może kiedyś Octave też przyjdzie - odpowiedziała Jeanne z zażenowaniem, które świadczyło o chęci zakończenia rozmowy.

- Octave czy tata? - dopytywał się Max.

- Moi kochani, gdybym wiedziała, dawno bym wam o tym powiedziała.

- Jeśli to nasz wuj, dlaczego nas unika? - nalegała Bérénice.

- Może nie tyle unika was... może raczej mnie - odpowiedziała Jeanne.

- Dlaczego?

- A dlaczego tata odjechał? - zapytała Bérénice z całym spokojem, co pozwoliło jej zapanować nad widocznymi emocjami.

Jeanne nigdy nie zwierzyła się dzieciom ze swoich odchyleń, z chęci wyeliminowania siebie z życia, z absolutnej odmowy czepiania się niedoskonałego losu. Nie miały najmniejszego pojęcia, że mama jedynie dla nich porzuciła myśl o zabiciu się, że jest w najwyższym stopniu oporna wobec wszelkich ustępstw na rzecz rzeczywistości; nie miały pojęcia, jak głębokie miała poczucie, że prześladowuje ją pech, bo musi żyć bez wielkiej miłości, z niesmakiem gorzkiego zawodu, zatruwającym wszystko. Jeanne taka była; nie potrafiła w przelotnym dreszczu utopić swojej potrzeby nieskończoności. Kochanie powinno pozostać niebiańskim doświadczeniem, więc w jego braku lepsze jest nic, owo nic, do którego może dołączyć bez zwłoki po jednym strzale z rewolweru. Istnieją róże, które więdną jeśli nikt na nie nie patrzy; nienarzucające się, spragnione jedynie, by na nie patrzyć; róże, które umieją tylko się oddawać.

Jeanne wyjaśniła Bérénice, że nie ma pojęcia, co zmusiło ojca do usunięcia się w taki sposób i do tak upartego pozostawania w oddaleniu. Szukając odpowiednich słów, starała się przekonać samą siebie, że Octave nie jest ich tatą. Jednak w chwili gdy otwierała usta, myślała o tym, że trzeba pozbyć się tych wątpliwości, żeby uwolnić się od natrętnych pytań, które utrudniają udzielanie dzieciom prostych odpowiedzi.

Wskazówka dotycząca zbyt odstających uszu Octave'a, takich, jakie kiedyś miał Alexandre, zanim kazał je zoperować w Melbourne, uzasadniała przypuszczenie, że nie jest to jej mąż. Jednak inne przesłanki przeczyły temu wrażeniu. Nie ulegało wątpliwości, że Jeanne powinna przeprowadzić staranne i metodyczne śledztwo, aby poznać prawdę i zmusić się do porzucenia mrocznych pragnień. W przebiegach jasnego myślenia odgadywała tajemne skłonności do przedłużania wahań. Tej cudownej niepewności, dzięki której czeka ją dreszcz spotkania Alexandre'a uwolnionego od zniecierpliwień, lepiej wyszkolonego w sztuce zmniejszania jej poczucia samotności, nie tak ambitnego i pewnego siebie, takiego, jakim chciałaby go widzieć od początku ich miłości. A jeśli to rzeczywiście jest Alexandre, to zbyt wiele ma do niego pretensji, by pozwolić sobie na pożeranie go oczami z niepokojem, który ją pochłania i któremu nie chciała za wcześnie uwierzyć; jeśli to jest Octave, mogła jedynie żałować, że Alexandre'owi zabrakło tej energii i pokrętnej wyobraźni, by powrócić na swoje miejsce w jej życiu. I w końcu ta hipoteza zbyt prosta złościła ją bardziej niż inne.

Oczywiście pod pełną aluzji presją dzieci Jeanne postanowiła pewnego wieczoru odwiedzić Rivière'a w dość marnym portowym hotelu, stanowiącym próbkę architektury kolonialnej naruszonej przez ostatni cyklon. Nawet nie przyszło jej do głowy, że gdyby Octave chciał ją zmusić do odwiedzin, udając, że mu na tym nie zależy, nie mógłby postąpić w sposób bardziej zmyślny. Nie spotykając się osobiście z Maksem i Bérénice, bez trudu mógł przewidzieć, że dzieci zmuszą matkę do skontaktowania się z nim, żadne wiadomości, czy człowiek, o którym mówiło całe miasto, rzeczywiście był ich ojcem. Octave nie mógłby znaleźć nikogo lepszego do przyspieszenia tego spotkania niż Max i Bérénice, bo - podobnie jak wszystkie dzieci - posiadli umiejętność manipulowania rodzicami bez ich wiedzy, za pomocą pośrednich sugestii.

Toteż Jeanne uważała, że pomysł odwiedzenia Octave'a przyszedł jej do głowy całkiem spontanicznie, wydawało jej się to zresztą tak naturalne, że nawet się nie zastanawiała, czy ktoś jej tego nie zasugerował. Gdy wchodziła po schodach prowadzących do hotelu, myślała wręcz, że lekceważąc w ten sposób życzenia Octave'a, by jej unikać, daje dowód swojej niezależności. Nawet przez moment nie wyobrażała sobie, że dostarczył jej pretekstu, by mogła się sprzeciwić.

W recepcji poinformowano ją, że pan Rivière udał się do szkoły protestanckiej, gdzie Max i Bérénice pobierali nauki, do placówki, w której ona nie uczyła, a która im obojgu nieźle dawała się we znaki. Zaintrygowany wzrok pracownika hotelu, podobnie jak wzrok wszystkich tubylców, ilekroć w jej obecności wspominano Octave'a, usiłował w najdrobniejszych reakcjach Jeanne odnaleźć wskazówkę do rozwiązania tajemnicy: czy ona wie, kim jest ten mężczyzna. Zdegustowana tym Jeanne starała się zachować nieodgadnioną minę i ruszyła do prezbiteriańskiej szkoły. W połowie drogi w gaju kokosowym

nad brzegiem wody dostrzegła mężczyznę, który zdecydował, że się jej nie spodoba; ten jego opór wprowadził ją jednak w zażenowanie.

Octave również zauważył Jeanne. Zatrzymał się, zaczekał, aż do niego podejdzie; wieczorne słońce nadawało pejzażowi wyraz spokoju. Ta postawa, podkreślona jeszcze absolutnym bezruchem, uświadomiła jej, jak bardzo pragnie wyjść mu na spotkanie. W ten sposób Octave zdawał się sygnalizować, że choć się nie uchyla - co wszak świadczyłoby o lęku - to jednak nie robi w jej stronę ani kroku.

Wobec tej rezerwy Jeanne odczuła przyjemność płynącą z gotowości uwodzenia, wykorzystania zasobów kobiecości, które budzą się jedynie wtedy, gdy trudno się podobać; przeszył ją lekki dreszcz, niemal upajający, owo szczególnie zwycięskie upojenie, które tak nieliczni mężczyźni potrafią wywołać u płci przeciwnej. Głupcom zbyt spieszno przyłgnąć do ciała kobiety, jeszcze zanim zdąży ona odurzyć się próbą swej nieuczciwej siły przyciągania. Alexandre nigdy nie umiał się tak zachowywać, potrafił osłabić pożądanie Jeanne przez pośpiech, poganiany swym niecierpliwym apetytem.

Zbliżyła się i już zamierzała się odezwać, gdy ubiegł ją, jak zwykle unikając spojrzenia w oczy:

- Jeanne, z tysiąca powodów, które mnie obciążają (pomyślała przelotnie, że powie: *powodów, które mnie dotyczą*, a to odwróciło jej uwagę), chciałbym zaprosić panią na kawę. I z tysiąca powodów, które tylko mnie dotyczą, pragnąłbym, żeby pani odmówiła. To by mi bardzo odpowiadało. Jak najbardziej.

- A więc ułatwię panu życie, jeśli zechce pan przejść się ze mną kawałek.

- Czy wie pani, dlaczego trudniej jest nie podobać się kobiecie niż się jej podobać?

- Sądzę, że nie zna pan kobiet.

- To prawda. Ale właśnie dlatego zadałem pani to pytanie, bo nie znam na nie odpowiedzi.

- Trzeba bardzo niewiele, by się nie podobać, bardzo niewiele...

- Jakich rad udzieliłaby pani mężczyźnie, który chce udoskonalić sztukę niepodobania się własnej bratowej?

- Ależ bardzo dobrze się panu udaje.

- Nie tak dobrze, jak bym chciał... w przeciwnym razie nie stroniłbym od pani.

- Dlaczego od pierwszego spotkania unika pan mojego wzroku? Bardzo nieprzyjemnie mówić do kogoś, kto patrzy w bok.

- Zauważyłem, że łatwiej mi zachować zimną krew, kiedy, rozmawiając z kobietą, która mnie fascynuje, nie patrzę na nią. Tylko raz zachowywałem się w ten sposób: kiedy spotkałem tę, która nie powinna była zostać moją żoną...

Oczywiście przez cały czas, kiedy mówił, dokonywał olbrzymich wysiłków, żeby na nią nie patrzeć, żeby wodzić wzrokiem wszędzie tam, gdzie jej nie było, co jedynie wzmogło i tak już silne zażenowanie i pomieszanie Jeanne. Wdychając powietrze tropikalnego lata, które zaczynało się męczyć, Octave sprecyzował:

- Istnieją niekwestionowane piękności, przeciw którym trzeba się uzbroić. Rozumie pani?

Jeanne zadrżała na myśl, że jest ładna. Zdarzyło jej się to po raz pierwszy w krótkim życiu; nie dlatego, że nie była to prawda, przeciwnie, zetknięcie z jej delikatną urodą zawsze wywierało wrażenie; należała jednak do tych niepewnych swego obrazu, zranionych eksdziejewczynek, które są nieświadome swego blasku i przekonane o tym, że nie zasługują na pełen zachwyt wzrok. Naturalnie, odkąd stała się nastolatką, mężczyźni robili wszystko, by pozbyła się tej niepewności. Ilekroć jednak zarzucali ją przekonującymi przymiotnikami, to albo słyszała w nich tylko pochlebstwa, które miały określony cel, albo uznawała za dowód pomieszania ocen towarzyszących namiętności. Alexandre nigdy nie potrafił obudzić w niej owej kruchej pewności siebie; niezręcznie posługiwał się jedynie niezbyt wiarygodnymi słowami - podczas gdy Octave samym swoim nieskomplikowanym zachowaniem potwierdzał jej urodę. Świadczyło o tym nawet jego zażenowanie, gdy uparcie wbijał wzrok gdzieś w bok od niej, wpatrując się w pejzaż, byle uniknąć zagrożenia, jakie stanowiła dla niego.

- Dlaczego nie powinna była pana poślubić? - podjęła.

- Uważam, że kobieta nigdy nie powinna się czuć samotna w obecności mężczyzny. Zgodzi się pani?

Jeanne niemal skamieniała. Octave w jednym zdaniu wypowiedział to, co chciała wcześniej doprowadzić do świadomości Alexandre'a. W tej samej sekundzie pomyślała, że tak trafne sformułowanie jej udręki - tej wyniszczającej samotności we dwoje - stanowiło dowód, iż ten człowiek musiał przed dwoma laty przeczytać czerwony zeszyt, że musiał to być Alexandre, któremu ta lektura ujawniła jej urazy, cały długi wykaz rozczarowań, prowadzących do pogardy.

- A skąd pan wie, że aż tak cierpiała? - podjęła zręcznie, ukrywając emocje.

- Myślę, że zaczęło się to w noc poślubną. Nigdy by pani nie uwierzyła, co zrobiłem... Na pewno bałem się Ariane, obawiałem się, że całkiem się zapamiętam i ona przejmie kontrolę nad naszym związkiem.

- Co pan zrobił?

- Nie uwierzy mi pani.

- Co?

- Wieczorem w dniu naszego ślubu nastawiłem budzik na dwunastą, aby uspokoić sytuację, pod pretekstem, że muszę się wyspać. Prawda, że to głupie?

Jeanne o mało nie zemdląła.

- Owszem, głupie - odparła jedynie.

Na jej zaczerwienionej twarzy odbiło się uczucie zagubienia: postradała wszelką zdolność reakcji w konfrontacji z rzeczywistością, nagle całkiem niepojętą, prowadzącą wręcz do utraty rozsądku.

- Pani mi nie wierzy? Widzę to po pani dziwnej minie.

- Nie, nie...

Jeanne uważała najwyraźniej, że jej rozmówcą może być jedynie mąż, który, ledwie założywszy obrączkę, także ją źle potraktował, nastawiając ten przeklęty budzik. Po chwili pomyślała, że gdyby

Alexandre chciał uchodzić za Octave'a, nigdy nie ośmieliłby się przytoczyć tego epizodu. Na pewno nie chciałby ryzykować zdemaskowania manewru, na który poświęcił dwa lata swojej niewiarygodnej energii i wysiłku koniecznego do takiej metamorfozy. Nie, nie mógłby wpaść na tak głupiej pomyłce! Nie on, nie ten człowiek, tak uzdolniony do strategicznych manewrów. A poza tym Jeanne chciałaby, żeby był Octave'em, bo to nie zerwałoby nici szczególnej relacji, jaka rodziła się między nimi. Nawet przez sekundę nie myślała, że jeśli Octave byłby Alexandre'em, to mógłby przewidzieć jej reakcję, bo przecież nie ulega wątpliwości, że człowiek wierzy w to, w co chce wierzyć. Nie wyobrażała sobie także, by jej reakcja na tę historyjkę stanowiła dla Alexandre'a - gdyby to był on - jakąkolwiek wskazówkę dotyczącą jej uczuć do niego. Jeanne miała w sobie zbyt wiele prawdziwej czystości, zbyt dużą skłonność do wylewności, by zagłębiać się w rozważania tak skrepowane logiką. Taka była Jeanne, doskonale przewodziła entuzjazm, akceptowała jasne sytuacje, szczerść była dla niej tak naturalna jak język kraju dzieciństwa.

- To nie do wiary - podjęła - ale przeżyłam identyczną historię podczas nocy poślubnej z Alexandre'em.

- Nastawił budzik?

- Tak.

Octave wydawał się zaskoczony, ale w jego reakcji nie było nic wymuszonego, co mogłoby świadczyć o fałszu. Po chwili dodał:

- Więc oczywiście uzna pani, że...

- ...że pan to on? Nie. Czasami zdarza się, że bliźniacy przeżywają to samo w tej samej chwili, że mają identyczne pomysły w podobnych okolicznościach, prawda?

- Pani jest niesamowita! Zamiast mnie podejrzewać sama pani znajduje wyjaśnienie niemal niewiarygodnego zbiegu okoliczności. Stoi pani w gaju kokosowym, zaniepokojona moim podobieństwem do Alexandre'a, i zastanawia się, czy uda się pani mnie przekonać tym idiotycznym, pieprzonym wyjaśnieniem!

Słowo *pieprzone* uraziło Jeanne, zaskoczoną tym, że padło z ust człowieka wolnego od wulgarności, ale to drobne zaskoczenie usunęło z jej umysłu wszelkie wahania co do zbiegów okoliczności w życiu bliźniaków.

- Owszem - kontynuował Octave - może uda się pani przekonać mnie dzisiaj, teraz albo później. Ale nigdy nie wierzyłem w te historie o bliźniakach.

- Wszyscy o nich słyszeli... Nigdy się to panu nie zdarzyło?

- To Alexandre panią tym naszpikował? Bo on w to wierzył... Moja żona też była przekonana, że inna kobieta musi cierpieć przez Aleksa, z tych samych powodów. Była przekonana, że opowieści o bliźniakach są prawdziwe! Kiedy Ariane płakała w obecności dzieci, a ja wściekałem się zamiast powiedzieć jej, że na ten widok wpadam w panikę, uważała wówczas, że żona Aleksa musi znosić podobne sceny i podobne ciosy, których nie rozumie.

Jeanne nieznacznie skinęła głową na znak, że rozpoznała siebie w tej opowieści, a on dorzucił:

- Po śmierci ojca mama była naszym jedynym oparciem. Byliśmy jeszcze mali, ona ciężko pracowała. Nie znośmę myśli, że mogłaby się załamać, ona, nasza podpora. I to mi pozostało. Dostaję szału, kiedy jakaś matka ośmieli się pokazać swoją słabość. Ariane musiała się naprawdę męczyć ze mną, bo nie miała prawa ujawniać prawdziwych emocji. Blokowałem ją, musiała być solidna, nigdy nie mogła osłabnąć... w żadnej sytuacji! W takich chwilach czuła się chyba bardziej samotna ze mną niż beze mnie. Widzi pani, ja nie umiem kochać i nie ranić... wykrwawiam tych, których kocham. Teraz rozumie pani, dlaczego unikam jej wzroku? Ale ta moja świadomość niczemu nie służy...

- Jak pan się zorientował, że Ariane cierpi? - spytała Jeanne człowieka, który z taką prostotą mówił to, co Alexandre kiedyś zatajał, czym nie chciał się dzielić.

- Zaskakuje mnie, że zadaje mi pani to pytanie takim tonem.

- Jakim tonem?

- Tonem kobiety, która musiała przecierpieć to samo, co Ariane...

- Jak pan się zorientował, że miłość do pana powoduje cierpienie Ariane?

- W pewnym momencie dostała raka piersi. I nagle zrozumiałem. Nareszcie zrozumiałem, dokąd może prowadzić trud bycia sobą, brak ulgi w egzystencji. Zrozumiałem, że kochać to musi być właśnie to...

- Co?

- ...pozwolić się kochać, prawda? Pomóc, by życie sprawiało mniejsze cierpienie. Zawsze stawiać na potencjał, którego druga strona nie wykorzystuje, na to, co wie, nie mając świadomości tej wiedzy. Ale ja nigdy nie umiałem tak postępować z Ariane...

- Alexandre też nie. Tylko że on nie mówił tak jak pan...

- Jeanne, nie chcę się pani podobać i dopnę swego. Nie przyjechałem tu po żonę Alexandre'a. Nie wróciłem po to, żeby sprawiać pani cierpienia.

- Unikanie mnie niczemu nie służy.

- To prawda, nie jest zbyt skuteczne. A poza tym trochę śmieszne, bo nic się między nami nie wydarzy, przynajmniej nie podczas sześciu pierwszych spotkań. Nic! Musi być jakieś lepsze rozwiązanie... może nawet kilka rozwiązań zapewniających mi niepowodzenie, gdybym nagle się zorientował, że naprawdę pani pragnę. To fakt, że nigdy nie ma się pewności, czy wybrało się rozwiązanie najlepsze! A przecież muszą być jakieś podstępny, sztuczki, by się nie udało za każdym razem... by uniemożliwić pani najmniejsze niepokoje uczuciowe!

- O co panu chodzi?

- O powtórzenie klęski mojego związku z Ariane, chcę się więc od razu pokazać w prawdziwym świetle, jak najgorszym; pokazać się takim, jakim jestem w rzeczywistości; kimś, kogo nie da się kochać, z kim nie można się połączyć.

Przez cały czas rozmowy Octave nie patrzył na nią, utwierdzając ją w przekonaniu, że jest ładna, ma niezwykłą zdolność odurzania, można by rzec - spontanicznego; nie miało to żadnego związku z urodą pracowicie poprawianą przez niektóre kobiety, od samego rana upiększające się pędzelkiem, obsesyjnie

fryzujące włosy. Dzięki temu, że Octave unikał jej z takim uporem, niewielkim kosztem sprawiał jej tę niezwykłą przyjemność.

- Dlaczego mówił pan o sześciu spotkaniach? - zapytała. - Dlaczego nie siedem?

- Ponieważ jest pani najłatwiejszą do zdobycia kobietą na Nowych Hebrydach, może nawet w całej Oceanii!

- Umie pan zrobić przykrość.

- Nic na to nie poradzę. Powiem pani teraz i tutaj, kim naprawdę jestem: nie mam w sobie nic miłego, a mimo wszystko okaże się, że na naszym siódmym spotkaniu będzie pani jedynie niecierpliwą pochwą! Przekona się pani, na pewno!

- Robi się pan zdecydowanie obrzydliwy!

- Zobacz pani, uda mi się osiągnąć to, że pani mnie nie pokocha. Wystarczy kilka słów, by panią ostudzić. Żal mi tych, którzy uwierzyli, że pani uczucia są solidne, wręcz niezawodne... Proszę zauważyć, wystarczyły dwa słowa, żeby pani zmieniła zdanie. Choć jestem pewien, że należy pani do tych, które miały piękne słowa rzekomo wieczne, które wierzą w te bzdury, śmiechu warte!

- Dlaczego zrobił się pan nagle taki nieprzyjemny?

- Uda mi się zniechęcić panią do kochania mnie, kiedy powiem, że nie można ze mną wytrzymać, bo nie akceptuję cierpienia, tej strasznej potrzeby ludzi, żeby się źle czuć. Do wściekłości doprowadza mnie energia, którą ludzie tracą na opieranie się szczęściu. Sposób, w jaki Ariane zatruwała sobie życie, budził moją odrazę. Kiedy stłukła jakiś ulubiony talerz, wie pani, co robiła? Wyła przez piętnaście minut, jakby nie wystarczało to, że talerz się stłukł. I oczywiście wściekała się, kiedy nie uczestniczyłem w jej szale rozpaczy, bo naturalnie musiała mieć prawo do dania upustu swoim odczuciom i wymagała mojego w tym udziału; w przeciwnym razie stwierdzała, że jej wrażliwość jest negowana, jej integralność naruszana! A kiedy poszliśmy do teatru, ale nie mogliśmy wejść, bo kasa sprzedawała więcej biletów niż miejsc, proszę zgadnąć, na co mnie wówczas narażała. Urządzała niesamowitą scenę! Do zwykłej nieprzyjemności dorzucała dramat, dręczyła się sama i mnie przy okazji! Potem cały wieczór dawała wyraz swemu oburzeniu, żeby tylko nie być szczęśliwą na wypadek, gdyby udało nam się ocalić chociaż kilka godzin. A gdy wszystko układało się stosunkowo dobrze, marudziła, że mogłoby się układać jeszcze lepiej, że niestety nasza przeszłość nie szczędziła nam różnych niespodzianek; kiedy zwracałem jej uwagę, że moglibyśmy mówić o czymś innym, nie tylko o coraz większych kłopotach, w ten sposób uniemożliwiałem jej to emocjonalne gonienie własnego ogona. Zajęcie się czymś innym przecież oznaczało ucieczkę! Wyłgiwanie się! Nie rozumiem opierania się szczęściu. Widzi pani, wobec potrzeby nieszczęścia robię się obrzydliwy, nie do wytrzymania, staję się nietolerancyjnym tyranem! I nie chcę się już więcej zakochać, nie chcę znosić szaleństwa innych, ich ohydneho rozmiłowania w nieszczęściu.

- Ja też nie chcę być zakochana.

- Czy przyszło pani do głowy, że tego z góry nie da się przewidzieć?

To pytanie zaskoczyło Jeanne, zmyliło ją na kilka sekund, a on tymczasem dodał:

- Czy zna pani przypadek, kiedy młoda kobieta, która wcale się tego nie spodziewa, odczuwa szczególną przyjemność w tym, że pozwala się uwieść?

- Dlaczego szczególną?

- Ponieważ chciałyby się oprzeć, ale jej się nie udaje w danym momencie. Czy potrafi sobie pani przypomnieć, jaka pani była, kiedy poznała Alexandre'a? Czy pamięta to pani dokładnie, czy też wspomnienia są związane tylko z chwilami?

- Chyba związane z chwilami.

- Sądzi pani, że wracają raczej o określonych godzinach?

- Tak, niewątpliwie.

- Niewątpliwie dzieje się to wcześniej rano albo wieczorem.

- Raczej wieczorem.

- Tak jak dziś...

Widząc, że jeszcze się nie rozluźniła, Octave sprecyzował:

- Żeby uruchomić pamięć, niekoniecznie trzeba być zrelaksowanym. Proszę usiąść po mojej prawej stronie.

Wskazał ręką miejsce po swojej lewej stronie, na pniu drzewa porośniętego mchem, co kompletnie ją zbiło z tropu. Świadom efektu, jaki osiągnął, kontynuował:

- Aby odnaleźć pewne zapomniane uczucia, niektóre osoby potrzebują określonych warunków... Nie wiem, czy pani się to uda, kiedy się pani odpowiednio ulokuje. Czy przyjemnie jest pani tu siedzieć i, nie będąc zakochaną, pozwolić, by odżyły wspomnienia z okresu, kiedy była pani zakochana?

- Zdecydowanie przyjemnie jest pogрузić się w tych odczuciach, ale... ja już nie chcę być zakochana.

- Zdecydowanie przyjemnie jest znowu pogрузić się w tych odczuciach, a ja wcale nie pragnę, żeby się pani zakochała zbyt szybko...

Podczas gdy powtarzał niemal dokładnie jej słowa - cały efekt polegał głównie na tym *niemal* - Jeanne widziała obok siebie idealną kopię twarzy Alexandre'a, który mrużył i zamykał oczy, jakby chciał lepiej uchwycić ten moment, ukryć się wraz z nią w czasie teraźniejszym przepelnionym wspomnieniami, przegłędem ich najpiękniejszej przeszłości. Milczący Octave-Alexandre pozwolił jej dołączyć do siebie na długie sekundy, przywołać szczęśliwe godziny u boku Alexandre'a. Ta cisza wypełniona wspólnymi emocjami wystarczała im i zdumiewała tym bardziej, że jej mąż rzadko pozwalał sobie na to, by się zapomnieć, dać się porwać przez świat innych, choćby tylko na czas trwania zwykłej partyjki kart. Zawsze usilnie się starał zapewnić sobie możliwość ucieczki, nie oddawać się do końca, jakby w obawie, że się rozpadnie na części. Po chwili Octave wyznał cicho:

- Znam kobietę, która, chcąc odnaleźć przyjemność kochania, najpierw udawała. Kiedy jeszcze niepokoiła się myślą, że mogłaby się znowu zakochać, zaczęła od udawania uczuć. Dość szybko znalazła w tym przyjemność, choć nie wiem dokładnie, kiedy to się stało, czy po prostu ją zaskoczyło, czy narastało

powoli. Postanowiła więc od razu spróbować i nie opierać się dłużej uczuciu najpierw płytkiemu, później głębszemu, a wreszcie szczeremu. Nie potrzebowała się zmuszać. Nie wiedziała, czy ta zabawa stanie się poważna; nie, tego nie wiedziała, bo było jeszcze za wcześnie, dopóki nie poczuła się naprawdę odprężona. Po prostu sprawiało jej zadowolenie, że był powód do udawania...

Octave nagle zamilkł.

- I co? - spytała Jeanne po kilku sekundach, jakby zagubiona w środku opowieści.

- Nie wiem już, czy odnalazła radość bycia zakochaną; pamiętam jednak, że kiedyś pomogłem przyjaciółce w niezatrutowaniu sobie życia.

Octave znowu zamilkł, powoli się wyprostował i wciąż unikając wzroku Jeanne, wstał i podszedł aż do skraju wody skapanego w cieniu, który uciekał już przed nadchodzącym wieczorem; w tym oświetleniu niebieska laguna wydawała się ciemniejsza. Jeanne siedziała zmieszana, bardziej poruszona ostatnią uwagą, niżby sobie tego życzyła.

- Jak pan postąpił z tą przyjaciółką? - spytała w końcu.

- Nie sądzę, żeby mogło to panią interesować. Na pewno wyda się trochę śmieszne, szczególnie takiej kobiecie jak pani.

- Mimo wszystko proszę mi powiedzieć - nalegała, odrobinę dotknięta, zastanawiając się, czy jednak Octave nie jest Alexandre'em, skoro przypomina w ten sposób jedno z jej głównych cierpień.

Ani przez chwilę Jeanne nie chciała przyznać, że pod tym względem była przeciętna. Nie wątpiła, że jest wyjątkowa - szczególny przypadek wymyślony przez Stwórcę.

- Wie pani - podjął Octave - są w życiu chwile, kiedy pewne rzeczy można zrozumieć. A kiedy ostatni raz opowiadałem tę historię, ludzie podśmiewali się ze mnie.

- Jak pan się do tego zabrał?

- Poprosiłem moją przyjaciółkę, by obliczyła w procentach skomplikowane sytuacje, kiedy zatrutowała sobie życie, choć mogła je uprościć. A pani co by odpowiedziała? Tak w przybliżeniu.

- Nie wiem... może trzydzieści procent.

- No więc z nią było gorzej. Podała czterdzieści dziewięć procent, co w końcu nie jest tak źle, bo to znaczy, że w pięćdziesięciu jeden procentach podobnych sytuacji potrafiła nie grać przeciwko sobie.

Automatycznie, nie poświęcając temu większej uwagi, Jeanne pomyślała, że u niej ten procent wynosi siedemdziesiąt, co dawało znacznie lepszą pozycję wyjściową.

- Wytłumaczyłem jej - kontynuował Octave - że ze względu na przyzwyczajenie do zwodzenia samej siebie będzie niemożliwe, a nawet wręcz niebezpieczne, nagle przejście od pięćdziesięciu jeden do siedemdziesięciu procent czy nawet od pięćdziesięciu jeden do sześćdziesięciu jeden, ale może uda się, choć nie bez trudu, przejść od razu od pięćdziesięciu jeden do pięćdziesięciu dwóch procent. Rozumie pani?

- Tak.

- No i tyle. To wszystko.

- Co wszystko?

- Chyba nie przypuszcza pani, że mógłbym utrzymywać, iż lepiej od Sally wiem, jak powinna postępować nawet z tym jednym procentem. Musiała wykorzystać do tego wiedzę, o której posiadaniu nawet nie miała pojęcia, a o której ja wiedziałem jeszcze mniej. A co pani by jej zasugerowała, żeby zyskać ten jeden procent?

- Nie wiem... ale jeden procent to niezbyt trudne. Mógł jej pan poradzić...

- ...żeby dalej robiła to samo i zatruchiwała sobie życie, skoro jej na tym zależało, ale żeby robiła to inaczej. Właśnie do tego doszła. Zmieniła jeden drobny szczegół w scenariuszach, które doprowadzały ją do takiej frustracji. I to mnie kompletnie zatkało!

- Co takiego zrobiła?

- Nie mogę pani tego powiedzieć, ponieważ... nie chcę, żeby pani postąpiła tak samo, mimo że podziwiam ten rodzaj odważnych działań. Nie, nie chcę tego! A poza tym... czy pani stosunki z matką są dobre?

- Niezupełnie - odpowiedziała Jeanne ze śmiechem.

- Czy zdarza się, że komplikuje pani sobie życie, powielając, naśladując pewne sytuacje i takie obowiązkowe poczynania, które doprowadzają panią do rozpacz?

- Tak, to jedna z moich specjalności.

- No więc z tamtą zadziwiającą kobietą było tak samo. Ale Sally wygrzebała się z tego, zmieniając tylko jeden procent w powtarzającym się scenariuszu, na który często narzekała i który potrafił jej zmarnować większą część wieczoru.

- Co takiego zrobiła? - dopytywała się Jeanne, ciekawa, jak tamtej dziewczynie się udało zrobić na nim wrażenie.

- Czy mogę pani zadać pytanie?

- Tak.

- Kiedy przed chwilą mówiłem o mojej żonie i jej niezwykłym talencie zatrucia siebie życia, zorientowałem się po minie, że Alexandre mówił pani podobne rzeczy. Czyżbym się mylił?

- Nie.

- I pomyślała pani: to może Alexandre do mnie mówi, prawda? Powtarzała pani sobie, że niemożliwe, abym przypadkiem poruszył problem, który w istocie zatrucha pani życie!

- Owszem, tak myślałam...

- A więc, Jeanne, pomyliła się pani. To nie ja mówiłem do pani ani Alexandre, tylko wszyscy mężczyźni! Pozwoli pani sobie powiedzieć, że pod tym względem przypomina pani prawie wszystkie kobiety. Pani sposób zatrucia siebie życia i przy okazji dręczenia mężczyzn jest szalenie przeciętny. Tak, przeciętny! Żałosny!

- Nie przyszedł tu, żeby pozwolić się znieważać sobowtórowi mojego męża! - zaprotestowała, dotknięta do żywego.

- Teraz kiedy nagle jest pani urażona, zaczyna pani mną pogardzać w takim stopniu, że czuję się swobodnie. Ale chciałbym się upewnić do końca, toteż proszę mi powiedzieć, dlaczego nigdy się pani we mnie nie zakocha. Natychmiast!

Zaskoczona Jeanne nie odzywała się, milczała uparcie, nie pojmując, że odmowa posłuchania tego *natychmiast* w istocie oznacza poddanie się retoryce Octave'a. Toteż Rivière, świadom, że panuje nad rozmową, zapytał:

- Co pani robi, żeby nie poczuć do mnie najmniejszego seksualnego pociągu? Czy pani zdecydowała, jak będzie się przed tym bronić, opierać się własnym emocjom, żeby nie musiał od czasu czasu zachowywać się obrzydliwie? Co, jak pani przyzna, jest dosyć nieprzyjemne. Czy potrafi pani wyjaśnić, jak się pozbędzie uczuć do mnie, jeśli się zrodzą?

To powtarzające się przesłuchanie sprawiło, że Jeanne w końcu porzuciła rezerwę.

- Takie pytanie w ogóle nie powstaje!

- Oczywiście, że nie powstaje. Ale ja pytam.

- Do czego pan zmierza?

- Będę pani unikał, dopóki nie będzie pani umiała na nie odpowiedzieć, żeby chronić naszą przyjaźń. Więc proszę się zastanowić. Może się pani nad tym zastanawiać długo lub krótko, wedle uznania. Może pani również udzielić sobie odpowiedzi na te pytania, informując mnie jedynie, że zna odpowiedź i potrafi nad sobą zapanować. Widzi pani, Jeanne, możliwości jest mnóstwo. Nie chciałbym jednak, żeby pani odpowiedziała zbyt wcześnie. Bo byłoby to nieprzemyślane, prawda?

- Przyszłam tu, żeby porozmawiać z panem o czymś innym: o moich dzieciach. Max i Bérénice, a szczególnie Max, nie bardzo sobie radzą od wyjazdu ojca... i od pana powrotu.

- Nie powrotu, przyjazdu - poprawił.

- Jak pan chce.

- Co mogę zrobić?

- Spotkać się z nimi, porozmawiać, wyjaśnić, kim pan jest, jeśli to rzeczywiście prawda. Słyszą różne rzeczy. Dużo się szepcze w prezbiteriańskiej szkole...

- Kiedy byłem mały, miałem bardzo dziwnego i dobrego nauczyciela, pana Ericksona; Alexandre'a on nie uczył. Pan Erickson udzielił mi lekcji, jak zmieniać siebie i zmieniać innych łagodnością. Miał też ciekawą koncepcję miłości. Kochać znaczyło dla niego także, a może przede wszystkim, wyzwalać innych z przesądów, z kłopotu egzystencji, pozwalać im uwolnić się od lęków, działając w sposób pośredni. Tak, pośredni...

- Dlaczego nagle opowiada mi pan o tym Ericksonie?

- Ponieważ mówiła mi pani o cierpieniu Maksa, i trochę o Bérénice...

Octave dorzucił, wskazując na niedalekie miasteczko:

- Czy sądzi pani, że gdybym polecił tej rodzinie melanezyjskiej, żeby mnie nieśli, toby posłuchali?

- Sądzę, że nie, oczywiście, że nie!

- Oczywiście... domaganie się czegoś wprost nie zawsze jest skuteczne, nie liczy się też zbyt z ludźmi. W istocie jest dość dziecinne. Wie pani, jak by się do tego zabrał Erickson, gdyby chciał, żeby go nieśli?

Jeanne gestem zaprzeczyła.

- Proszę popatrzeć - wyszeptał Octave. - I starać się zrozumieć, co usiłuję pani powiedzieć. Niech pani spróbuje to zrozumieć.

Octave odważył się otwarcie spojrzeć jej w oczy; Jeanne doznała szoku, jakby dostała z dawna oczekiwany cios. Nareszcie w jego oczach nie malowała się rezerwa - był to wzrok wilgotny, błyszczący emocją, wzrok krótkowidza, który widzi na odległość, wybiega znacznie poza obecną chwilę. Wzruszona i chwilowo bezbronna Jeanne pomyślała, że ta mieszanina brutalna i dżentelmena jest najlepszym dowodem na to, że miłość może być słodka i łagodna. Przypuszczała, że wzruszanie nie było jego celem, ale był wzruszający; wbrew sobie oferował jej energię swego spojrzenia, energię, która decydowała o jego charakterze i wyglądzie. Dodatkowo oddziaływanie klimatu wykańczało ją ostatecznie, czuła się pokonana. Bronią Rivière'a był ów stopniowany czar, ta uwodzicielskość rozproszona w zarysach uśmiechu, którym nieświadomie oddziaływał na kobiety, nie szczędząc przy tym hipnotycznej elokwencji.

Octave oddalił się bez słowa, zbliżył do grupki rozleniwionych Melanezyjczyków, którzy z godnością toczyli rozmowę. Wszyscy byli skąpo przystrojeni nieporządnymi plecionkami liści tropikalnych, panelem roślinnym zakrywającym wklęsłe pośladki, rodzajem optymistycznego etui na genitalia, dość zresztą estetycznego. Octave zamienił z nimi kilka słów w *bichelamar* - miejscowym anglo-kreolskim - i nagle najwyraźniej coś mu się stało. Najpierw zachwiała się głowa, a po sekundzie zwałił się na ziemię pokrytą resztkami kopry. Nie wiedząc, czy to symulacja, czy sprawa poważna, Jeanne chciała ruszyć w tamtą stronę, ale już mężczyźni wyposażeni w najlepsze mięśnie - ci, których ramiona przypominały nieruchome karabiny, a postura bawołu - nieśli go w olbrzymim kojcu. Octave'owi się udało!

Jeanne uśmiechnęła się; rozumiała, że ten Rivière nie może być Alexandre'em - mężczyzną absolutnie niezdolnym do przekonania opornych okrężnymi manewrami, zawsze gotowym do wyjaśniania sprawy prostym ciosem. A poza tym - powtarzała w myślach - po co Alexandre miałby zadawać sobie tyle trudu? Dlaczego on, mocno do niej zniechęcony, miałby podejmować tak niezwykle strategiczne działania?

Zajęta rozmyślaniami o tożsamości Rivière'a, Jeanne nie uświadomiła sobie, że Octave, każąc się w ten sposób nieść, ujawnił jej część swojego sekretu. Nie miała również pojęcia, że ostatnia rozmowa zupełnie zmieniła jej życie. Niewolnica swojej psychiki, tak jak każdy, zostanie wkrótce uwolniona ze swoich lęków uporem tego czarodzieja. Jedyną rzecz, z której niezbyt jasno zdawała sobie sprawę, kiedy odpowiadała na jej pytania albo dziwnymi pytaniami, albo zagadkami, sprowadzała się do tego, że Octave przed chwilą przywrócił jej chęć istnienia, ochotę na zmianę zwykłego toku myśli, na skorygowanie swoich normalnych reakcji. Wszystko w tym człowieku się sprzysięgło, by zrobić z niej zupełnie nową kobietę.

Ale skąd miał pewność, że ich siódme spotkanie okaże się decydujące?

Zatruc sobie życie... Rozmyślając nad tym, Jeanne powtarzała w duchu, że prowadziła dotychczas dość deprymującą egzystencję, bo wkładała tyle wysiłku, żeby narzucić sobie irytujące sytuacje. Nie tylko natrętna potrzeba nieskończoności torturowała ją i przeszkadzała cieszyć się tym, co życzliwe życie uparcie jej dostarczało, przede wszystkim przeszkadzała w tym jej dziwna mania, by dobrowolnie prokurować sobie nieszczęście, nadmiar frustracji i niepotrzebnych kłopotów. W porównaniu z nią, tak metodyczną w karaniu samej siebie, przyjaciółka Octave'a, Sally, to zaledwie amatorka; pod tym względem Jeanne była niedościgniona.

Dawała wolne swojej gosposi? To było silniejsze od niej: musiała przejechać odkurzaczem tuż przed jej powrotem i wyszorować posadzkę. Przyjmowała sugestie Alexandre'a? Na przykład, żeby spędzić cudowne lato w Birmie zamiast jechać do matki do Europy. Tylko po to, żeby mu to później wypominać, choćby ponurymi aluzjami, które oczywiście niszczyły całą birmańską radość. Ilekroć los zbyt się do niej uśmiechał, wystarczało jej wyobraźni, żeby się źle poczuć. Najbliższy powód był dobry. Zmienić zdanie w najmniej odpowiednim momencie, kręcić tak, by zagmatwać najprostsza sytuację, odwlekać jak najdłużej ewentualne odprężenie - wszystko to wchodziło w zakres jej talentu tworzenia sytuacji bez wyjścia, co w końcu rzeczywiście bardzo zaciemniało horyzont. Ilekroć dokonała jakiegoś wyboru, już po chwili żałowała, wyobrażając sobie, jak wiele innych możliwości przez to straciła. Kiedy jechała do Nouméa i jakiś niedelikatny kierowca wyprzedził ją w zajmowaniu miejsca na parkingu, marnowała następny kwadrans, pomstując na winnego. Oczywiście opowiadała o tym do końca dnia, byle tylko przedłużyć swoją wściekłość i wykorzystać ją do niezłych komentarzy o całym rodzaju ludzkim. Łatwo zgadnąć, że przejawiała również nadzwyczajne zdolności do wynajdowania w terażniejszości rzekomych nawrotów dawnych frustracji, które należało od razu z zapalem rozpracowywać w szczegółach, by móc ubolewać nad faktem, że w ogóle przyszło się na świat.

Najbardziej niezwykle jednak był entuzjazm Jeanne w oczernianiu samej siebie. Na tym polu absolutnie nie miała sobie równych. Jeżeli oddała komuś przysługę, usprawiedliwiała się natychmiast, choć nikt nie rozumiał, dlaczego. Ofiarowała komuś prezent urodzinowy, zazwyczaj dość niezwykle - nie traciła sposobności, by go skrytykować i przy okazji wyszydzić gust osoby, która podobny prezent wybrała - ona sama, oczywiście. I nie trzeba dodawać, że robiła to zjadliwie. Jeśli ktoś zaprosił Jeanne na obiad, najpierw uważała się za niegodną, żeby przeszkadzać gospodarzom, a jeśli zapraszający nalegał, zjawiała się z dwoma czy trzema drobiazgami; w rezultacie lądowała obarczona wyrafinowanymi wiktuałami dla całego plutonu i natychmiast zabierała się do niezwykle starannego przygotowywania potraw. Co nie przeszkadzało, że bardzo surowo krytykowała gotowe danie, zawsze nadzwyczajnie dobre, dziwiąc się, że ktoś w ogóle decyduje się je tknąć. Przecież mogło być lepiej przygotowane... Pomińmy tu niezliczone kosztowne prezenty, które czuła się w obowiązku przynosić, bo dla niej najważniejsze było płacić, ciągle i zawsze; opłacała w ten sposób swoje nieuleczalne poczucie winy z powodu samego faktu, że w ogóle ośmiela się oddychać, marnując tym samym znaczną porcję tlenu.

Ponieważ odznaczała się inteligencją, widoczną nie tylko w spojrzeniu, ale i zadziwiających powiedzonkach, cała reszta przechodziła niemal niezauważona; Jeanne potrafiła zafascynować błyskotliwymi uwagami, toteż jej specyficzne szaleństwo - któż zresztą go nie ma - rozmywało się dzięki wdziękowi jej sposobu bycia, poczuciu humoru i bystrości umysłu. Wydawała się więc równie normalna jak większość neurotyczek, których długie spisy znaleźć można w każdej książce telefonicznej, i to w porządku alfabetycznym. Uprzedzony obserwator usiłował odkryć w niej ból istnienia, a znajdował powab, umiejętność wyszukiwania piękna w bagnie rzeczywistości i talent do promiennego uśmiechu.

Jednak fakt pozostawał faktem: Jeanne płaciła w sensie dosłownym i przenośnym. A rachunek, który brała na siebie, przybierał kosmiczne rozmiary, ilekroć dotyczył matki. Ten potwór w przebraniu dobrze wychowanej damy, upadły członek rodzaju ludzkiego, zdolny uśmiechać się bez pokazywania zębów, wyposażony jak mało kto w narzędzia do złamania kruchego charakteru dziecka, nadawał pełnego blasku słowu „drapieżność”. Kiedy podawało się rękę Rose - bo na domiar wszystkiego ta zmija w apaszkach nosiła tak wdzięczne imię - nie miało się całkowitej pewności, czy ją odda. Egoizm był u niej odruchem, nieuprzejmość przywarą a dowcip usprawiedliwieniem. Każda słabość córki stanowiła okazję do sarkazmu, zawsze myliły jej się czasowniki: „mówić” i „kpić”, „sądzić” i „wykonywać”. Zamiast wyeliminować Rose ze swojego życia w całkiem zrozumiałym porwywie buntu - Jeanne zaszyła się na antypodach, chroniąc się za dziesiątą strefą czasową i odległością dwudziestu tysięcy kilometrów w Nouméa, gdzie mieszkał Alexandre, w miejscu, gdzie zdarzyła się ich miłość.

Jednak mimo odległości i zmiany półkuli Jeanne pozostawała pod uporczywą władzą Rose, zdana na jej gorzką zjadliwość. Codziennie czuła się w obowiązku zatelefonować do matki, skontaktować się z tym zbiornikiem żółci, choć ten obowiązek doprowadzał ją do wściekłości, bo Rose była równie zręczna w sztuce zadawania ran w najczulsze miejsca, co w handlowaniu czułością, której pragnęła córka, przy czym zawsze potrafiła złośliwie przeciągnąć rozmowę tak, by Jeanne odczuła to finansowo. Za każdym razem kończyła taką rozmowę przygnębiona, oszołomiona tym, że w dodatku musi płacić za codzienną porcję tortur. Obiecywała sobie, że pewnego dnia przerwie ten uczuciowy i finansowy *hold-up*, ale Rose panowała nad nią tak pewnie, że Jeanne nie wierzyła w możliwość wyrwania się spod jej wpływu. Kiedy zdarzało się, jakimś niezwykłym trafem, że nie zadzwoniła do matki, Rose odzywała się sama.

- Halo? Czy to ty dzwoniłaś przed chwilą? - pytała perfidnie swoim lepkiem głosem, po czym dodawała tonem nieznoszącym sprzeciwu: - Zadzwoń do mnie, bo inaczej w ogóle nie będę z tobą rozmawiać!

I odkładała słuchawkę, a Jeanne dzwoniła natychmiast, ponieważ Rose, zdolna manipulatorka, doskonale jej uświadomiła, że za swoją nędzną emeryturę nie może sobie pozwolić na telefonowanie z Normandii na antypody. Jeanne wiedziała to równie dobrze jak jej bracia i siostry, którzy od odejścia ojca przekazywali Rose dziesięć procent swoich miesięcznych zarobków. W ten sposób przykładna matka zmuszała dzieci tego mężczyzny do płacenia za własne rozgoryczenie, a ta rodzinna zasada nie podlegała najmniejszej dyskusji, choćby najbardziej aluzyjnej. Jeanne od zawsze poddawała się jej z niezwykłą punktualnością, nieustannie szukając usprawiedliwienia dla twardości matki, a jednocześnie wyrzucając

sobie niezdolność sprzeciwienia się jej. Ta niewiarygodna uległość płynęła, być może, z jej pozycji w rodzinie: jako najstarsza była powodem ślubu rodziców. Ojciec zrekompensował fakt, że przez nieuwagę uczynił matkę ciężarną swoją rozkoszą.

Toteż po spotkaniu z Octave'em Jeanne myślała o Sally, kobiecie, która nieco ułatwiła sobie dobrowolną drogę krzyżową, zmieniając jedynie bagatelny procent w swoim zwykłym postępowaniu. Słowa Octave'a miały tę szczególną zaletę, że zwracały jej myśli w kierunku niezbyt znanym, otwierały drzwi, których sama bezwiednie szukała. Podobał jej się pomysł stopniowego ewoluowania, bez narażania się na szok zbyt nagłej zmiany.

- Zmieniła się, robiąc to samo - powiedział - ponieważ zależało jej na tym, żeby zatruwać sobie życie, ale trochę innym sposobem. Zmieniła najpierw drobny szczegół...

To zdanie zapadło jej w pamięć, podziałało jak zaczyn na tok jej myślenia. Octave wymówił je, modulując głos, jakby pragnął, by ta bomba z opóźnionym zapłonem wryła się w jej świadomość, a równocześnie starał się, by Jeanne odczuła ogrom podziwu, jaki żywił dla odwagi kobiet wyruszających w podobną drogę. Nie zastanawiała się nad tym, co go skłoniło, by odnieść to rozumowanie do zgubnych stosunków, jakie utrzymywała ze swoją straszną matką.

Uważając się w pełni za panią swoich myśli - i tak w istocie było, bo słowa Octave'a podziały na nią tylko dlatego, że stanowiły echo jej własnych poszukiwań - doszła do wniosku, że nie zdoła zrezygnować nagle z codziennych rozmów z Rose, ale może zacząć od przerzucenia kosztów na matkę. Jeanne czuła się zdolna nie tyle do bezpośredniego poproszenia matki o telefony, ile do osiągnięcia tego celu za pomocą drobnego kłamstwa. Wystarczy oznajmić Rose, że firma telefoniczna zablokowała jej połączenia międzynarodowe, dopóki nie zapłaci zaległego i wygórowanego rachunku. Ta inicjatywa przypominała ów ewentualny jeden procent, skromny retusz utrapień, które Jeanne sobie narzucała, była całkiem realna i zgodna z potrzebą niezrywania stosunków z macierzyńskim katem. W ten sposób przejdzie od siedemdziesięciu do siedemdziesięciu jeden procent sytuacji, w których nie działa przeciwko sobie!

Prawdę mówiąc, Jeanne myślała już tylko o tym, o co prosił ją Octave. Odmawiając sobie patrzenia na nią, złożył jej najbardziej pieszczotliwy komplement, z jakim się kiedykolwiek spotkała. Dlaczego jednak ostrzegł, że ich siódme spotkanie może doprowadzić do decydującej kolizji? Jak może go zapewnić, że nigdy nie wzbudzi w niej nieodwracalnego pociągu? Jaka kobieta byłaby w stanie odmówić sobie tych frajujących skłonności, które już z samej swojej definicji nie podlegają władzy rozumu i lekceważą najszersze nawet postanowienia? Jeśli nie znajdzie odpowiedzi na jego pytania, to w jaki sposób znowu się z nim spotka, jak go skłoni, żeby przestał zachowywać się obrzydliwie? Czy wystarczy odnowić między nimi tyle wrogości, by poczuł się pewny?

Pograżona w tych wątpliwościach Jeanne zupełnie zapomniała o podstawowej zagadce: czy był to Octave, czy uciekinier. Gdyby był Alexandre'em, nie mógłby z większą zręcznością odciągnąć Jeanne od pytania, kierując gdzie indziej jej ruchliwą uwagę i budząc w niej pragnienie, żeby nie był Alexandre'em, małżonkiem, którym pogardzała, zdecydowanym obiektem złości. Jeśli był Octave'em, to okazywał równą

wirtuozerię we wciąganiu jej w pytania wypływające z założenia, że została zdobyta, niemal osaczona, nie ulegało bowiem wątpliwości, że pytania Octave'a nie wymagały żadnych odpowiedzi, zmierzały do stopniowego stworzenia kontekstu, w którym Jeanne wbrew sobie znalazłaby się w gorączkowej roli zakochanej. Czy ona się w tym zorientuje, czy nie, pozostawało w gruncie rzeczy sprawą drugorzędną, tak bardzo upajające bowiem dla kobiety było obserwowanie, jak mężczyzna dominuje nad jej stopniowo rosnącym pożądaniem, a równocześnie tłumi własne, bardziej sprecyzowane pragnienia.

Budząc w niej tego rodzaju entuzjazm, Rivière sprawił także, że nie miała już ochoty zatruwać sobie życia, sama znalazła drogę nieznaną tym, którzy wiecznie stoją w miejscu. Do realizacji swego postanowienia zabrała się tego samego dnia.

Na wieść o tym, że Jeanne nie będzie już do niej dzwonić z powodu przykrego odcięcia od międzynarodowych połączeń, Rose zadowolila się gorzkim i zjadliwym wnioskiem:

- Wszyscy mnie zaniedbujecie. Jedynie twoja siostra mnie rozumie. Do widzenia, skarbie.

Jeanne poczuła lekkie ukłucie w sercu, ale zdecydowała, że się nie złamie i poczeka na telefon od matki. Rose zadzwoniła już następnego dnia. Jakby pragnąc wynagrodzić sobie koszty połączenia, dręczyła Jeanne subtelnymi i budzącymi poczucie winy komentarzami, a zaczęła litanią zupełnie nowych wyrzutów. Jeanne trzymała się dzielnie. Wkrótce Rose, nie bez narzekań, pogodziła się z faktem przejęcia kosztów tej łączności. Dość szybko jednak skąpstwo wzięło górę, telefony stały się rzadsze i coraz krótsze. Kleszcze się rozwarły; Jeanne zrozumiała, że potrafi nie płacić, i to nie tylko w tym szczególnym przypadku.

Zaproszona w najbliższą niedzielę na obiad do zaprzyjaźnionych plantatorów, po raz pierwszy zjawiła się jedynie z bukietem kwiatów, uroczych, lecz skromnych, co dla niej było równoznaczne z tym, że ośmieliła się przyjść z gołymi rękami. Wręczyła bukiet, nie krytykując jego aranżacji, nie czuła potrzeby, by natychmiast wyrzucać sobie ten wybór, i nie miała do siebie pretensji, że przyjęła zaproszenie zamiast poświęcić niedzielę czemu innemu. Dzień był piękny.

Jednak w drodze powrotnej Jeanne zaniepokoiła się, że zmienia się tak szybko, i zadzwoniła do Rose, której ostre złośliwości od razu ją uspokoiły. Koło szóstej zobaczyła, że do jej domu zmierza major Webb, były kawalerzysta, jak zawsze przekonany o własnej ważności i brodzący na krzywych nogach jak na szczudłach.

- Pani Rivière? - spytał policjant o bardzo brytyjskiej powierzchowności.

- Tak - odparła, otwierając drzwi.

- W sprawie pani męża i tego cholernego pana Rivière'a, tego drugiego...

Webb poinformował ją z całą sztywnością niezbędną do walki z budzącym ociężałość klimatem, że prowadzi śledztwo z należyтым taktem i że udało mu się odnaleźć ślad niejakiego Octave'a Rivière'a, zamieszkałego przez siedem lat w Auckland, nauczyciela języka francuskiego w prywatnych szkołach nowozelandzkich. Jednak mimo zebranych dokumentów nie będzie miał pewności, dopóki nie dostanie od niej bardziej wiarygodnego zapewnienia.

- Jakie jest pani wrażenie jako kobiety?

Jeanne przez chwilę się namyślała, po czym wypowiedziała swoje zdanie, uświadamiając sobie równocześnie własne odczucia:

- Czarujący... uważam, że jest czarujący.
- Na Jowisza! A pani mąż?! - wykrzyknął zafascynowany Webb.
- Nienawidzę go. Zdecydowanie.
- *Thank you very much*, pani Rivière.

Major Webb zakołysał sztywnym tułowiem i na progu dorzucił z tym rodzajem jąkania, które świadczy o angielskim pochodzeniu:

- A, byłbym zapomniał! Bbbbrat pani męża będzie od jutra uczył w klasie pani syna. To zabawne, prawda? Zastąpi na trzy miesiące ppppanią Petit, zanim przyjedzie ktoś na jej miejsce. Z trudnością znosi ciężę. On nie jest protestantem, ale prezbiterianie są dość tolerancyjni. *Good evening!*

Jeanne uśmiechnęła się, a wyraz jej twarzy nie ukrywał radości; zrozumiała, dlaczego Octave nagle zaczął mówić o swoim nauczycielu, kiedy wspomniała o trudnościach Maksa. Octave panował nad przypadkową kolejną rzeczą, jakby nie chciał jej się poddać, lecz raczej zmęczyć; zawsze zmierzał do celu, stosował metody człowieka skrytego i wpasowywał się w przewidziany porządek, co Jeanne stopniowo odkrywała. Pomyślała, że dzięki tej nowej okoliczności będzie mogła częściej się z nim widywać, choćby uparcie chciał jej unikać. Tak przynajmniej sobie wyobrażała. Ta perspektywa poruszyła ją bardziej, niż mogła oczekiwać. Nie przyszło jej do głowy, że celem tej strategii było dotarcie do niej okrężną drogą. Wyrzucała sobie jedynie, że okazała brak przezorności, nie spotykając się z nim wcześniej, bo może interpretować jej rezerwę jako wyznanie niepokojących sentymentów, których nie potrafiła w sobie zdusić.

Pieszczona promieniami późnego słońca, zmęczona całym dniem, Jeanne czuła, że ten pomysł sprawia jej żywą przyjemność, a równocześnie krępuje, ale bez reszty oddała się tym dwuznacznym uczuciom. Rozleniwiony pejzaż wokół niej zaczynał niknąć w mroku, ogarnięty już niebieskimi cieniami pod niebem, na którym gromadziły się purpurowe obłoki, gotowe rozproszyć się nocą. Zaniepokojona Jeanne nie bardzo wiedziała, jak zignorować Octave'a, którego uroda tak idealnie odpowiadała jej oczekiwaniom. Jeanne była kobietą, która umiała kochać mężczyzn, a przecież nie wszyscy mają takie uzdolnienia. To również należało do owej ukrytej wiedzy, z której posiadania Jeanne jeszcze nie zdawała sobie sprawy.

Wchodząc do klasy w szkole prezbiteriańskiej, Octave dostrzegł Maksa i od chwili, gdy go zobaczył, przestał na niego patrzeć. W klasie wrzało; tumult narastał niby niepojęty cyklon, salę zalewały dźwięki zatrząskiwanych pulpitów, przenikliwych okrzyków, w powietrzu fruwały rozmaitego typu pociski. Nie zwracało to jednak uwagi Octave'a, który metodycznie zabrał się do otwierania teczki, cierpliwie wycierał czarną tablicę, w pewnej chwili coś zauważył, zdecydowanym gestem rzucił suszką w okno i wybił szybę.

Dzieci znieruchomiały. Octave, niezwykle pogodny, z uśmiechem igrającym na wargach, powiedział wtedy:

- Dopadłem ją!

- Kogo? - spytał mały Ernest.

- Muchę, dopadłem pierwszym rzutem.

Klasa wpatrywała się w profesora, który wybijał szybę, żeby zabić muchę. Dwudziestu czterech uczniów zapomniało nagle o pragnieniu wystawienia na próbę nowego nauczyciela, do tego stopnia zafascynowało ich to niezwykle zachowanie, że nie ośmielili się nawet chichotać. Jedyne wystraszone komentarze z ich strony stanowiła cisza.

- Młodzi ludzie - zaczął Octave - moja ostatnia praca w Auckland była prawdziwą męką. Uczniowie zamordowali mojego psa, tak, oczywiście. Spalili go... żywcem.

Ta wiadomość przygwoździła heretyków do ławek, znokautowała klasę słynącą z nieposłuszeństwa i braku manier. Fakt, że ich nowozelandzcy koledzy popełnili tak straszną zbrodnię, ustawił ich momentalnie po stronie nauczyciela, ofiary tego haniebnego uczynku, który głęboko ranił ich miłość do kundli. Nie przestając mówić, Octave uważnie przypatrywał się ośmiolatkom, jednemu po drugim, starannie omijając młodego Rivière'a; Max niejasno to wyczuwał, ale zafascynowany odkryciem w tym człowieku oczywistej obecności ojca, nie od razu się w tym zorientował.

- Owszem, te małe potwory były mordercami psów - kontynuował Rivière - i sadystami. Jednemu ze swoich kolegów... nie, nie ośmielę się nawet wspomnieć wam o tym, co mu zrobili. Może kiedyś...

Zagadka pozostawała nierozwiązana, dawała pole do najróżniejszych domysłów, w tym najbardziej przerażających. Następnie po wielu zaskakujących uwagach, kiedy uczniowie zaczęli podzielać oburzenie swego nowego nauczyciela - który tym samym przestawał być ich wrogiem - Octave zabrał się do opowiadania o zabawnych psikusach swoich dawnych uczniów. Ponieważ jednak te drobne wykroczenia popełnili mordercy psów, stały się natychmiast godne potępienia.

- Wycięli mi numer z ciekącym piórem.

- Co to takiego?

- Oddawali wypracowania na poplamionych, niechlujnych kartkach. Zdarzało im się nawet spóźniać! Pięć minut, a czasami dwie minuty.

Każdy z siedzących w ławkach uznał, że tamci renegaci nie mieli pojęcia o życiu, że takie niedbalstwo doskonale pasowało do ich okrucieństwa; wszyscy doszli również do wniosku, że od tej pory muszą być punktualni i bardziej staranni. Oczywiście nie zdecydowali tego tak od razu, ale pomysł zaprezentowany w ten sposób wydawał im się całkowicie do przyjęcia. Nie formułując swoich żądań bezpośrednio, Octave odebrał im możliwość sprzeciwu. A fakt, że sugestia padła w chwili zupełnego wytrącenia z równowagi jego zachowaniem - wybił szybę, żeby pozbyć się muchy! - sprawiał, że czuli się zupełnie rozbrownieni, niezdolni do reakcji, jakie demonstrowali w normalnych warunkach. Aby zapanować nad nimi do końca, Octave kontynuował:

- Biorąc po uwagę to, że nie wymagam od moich uczniów doskonałości, przynajmniej nie od razu... proszę, żebyście rozpoczęli ten swój tumult, ale posługując się trochę lepszą techniką. Owszem, dobrze usłyszeliście!

Klasa znowu znieruchomiła ze zdumienia.

- W porządku - podjął Octave, wstając z krzesła. - Nie wiem, czy przerwiecie te hałasy w chwili, gdy będę siadał na krzesło, czy dopiero potem, kiedy otworzę dziennik. Wybór należy do was. Możecie też zacząć wrzeszczeć zaraz lub poczekać, aż wyjdę z klasy. Zdaję się całkowicie na wasz wybór, mam do was pełne zaufanie... tymczasem. Niektórzy z was mogą mieć na to ochotę od razu, inni dopiero po moim wyjściu, ponieważ nie będzie mnie minutę i siedemnaście sekund. Będziecie wtedy mogli wykrzyknąć się do woli, najlepiej robiąc z dłoni tubę przy ustach, żeby głos lepiej się rozchodził; możecie trzaskać pulpitemi, ale tym razem skuteczniej, głośniej, o, w ten sposób! A ja wrócę, żeby zasiąść na tym krzesle, tak, na tym samym. A teraz informuję was, że powtórzę moje wejście dokładnie za siedemdziesiąt siedem sekund.

Octave wyszedł z klasy odprowadzany zaskoczonym wzrokiem uczniów - dlaczego tak precyzyjnie określił czas? - a kiedy znalazł się na korytarzu, dali upust tłumionej energii, urządzając tym razem bardziej metodycznie kocią muzykę. Skrupulatnie zastosowali się do rozsądnych wskazówek nauczyciela, żeby lepiej zamordować ciszę; bez trudu mogli skonstatować, że nowy profesor naprawdę wie, co mówi, bo tym razem hałas był zdecydowanie większy. Minutę i trzydzieści siedem sekund po wyjściu z klasy Octave pojawił się znowu. Zamiast szybko podejść do katedry ponownie ich zaintrygował, bo szedł tyłem, dając uczniom znaki, by krzyczeli głośniej i mocniej trzaskali pulpitemi, a potem dość raptownie usadowił się na krzesle. Połowa klasy ucichła. Octave otworzył w końcu dziennik... i już tylko jeden uczeń trząskał pulpitem, uparcie, w regularnych odstępach.

Był to Max, mały Rivière, któremu Octave odmówił swego spojrzenia.

- Panowie, panienki, proszę wyjąć zeszyty. Wypracowanie! - rzucił Octave, podnosząc głos, z niekłamany autorytetem.

Chłopiec nie przerywał uderzania pulpitem, a Octave pisał na tablicy. *Temat: Czy jeden uczeń ma prawo przeszkadzać innym?*

Uczniowie zrozumieli tytuł. Uśmiechali się ironicznie i spoglądali ukradkiem na Maksa, który nie przestawał hałasować, a Octave tymczasem nie pozwalał sobie na żadne komentarze. Po dwóch minutach Max się uspokoił, przy czym wydawał się lekko zażenowany, ale tak jak inni otworzył zeszyt.

Na przerwie, zwykle poświęconej na podwieczorek, Octave poprosił, żeby Max na chwilę został.

- Max, nie składam ci gratulacji...

- ...z powodu hałasu?

- Nie... raczej z tego powodu, że niezbyt skutecznie denerwujesz mamę. Zaproponowałbym ci zupełnie inną metodę, ale nie wiem, czy dasz sobie radę.

Chłopiec milczał, kompletnie zaskoczony; spodziewał się, że ten człowiek, który być może był jego ojcem, zbije go z tropu, ale nie w ten sposób!

- Wszystkie stopnie masz złe - podjął Octave - co nie jest najlepszym sposobem, żeby ją rozdrażnić i rozzłościć. Dziwi mnie wręcz, że chłopiec tak inteligentny jak ty jeszcze tego nie pojął...

- A pan jak by zrobił?

- Osiągnąłbym doskonałość w jednym przedmiocie, tylko jednym. Oczywiście, nie od razu. Uwaga: na początek zabraniam ci poprawiania się w innych przedmiotach. Dzięki temu ona się zorientuje, że gdybyś chciał, mógłbyś mieć dobre wyniki ze wszystkich przedmiotów, skoro ten jeden tak świetnie ci idzie. Tylko głupiec może potykać się na wszystkim! A w ten sposób udowodnisz, że to zależy tylko od ciebie. Będzie miała wrażenie, że ją lekceważysz. A jeśli kiedykolwiek przez nieuwagę zablęśniesz w jakimś innym przedmiocie, obiecuję ci, że ilekroć będziesz chciał, postawię ci złe stopnie, żeby ją zdenerwować. Potem możesz podjąć decyzję, żeby się poprawić, przedmiot po przedmiocie, w twoim tempie, nie w jej, żeby ją wkurzyć, żeby po prostu wiedziała, iż nie ma nad tobą władzy - to ty panujesz nad sytuacją. Wybór należy do ciebie.

- Ale... w czym mógłbym być dobry?

- Posłuchaj, rozumiem twoje zmartwienie, bo z zeszytów widać, że masz zdolności do rozmaitych rzeczy, nawet jeśli sam o tym nie wiesz... To prawda, widać to jasno! Ale nie musisz się spieszyć, żeby wybrać przedmiot. Najważniejsze, żeby porządnie zdenerwować matkę! Nie wiem, czy podejmiesz decyzję dzisiaj, zaraz po powrocie do domu, czy tuż przed zaśnięciem, żeby obudzić się jutro z miłym poczuciem pewności, czy może podczas weekendu. Możesz się zastanawiać do końca tygodnia. Ale na początku proszę cię tylko o jedno: nie poprawiaj się z pozostałych przedmiotów. Zgadzą się? W porządku, biegnij się bawić!

Mały Max w dalszym ciągu nie wiedział, czy słucha swego ojca, czy wuja, ale odnalazł ojca, toteż rozpromienił się, policzki miał zaróżowione. Alexandre nigdy nie rozmawiał z nim w ten sposób, nigdy tak doskonale go nie rozumiał. Uśmiechnął się i pobiegł do grupy dzieci, z zapalem omawiających dziwactwa nowego nauczyciela. Jak wystraszone psiaki zachwycaly się faktem, że ktoś je oswoił, i wszyscy chcieli wiedzieć, co pan powiedział Maksowi. Dumny z tej zażyłości Max odmówił jakichkolwiek wyjaśnień, co zapewniło mu niekwestionowany prestiż wśród rówieśników.

Wieczorem Jeanne pojawiła się w tłumie matek tłoczących się przy wejściu, w wilgotnym jazgocie dzipów i wiejskich pojazdów, tworzących pozór cywilizacji niezagarniętej jeszcze przez tak bliską dżunglę. Były tam grupki rodzioelek niemal rozplwających się w upale, małżonek w strojach wilgotnych od tropikalnego powietrza, ciężkich od kropli potu, w takiej mieszaninie ociążali mieszkańcy metropolii odychali z najwyższym trudem. Jeanne czekała na uboczu, nieruchoma na tle radosnej grupy, kędzierzawej i ledwie europejskiej, niemal nikałej w oparach wieczoru, toteż Max zauważył matkę dopiero wtedy, kiedy się o nią otarł. Rzucił się na plażę wraz z dwoma kumplami, równie jak oni zdecydowany wracać piechotą wzdłuż wybrzeża najeżonego drzewami korzeniary.

- Dzień dobry, Octave - powiedziała w końcu Jeanne.

- A, dobry wieczór - skorygował Octave. - Nie miałem ochoty pani spotykać, ale wykorzystam tę okazję, by poinformować, że Max w dalszym ciągu będzie robił pani na złość. Chyba bardzo mu na tym zależy, więc pozwólmy mu kontynuować, ale tak, by było to z pożytkiem dla niego, zgoda?

Natychmiast odwrócił wzrok, aby zasygnalizować, że jest piękna, i ten milczący komplement odniósł zamierzony skutek, zdradziecki i cudowny, leczący dawne niepokoje.

- Co pan mu powiedział?

- Żeby się nie poddawał! Wystarczy, że zmieni jeden szczegół...

- Zawsze ten jeden procent...

- Jeśli Max panią denerwuje, proszę mu to powiedzieć. Proszę nie przepuszczać okazji! Nie może mu pani oddać większej przysługi... tymczasem. Poza tym... chciałbym pani zadać jedno krępujące pytanie, jeśli można.

- Proszę.

- Pytanie, które naprawdę panią poruszy. Ale może pani się nie zgodzić... nie chciałbym nalegać.

- Niech pan pyta.

Octave wyszeptał po dłuższym milczeniu:

- Dlaczego, pani zdaniem, ustawiłem się po pani lewej stronie?

Jeanne odczuła głębokie poruszenie, zarumieniała się i przez kilka minut niemal robiło jej się słabo, tak bardzo zaskoczyła ją ta uwaga, zdradzająca jeden z najpilniej przez nią strzeżonych sekretów, ukrywanych za dziewczęcym skępowaniem. Przez siedem lat nawet Alexandre nie zorientował się w tej głuchocie prawej strony, tym drobnym upośledzeniu, którego Jeanne niemal się wstydziła, jakby pomniejszało jej wdzięki. Płynęło to nie tylko z kokieterii: była to zupełnie nieproporcjonalna panika, głęboko związana z istotą jej charakteru. Jeanne sądziła, że gdyby ten feler był znany, straciłaby przez to wiele ze swej atrakcyjności. A im dłużej trwało kłamstwo, tym bardziej niemożliwe wydawało jej się wyznanie prawdy, tak straszliwie śmiesznej.

Jeanne z niezwykłą pomysłowością wymyśliła cały styl życia, który decydował o jej postawach i zachowaniu, żeby ta infamia nigdy nie ujrzała światła dziennego. Owa tajemna obsesja kazała jej zawsze sadowić się z odpowiedniej strony podczas posiłku, spać po lewej stronie podwójnego łóża, udawać, że nie lubi koncertów, podczas których strumienie dźwięków atakowały jej jedyny zdrowy bębenek. Nauczyła się nawet czytać z najbardziej nieruchomych warg tak, aby nikt tego nie zauważył, byle nie zostać zdemaskowaną. Było jedno niebezpieczeństwo, którego obawiała się najbardziej: kolacje, kiedy wszyscy paplą równocześnie. Rozszyfrowanie rozmowy stawało się wtedy tak trudne, że od ucieczki Alexandre'a - którego obecność kiedyś dodawała jej pewności - Jeanne uparcie nie przyjmowała żadnych zaproszeń na wieczór w obawie przed zdemaskowaniem. I ten absurdalny lęk - bo w końcu ryzyko było naprawdę minimalne - stopniowo odseparował ją od hebrydzkiego towarzystwa. W Port-Vila wiedziano, że Jeanne Rivière zamyka się wieczorami w samotności. Przyjmowała jedynie zaproszenia na obiady, na których zazwyczaj bywało mniej osób. A poza tym w ciągu dnia miała większą pewność, że zobaczy wargi swoich rozmówców. W ten sposób tak niewinne z pozoru upośledzenie ograniczało jej codzienność, niejako wbrew jej woli, bo Jeanne z wielką przyjemnością uczestniczyłaby w elektryzujących wieczorach małej stolicy; za te ograniczenia płaciła rezygnacją z tańca, co stanowiło dla niej rodzaj kary. Stała się więźniem, podob-

nie jak ludzie, którzy boją się latać i sami pozbawiają się przyjemności oglądania świata. Naturalnie rozpowiadała wszem wobec, jak wspaniale czuje się wieczorami we własnym towarzystwie. Po prostu nie znajdowała dość entuzjastycznych słów, by wyrazić, jak bardzo uwielbia te nareszcie wolne godziny, kiedy może poczytać. W istocie Jeanne czuła zdecydowaną awersję do czytania powieści, wołała jednak podtrzymywać swą nierozsądną obawę, owo subtelne napięcie, które w zasadzie kształtowało jej życie, zamiast je ujawnić.

Oczywiście, wysłuchując tych zbyt intymnych i nie do końca jasnych wymówek, osoby nieznające Jeanne słusznie sądziły, że jest co najmniej dziwna, nie bardziej jednak niż kobiety i mężczyźni, którzy codziennie - od Nowego Jorku do Hamburga - balansują między własnymi lękami. Ludzie już tacy są: zręcznie ukrywają niewidoczne przeszkody, które sobie wymyślili, zatajają nierealne przepaście, których widok podsuwa im chory umysł, do głębi przekonani, że wszystkie te wymaginowane przeszkody istnieją naprawdę. Pod tym względem Jeanne była osobą bardzo zwyczajną, gnębioną lękami nie większymi od tych, na które wystawiony jest cały rodzaj ludzki.

Jednak pytanie Octave'a uczyniło ją bezbronną; zarumieniła się z radości, ponieważ była już absolutnie pewna, że on nie może być Alexandre'em. Nigdy nie wyznała swemu ślepemu mężowi tego pilnie strzeżonego sekretu, który zresztą nie znalazł się również w czerwonym zeszycie.

- Czy powinienem być milczeć? - spytał Octave.

- Skąd pan to wiedział?

- Jestem człowiekiem, który lubi zadawać sobie pytania.

- I?

- Zastanawiałem się, dlaczego nikt pani nie zaprasza na kolacje. Równocześnie zadawałem sobie pytanie, dlaczego przy każdym spotkaniu ustawia się pani po mojej prawej stronie; i te dwa fakty, pozornie niepowiązane, zestawione razem mogły mieć szczególne znaczenie.

Jeanne rozkoszowała się świadomością, że została zrozumiana, że przeniknął ją ten domyślny wzrok, który tak uparcie jej unikał. Ta uwaga, naszpikowana podtekstami, mówiła całą prawdę, której szczegółów nie musiała wyjaśniać. Na tym polegała najbardziej upajająca przyjemność: ktoś odgadł jej tajemnicę, obserwował skrupulatnie i na podstawie dedukcji odtworzył i wreszcie uznał całą złożoność jej wnętrza. Ten sport zachwycał ją, jeśli odnosił się do jej zawołowanej osobowości, a do tego uprawiany był z taktem, oszczędzającym jej wstydlivość.

Octave, jako dobry strateg, nie rozpraszał się w wyjaśnieniach, żeby jej udowodnić, jak absurdalne było odmawianie wszystkich zaproszeń na kolację. Wprost przeciwnie, był na tyle przytomny, by utwierdzić jej niepokoje, pogratulować przezorności, wykazać pełne, acz pozbawione ironii zdziwienie, że miała odwagę pozbawić się wielu przyjemności dla równie ważnego powodu. Octave wyczuwał instynktownie, że nie można dotrzeć do żadnego człowieka, jeśli najpierw nie uzna się jego nierozsądnych percepcji, nie przeniknie się w gąszcz jego niepokojów. Dopiero kiedy Jeanne nabrała do niego zaufania, uszczęśliwiona tym, że nie kwestionował jej racji, dopiero kiedy szczegółowo wyłożyła mu ogrom swoich obaw, niewąt-

pliwie usprawiedliwionych, dopiero wtedy opowiedział jej o zaprzyjaźnionej kobiecie, której urok zdecydowanie ucierpiał - można by powiedzieć: przestał istnieć - w chwili, gdy całe Auckland dowiedziało się, że ona nie widzi na jedno oko.

Nagle Octave wygłosił podstępną konkluzję:

- Ale ja znam niezawodny sposób, żeby nigdy nie dać się zdemaskować przy stole podczas kolacji.

Niezawodny!

- Trudno mi uwierzyć, przecież od tak dawna nad tym myślę.

- Niezawodny, powtarzam.

- I na czym polega ta pańska magiczna formuła? - zapytała kpiącym tonem.

- Łapała pani kiedyś miejscowe kraby?

- Nie, a dlaczego pan pyta?

Octave zaczął jej szczegółowo wyjaśniać techniki polowania stosowane przez kanaków, a była to opowieść równie nudna dla narratora jak dla słuchacza; Jeanne niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, jednak bardzo chciała poznać tę niezawodną metodę, o której wspomniał. Jej zniecierpliwienie wzrastało tym szybciej, że w gruncie rzeczy marzyła o czymś, co mogłoby ją wyzwolić od wiecznego koszmaru. Ponieważ Octave przez cały czas starał się na nią nie patrzeć, mogła przynajmniej z satysfakcją stwierdzić, że nie straciła w jego oczach powabu, chociaż poznał jej tajemnicę. Jednak ten nadmiar zupełnie niepotrzebnych wyjaśnień - czemu, do diabła, nagle jej opowiadał o krabach? - zaczynał ją irytować, opuszczało ją też poczucie humoru.

- Na czym polega ta niezawodna sztuczka? - nie wytrzymała w końcu.

- Dlaczego mi pani przerywa? Krabów hebrydzkich nie chwyta się tak samo jak kraby z Lifou, zupełnie nie tak. I jestem pewien, że nigdy pani nie zgadnie, dlaczego.

- Nie.

Jeszcze przez piętnaście minut Octave'owi udawało się unikać odpowiedzi, aż wreszcie Jeanne gotowa była wysłuchać tego, co na początku zamierzała puszcząć mimo uszu. Manipulował jej nastrojami tak niezręcznie - dlaczego nie zauważył, jak strasznie ją nudzi, pytała samą siebie - że niczego nie podejrzewała. Wreszcie, całkiem wyczerpana, zapytała:

- W porządku, więc na czym polega ta niezawodna sztuczka?

- Niezawodna to może za wiele. Nie powinienem używać tak zdecydowanych określeń. To straszne, ale stale popełniam ten błąd, a to odbiera moim słowom wiarygodność. Chyba powinienem posłużyć się skromniejszym przymiotnikiem, takim niedookreślonym, mniej definitywnym, bo w końcu mogę przecież się mylić...

- Na czym polega ten pomysł?

- Kim jest ta jedyna osoba, która w czasie kolacji może w każdej chwili wstać od stołu i wyjść, żeby uniknąć krępującego pytania?

- Gospodyni...

- Proszę więc nie bywać na kolacjach tam, gdzie mogłoby się zdarzyć, że ktoś zada pani pytanie wiążące się z rozmową, której pani nie dosłyszała. Może pani jednak sama wydawać kolacje, zapraszać przyjaciół. U siebie, przy własnym stole, może pani bezpiecznie odnowić kontakty z ludźmi, potem trochę potańczyć.

Nie dodał, że praktycznie nie miała wyboru, bo już od dawna nikt w Port-Vila nie zapraszał jej na wieczór! Jeanne przyznała mu rację, bardzo przypadła jej do gustu ta rozsądna sugestia, pomysł wręcz wspaniały, ponieważ uwzględniał zarówno jej szczególną fobię, jak i chęć zabawy, żądze tańca, poddawania się rytmowi, który niweluje wszelką sztywność. Natychmiast zapragnęła wydać wielki obiad, po którym nastąpiłby bal, może nawet maskowy.

- Przyjdzie pan?

- Nie zdziwiło panią, że tak długo opowiadałem o krabach? Przyzna pani, że byłem szalenie denerwujący, prawda?

- Owszem!

- Tylko po to, żeby przyjęła pani moją sugestię, na co nie była pani gotowa na początku naszej rozmowy. Przyznaję się do tego, ponieważ widzę, że jest pani absolutnie zdecydowana wydać szybko tę fetę, na którą ja oczywiście nie przyjdę.

- Dlaczego?

- Zadałem pani pewne pytanie. Pamięta pani?

- Jakie?

- Pytałem, jak pani zamierza zapobiec najmniejszym oznakom pociągu seksualnego do mnie. Więc teraz powtarzam to pytanie: czy może pani mi wyjaśnić, w jaki sposób uwolni się od uczuć do mnie, gdyby się zrodziły?

- Jest pan bardzo zarozumiały.

- Nie, nie jestem dość obrzydliwy, ponieważ pani tu jest. Powtarzam: dopóki nie odpowie pani na moje pytanie, wolę pani unikać. Tym bardziej że ilekroć przychodzi pani, by się ze mną zobaczyć, zbliżamy się do siódmego spotkania, proszę o tym nie zapominać. I wie pani, co się wtedy zdarzy, a czego sobie nie życzę. Do widzenia.

I oddalił się, zostawiając ją w stanie osłabienia, drastycznie wyczerpaną upałem równika. Jeanne pienila się ze złości na tego mężczyznę, który z równym powodzeniem potrafił oddziaływać na jej zmysły, jak i odpychać od siebie. Kompletnie zdezorientowana, odczuwała w jego obecności i pod jego wpływem przemożną chęć zmiany, ale była także dotknięta tym, że ją odrzuca. Kiedy się do niej zwracał, Jeanne czuła się jak kwiat gotów rozkwitnąć pod czujnym okiem troskliwego botanika. Dlaczego jednak robił to wszystko? Nigdy żaden mężczyzna nie uchylił przed nią tyłu drzwi. Octave, jakby bezwiednie, rozbudzał jej pragnienia i uparcie lekceważył jej niechęć do szczęśliwego życia. Jego zamaskowana ostrożność i zwodnicze zdania pomagały jej wznosić się ponad lęki ograniczające egzystencję. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, nawet jeśli nie do końca postrzegала jego zręczność. Jeśli Octave nie pałał do niej sza-

leńczą miłością, to po co poświęcał jej tyle uwagi? Jeanne wiedziała, że człowiek zdecydowany trzymać ją na dystans wyraźnie jej pożąda. A równocześnie wkładał mnóstwo wysiłku, by nie spojrzeć jej w oczy, aby uniknąć niebezpieczeństwa kontaktu. To postępowanie ją zadziwiało, niepokoiła się wręcz, czy słusznie przypisuje mu te wszystkie uczucia.

Prawdę mówiąc, Rivière należał do tych szaleńców, którzy nie mogą spokojnie patrzeć, jak ukochana kobieta staje się niewolnicą swoich przekonań, uwięzioną w takiej wizji samej siebie, która bardzo ją pomniejsza. Owa mieszanka cierpienia i niewiarygodnych automanipulacji, tak bardzo ograniczająca Jeanne na co dzień, była dla niego nie do zniesienia, raniła go jak wszystko, co wydaje się nieuniknione. Sama obecność Jeanne wyzwalała w nim emocje, zazwyczaj trudno dostępne. A poza tym Octave'a w równym stopniu poruszała sama Jeanne, co talenty mogące się w niej obudzić, owe niezbadane terytoria, których istnienie odgadywał pod jej specyficznymi maniami. Im bardziej stawał się mężczyzną, jakim pragnął być, tym bardziej miłość wydawała mu się sztuką uwolnienia kobiety od wewnętrznych oporów, owych zasadzek, które przeszkadzały jej być naprawdę sobą. Mobilizował wszystkie siły swego charakteru i gwałtowne pożądanie, jakie w nim budziła, by uwolnić Jeanne od rozbitego dzieciństwa, wyzwolić z teraźniejszości, przerzucić niewidzialne mosty do lepszej przyszłości.

Octave wiedział, że ucieknie od własnych lęków tylko wtedy, gdy wyzwoli Jeanne od trapiących ją niepokojów. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że w wyniku dziwnej gry luster ta kobieta przesyłała dokładny obraz jego ograniczeń, akurat tych, które najbardziej go wzburzały. Była zdominowana przez zaborczą matkę? Nie tylko ona... Jakiś drobiazg - odkrycie tego, że nie słyszy na prawe ucho - mógł osłabić i tak wątłą wiarę we własną atrakcyjność? Dotyczyło to także jego. Rivière był w gruncie rzeczy tak przekonany o swoich wadach, że we własnym mniemaniu nie zasługiwał na uwagę jakiegokolwiek dziewczyny. Oburzenie z powodu tego, że Jeanne metodycznie zatruwała sobie życie, stanowiło jedynie echo niezwykłej paniki, jaka zapierała mu dech, ilekroć łapał się na tym, że komplikuje własny los, sabotuje codzienność, odmawiając sobie prawa odczuwania przyjemności. Wściekał się, że w jego charakterze nie leży skłonność do satysfakcji, że obdarzony został temperamentem szaleńca, który patrzy w przyszłość zamiast cieszyć się każdą chwilą. Pomóc Jeanne być sobą znaczyło dla Rivière'a pocieszenie, że sam jest tylko sobą.

Octave żywił przekonanie, że Zło, uparte dzieło Lucyfera, polega na zamykaniu kobiet i mężczyzn bez ich wiedzy w ustalonym obrazie własnego „ja”, z konieczności śmiertelności, ponieważ ukształtowanego na definitywnym już „ja”, wykluczającym różne aspekty samego siebie i możliwość „stawiania się”. Za każdym zdradzieckim skostnieniem, za każdą luką w tworzeniu samego siebie dostrzegał diabła, zawsze gotowego przejść do mistrzowskich posunięć.

Jednak nawet uważny obserwator nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego ten człowiek odmawia sobie fizycznego zbliżenia

z Jeanne, której powierzchowność tak bardzo upaja jego zmysły. Czy naprawdę nie chciał, żeby pomiędzy nim a bratem stanęła kobieta, na wypadek gdyby Alexandre wrócił na Nowe Hebrydy? Czy -

jeśli był Alexandre'em - obawiał się, że zostanie zdemaskowany w gorączce uścisków? Zdezorientowana Jeanne miała już tylko jedną pewność: wiedziała, że jest gotowa, by wyszedł jej na spotkanie.

- Psze pana, będę dobry w rachunkach - oświadczył Max. - Ale tylko w rachunkach.

- Tylko w rachunkach - powtórzył Octave. - Co do reszty, to mam nadzieję, że w dalszym ciągu będziesz zły albo bardzo zły, masz wolny wybór. Doprowadzisz tym swoją matkę do szaleństwa! A jeśli jakimś cudem uda ci się kiedyś dobrze zrobić ćwiczenie z gramatyki, zobowiązuję się postawić ci zły stopień, zawsze kiedy będziesz chciał. Zgoda?

- To ją doprowadzi do wściekłości! - powtórzył Max, zanim wybiegł na dziedziniec.

I rzeczywiście, Max gwałtownie zwiększył swoje zainteresowanie rachunkami, dokładając starań, by nie poprawiać stopni z pozostałych przedmiotów. Bardzo się troszczył, by nie udały mu się zadania z geografii, nie chciał też wyrecytować zadanych na pamięć wierszy, których wcześniej po prostu się nie uczył. Zgodnie z przewidywaniami Octave'a Jeanne szalenie się tym irytowała:

- Co się z tobą dzieje? Sam widzisz, że jak chcesz, to możesz! - nie przestawała mu wypominać.

Octave nie przewidział jednak, że ta obiecująca sytuacja zbyt się spodoba Maksowi, żeby miał się następnie zgodzić na poprawianie stopni z innych przedmiotów. Z godną podziwu stałością, wskazującą na wyjątkowe panowanie nad sobą, pozostawał doskonały w rachunkach i beznadziejny we wszystkim innym. Pomysł Octave'a, by wprowadzić zmianę w życiu Maksa, dzięki której on sam poczuje się zdolny do wprowadzania następnych poprawek, nie sprawdził się, jak tego oczekiwał.

Natomiast w przypadku Jeanne spodziewane procesy sprawdzały się niemal codziennie. Odkąd zjadliwa mama rozluźniła uchwyt, Jeanne ze znacznie mniejszym zapalem komplikowała sobie życie, była bardziej skłonna się oszczędzać. Zaczęła coraz częściej urządzać kolacje z tańcami, przyjmować liczne towarzystwo, nie zważając na to, że nie słyszy na jedno ucho. Stopniowo odzwyczajala się od sprzątanania domu tuż przed przyjściem Lucie, młodej Melanezyjki, do której obowiązków to należało. Nie chciała też dać się wciągać w sytuacje, które czyniły z niej ofiarę własnego wyboru; zaczęła więc zachowywać pewien dystans wobec Lucie.

Lucie, obdarzona wyjątkowym talentem manipulowania, znakomicie potrafiła uzyskać od Jeanne tysiące ustępstw, zabierała jej niemal cały wolny czas, opowiadając niezliczone historie; wzbudzała przy tym u swej chlebodawczyni głuche poczucie winy z racji przynależności do ludu kolonizatorów i do białej rasy.

Zręcznie wykorzystując te odczucia, Lucie mogła przerzucić na Jeanne większość swoich obowiązków i nie dopuścić do jakichkolwiek krytycznych uwag. Nieprzewidywalne nieobecności Lucie miały stanowić część bilansu w rachunku Północ-Południe, tak samo jak terytoria, które zyskiwała dzień po dniu. Po pięciu latach wahań Jeanne zgodziła się nawet odstąpić jej własny pokój w wyniku awantury z plemieniem męża Lucie. Od tego dnia cała rodzina Rivière'ów musiała zajadać słodkie ziemniaki, bo Lucie nie znosiła zachodniej kuchni.

Daleka od raptownego zrezygnowania ze wszystkich dziwactw, których trzymała się tak długo, Jeanne (czyżby spontanicznie?) postanowiła pozbyć się ich w inny sposób. Zamiast wyrzucić groźną Lucie - na co nie starczało jej odwagi - podeszła do niej pewnego ranka rozpromieniona i oświadczyła:

- Lucie, mam dla ciebie dobrą wiadomość!

- Aa...

- Uważam, że masz za dużo pracy. Zdecydowałam więc, że musisz osiem dni odpocząć. Będziesz mogła zobaczyć się z matką.

- Aa...

- Martha cię zastąpi. A potem będzie ci pomagać.

- Kto to jest Martha?

Oczywiście Lucie nie miała zamiaru dopuścić, by ta fikcyjna Martha usadowiła się na jej terytorium. Jak tylko Lucie odzyskała wrodzony brak entuzjazmu do pracy, Jeanne ponowiła atak:

- Widzę, że jesteś przemęczona, odpocznij trochę u matki. Naprawdę za dużo pracujesz, zmarnujesz sobie zdrowie! Odpocznij chociaż godzinkę!

- Nie ma potrzeby, doskonale się czuję.

Lucie wykazywała niezbędną energię w obawie, że swym lenistwem wesprze zamiary chlebobawczyń.

Posługując się podobnymi nakazami - przeciwko którym Lucie nie mogła oponować wprost, jako że polecały jej wykonywanie tego, co już robiła - Jeanne odzyskała nawet pokój. Na każdym etapie starała się stworzyć odpowiedni kontekst, który uniemożliwiał temu potworowi potraktowanie jej jak kata. Była to niezbędna ostrożność, Jeanne wiedziała bowiem, że nie potrafi się oprzeć presji służącej. Dość dziwny podstęp, na który wpadła pewnego ranka, polegał na tym, by Lucie odbywała dwie sjesty dziennie w łóżku Jeanne.

- Dlaczego dwie? - dopytywała się Lucie, świadoma, że pani jest trochę dziwna, ale nie kompletnie pomyłona.

- Ponieważ jest to mniej niż pięć - odparła Jeanne z pewnością, która do końca zbiła z tropu perfidną Lucie.

- Pięć sjest to zupełna przesada, to wręcz śmieszne, musisz przyznać - dodała Jeanne. - Dwie wydają mi się bardziej stosowne, jedna rano, druga po południu. A ponieważ zależy ci, żeby zajmować ten śliczny pokój, to chcę, żebyś z niego właściwie korzystała. Widok jest piękny, a łóżko wygodne, prawda?

- Tak, ale...

- Jesteś podobna do mnie, nie lubisz marnotrawstwa. Wybieraj więc: albo zatrzymasz mój pokój i zrobisz sobie sjestę dwa razy dziennie - do czego już nie będziemy wracać - albo od dzisiaj przeniesiesz się do pokoju gościnnego.

Wystraszona Lucie wahała się przez chwilę: nie mogła zrozumieć, dlaczego osoba prawie normalna nagle zachowuje się tak dziwnie.

- Prawdę mówiąc - kontynuowała Jeanne - spotkałam na targu Marthę. Chyba byłoby dobrze, gdyby cię od czasu do czasu zastąpiła, kiedy jesteś zmęczona.

Tego samego wieczoru Jeanne odzyskała swoje łóżko.

Uciekanie się do tak pokrętnych wybiegów, żeby powrócić do własnego pokoju, wywoływało uśmiech, ale właśnie dzięki temu, że Jeanne nie przeceniała swoich możliwości, udało jej się zapoczątkować zmiany. Nabrała w ten sposób pewności siebie, która stopniowo się umacniała, tak że któregoś poranka Jeanne wpadła na pomysł, żeby przestać przekazywać Rose jedną dziesiątą swoich zarobków. Taka decyzja mogła wszelako pogłębiać w niej poczucie winy - nie płacić stałego okupu pozbawionej pieniędzy sześćdziesięcioletniej kobiecie? - i doprowadzić do zerwania z całym klanem braci i sióstr, którym za nic nie chciała się narażać.

Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu to Lucie zupełnie bezwiednie podpowiedziała dobry sposób, kiedy oświadczyła pewnego wieczoru:

- Kiedy siostra chce ode mnie pieniędzy, załatwiam jej pracę!

A Lucie wiedziała, co mówi, bo doskonale знаła subtelną sztukę, jak nie pozwolić innym sobą rządzić... Jeanne podjęła ten pomysł, udoskonaliła go i pewnego dnia zadzwoniła do Rose:

- Halo, mama? Mam duże kłopoty finansowe. Wytłumaczę ci. Nie będę mogła ci posyłać pieniędzy co miesiąc. A może ty mogłabyś mi dawać pięćset franków miesięcznie do końca roku?

Po drugiej stronie przewodu telefonicznego Rose o mało nie zemdląła; to nagłe odwrócenie relacji podziało na nią jak groźny cyklon: liczby nie stanowiły tematu żartów dla Rose. Domagając się niewielkiej sumy - co w zasadzie zmieniało temat rozmowy - zamiast suchej informacji o zakończeniu wpłat Jeanne zręcznie wymyśliła powód, dzięki któremu w ogóle ośmieliła się rozmawiać z matką. Nieco oszłamiona Rose szybko odzyskała zdolność ripostowania i zaczęła tak narzekać na swoje skromne środki, że Jeanne w końcu ustąpiła.

- No dobrze, możesz mi nic nie dawać, jakoś sobie poradzę. Jesteś pewna, że naprawdę nie możesz mi pomóc?

- Moje dziecko, chyba ze mnie kpisz!

- W każdym razie nie zostawię cię tak zupełnie bez pieniędzy. Znalazłam coś dla ciebie...

Jeanne wyciągnęła w tym momencie swą tajną broń, pełną polisę ubezpieczeniową, idealne rozwiązanie, dzięki któremu nie spali się ze wstydu, że naraziła matkę na udreki biedy. Znalazła dla Rose regularną pracę korektorki w jednym z paryskich wydawnictw, którą to pracę pedantyczna i do szaleństwa odczytana Rose będzie mogła wykonywać z całą maniakalną skrupulatnością, nie ruszając się z domu.

Takie były efekty spotkania Jeanne z Octave'em. Fala szoku przetaczała się powoli przez cały jej świat. Miłość dostarczała chęci do postępujących metamorfoz, subtelnie zasugerowanych przez Octave'a z tą jego zimną gorączką i wykalkulowaną sztywnością, które maskowały jeszcze powstrzymaną namiętność.

Jeanne nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia Rivière - ze zwykłą sobie wspaniałomyślnością - wkradł się w jej umysł, żeby mogła lepiej poznać własne siły. Bezwiednie pozostawała pod wpływem zawołanych sugestii Octave'a. Bez przerwy przypominała sobie konkretne pytania, jakie jej zadał, nie rozumiejąc, że odpowiedzi nie mają dla niego większego znaczenia. Jego prawdziwym życzeniem było zaprzątnięcie jej myśli tym kołowrotkiem pytań, które cały czas głęboko ją poruszały. Jak mogła go zapewnić, że potrafi się pozbyć ewentualnych uczuć do niego? W jaki sposób uda jej się pewnego dnia zagłuszyć to, o co jej ciało już zaczynało się dopominać? Jeanne nie pojmowała, że Octave swoim zwyczajem po mistrzowsku odsuwał prawdziwe pytanie, nakładając na nie z góry przyjęte założenia. Kiedy chciał pomóc chłopcu siusiąjącemu do łóżka, nie mówił: „Chcę, żebyś przestał siusiać do łóżka”, oświadczał natomiast: „Nie chciałbym, żebyś zbyt szybko przestał siusiać do łóżka, to byłoby niebezpieczne”. Skupiał się w ten sposób na sprawie drugorzędnej - na pozór chodziło o to, kiedy mały przestanie sikać - zamiast bezpośrednio odnieść się do kłopotów dziecka. Zawsze mówił o jednym, by pewniej osiągnąć coś innego, posługując się okrężnymi drogami.

Jeanne zajmowała się więc pytaniami, co pośrednio skłaniało ją do zastanowienia się, czy jest zaangażowana, czy nie. W miarę rozważania tej hipotezy możliwość wzbudzenia w sobie namiętności do tego człowieka stawała się rzeczywistością wręcz oczywistą! A im lepiej to dostrzegała, tym mniej czuła się zdolna sprzeciwić uczuciu uporczywemu, płomiennemu i ogarniającej ją panice. Mimo to nie opuszczała jej rezerwa, niechętnie bowiem myślała o poddaniu się, o ponownym wystawieniu na ryzyko swego serca, które znało jedynie miłość absolutną. Czuła się osaczona, miała wrażenie, że otaczają ją nieuniknione uczucia, fatalne i drapieżne, które stwarzają jedynie okazje widywania Octave'a.

Spotkali się przypadkiem na targu w sobotni ranek. Jeanne natychmiast ustawiła się w kolejce przed ladą sprzedawcy ryb tuż za Rivière'em.

- Dzień dobry.

- A, dzień dobry.

Otoczała ich atmosfera uporczywie ponurego humoru, irytowano się na powolność sprzedawczyni; wszystkie twarze wydawały się zacięte. Nagle Octave odezwał się na cały głos:

- Jeanne, wczoraj miałem zabawną sytuację, pani też by się ubawiła. Stałem w kolejce do kina na wolnym powietrzu i wszyscy się wściekali, chociaż szli obejrzeć komedię. Szli, żeby zrobić sobie przyjemność, a złościli się! I nikt nawet nie zauważył śmieszności tej sytuacji, nikt się nie uśmiechnął ani nie roześmiał.

W tej chwili wszyscy zniecierpliwieni zaczęli się uśmiechać, nawet nie zdając sobie sprawy, jak oddziaływał na nich Octave krytykujący postawy malkontentów. Ale Octave nie zrobił tego celowo. W sposób naturalny, nawet o tym nie myśląc, manipulował bliźnimi, aby natchnąć optymizmem, aby opuścili więzienie negatywnego myślenia, choćby tylko na chwilę. Wszędzie, w każdym miejscu, gdzie się zjawił, promieniował radością, rozpędzał szarość.

Potem Octave zajrzał do koszyka Jeanne i wyszeptał:

- Przy takim jedzeniu nie zrzuci pani dwóch kilogramów, które tak pani przeszkadzają, które zatrzymują pani życie...

Jeanne zaczerwieniła się z zażenowania, bo prawdą było, że te nędzne dwa kilogramy odbierały jej pewność siebie, tak jakby chodziło o dwudziestokilogramową nadwagę. Przez nie właśnie z uporem unikała niebezpiecznego kostiumu kąpielowego i obawiała się nagości, kiedy pojawi się ten ważny mężczyzna; udało jej się jednak opanować i zapytała:

- To aż tak się rzuca w oczy?

- Nie tyle kilogramy, ile pani zaniepokojenie - odpowiedział cicho, aby zmusić Jeanne do nadstawienia ucha. - Zadaje pani sobie zbyt wiele trudu, by ładnie wyglądać. Przesadnie staranne uczesanie i makijaż wskazują, że pani nie wierzy w swoją urodę. A gdybym dodał, że jest pani pociągająca seksualnie, na pewno usłyszałbym protesty.

Jeanne przez moment stała nieruchomo. Śmiałość tej uwagi wzruszyła ją, ale i onieśmieliła. Odpowiedzieć „tak” - znaczyło okazać mu posłuszeństwo, a to ją denerwowało; ale zdawała sobie sprawę, że „nie” równałoby się powiedzeniu tego, co on pragnąłby usłyszeć. Toteż Jeanne milczała, udając, że go nie słuchała, po czym usiłowała przejąć inicjatywę.

- A na te dwa kilogramy co by pan poradził?

- Moja sugestia może poczekać, póki nie kupimy ryb.

Kilka minut później zasiedli na tarasie maleńkiego paryskiego kącika, wygnanego pod hebrydzkie obłoczki. Ta maleńka kawiarenka rzucała wyzwanie tropikom i demonstrowała swą francuskość do najdrobniejszego szczegółu, wbrew melanezyjskiej atmosferze i zapierającej dech wilgotności, która niemal rozpuszczała klientów, stłoczonych i spływających potem w powietrzu wdychanym już co najmniej dziesięciokrotnie.

- A więc? - spytała Jeanne.

- A gdyby tak schudła pani pięćset gramów?

- Dlaczego?

- A jak opróżnia się łódź napełnioną wodą, zbyt ciężką i bliską zatonięcia, kiedy ma się tylko jeden czerpak? Od razu czy...

Pomyślała: czerpiąc raz za razem.

- Nie jestem pewien, czy pani naprawdę chce stracić te dwa kilogramy.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Boi się pani rozebrać przed mężczyzną, który nie będzie Alexandre'em, i dotychczas to pani pomogło zostać mu wierną, prawda? Nie jestem więc pewien, czy pani jest gotowa, żeby być mu niewierną, bo w dalszym ciągu w tych kategoriach postrzega pani przespanie się z innym mężczyzną. Oczywiście mogę się mylić. Ale nie da się zaprzeczyć, że nosi pani obrączkę.

- Rzeczywiście.

- Mogę pani pomóc jedynie wtedy, kiedy odpowie pani precyzyjnie - ale najważniejsze, żeby krótko - na moje wszystkie pytania, nawet jeśli są sprawy, których pani nie ma ochoty wyznać i wolałaby, żebym o nich nie wiedział. Możemy więc zacząć od tego, o czym chciałaby pani ze mną teraz porozmawiać, choć może niekoniecznie ma pani tego świadomość. Czy w domu bierze pani kąpiel, czy prysznic?

- Pysznic, ale co to ma...

- A więc proszę mi teraz dokładnie opowiedzieć, jak się pani do tego zabiera, opisać wszystkie gesty przed, w trakcie i po. Tylko proszę się streszczać i nie gubić w szczegółach.

Jeanne, zdezorientowana tymi sprzecznymi poleceniami, opisała mu z powściągliwą skromnością zwykle swoje czynności, ponaglana niewiarygodnie szczegółowymi pytaniami Octave'a - na przykład: czy odkręca kran prysznic na pół, czy na ćwierć obrotu? - właściwie zajęta była głównie niestosownością tych pytań, więc nawet się nie zorientowała, kiedy wyobraziła sobie własne nagie ciało. Żeby jeszcze wyraźniej uświadomiła sobie swoją nagość, Octave dorzucił:

- A teraz, kiedy już wytarła się pani do sucha bardzo starannie - nalegam na to - musi pani się cała nasmarować kremem do opalania. Czy rozpocznie pani tę czynność od ramion, czy od pośladków? Czy pani ręka odruchowo sięgnie do piersi, czy do ud? Odruchowo!

Jeanne pomyślała o wymienionych partiach ciała, a to ją zmusiło do przypomnienia sobie własnej anatomii, która przestała być przedmiotem jej sympatii i zainteresowania, odkąd Alexandre ją porzucił. Po raz pierwszy od dwóch lat Jeanne odnajdywała swoje kształty, prawdziwą świadomość swego promiennego ciała.

- Zastanawiam się - kontynuował - czy pani majteczki, te, które ma pani teraz na sobie, są na tyle duże, by zupełnie zakryć włosy łonowe. Zastanawiam się też, czy na pani piersiach odznacza się kostium, czy też są tak równo opalone jak nogi, które mają dokładnie kolor pani sutków, prawda?

Nie kontrolując swoich myśli, Jeanne ujrzała nagle własne łono, nogi i tors i niejako automatycznie zaczęła postrzegać siebie jako kobietę atrakcyjną, znowu pociągającą seksualnie. Rozmyślenia te wydały jej się tak śmiałe, iż ani przez chwilę nie podejrzewała, że Octave w ten sposób ratuje jej zranioną kobiecość, że próbuje przywrócić utraconą pewność siebie, którą kiedyś dawał jej Alexandre, a którą odebrał, znikając bez słowa.

- Naprawdę jest pan zarozumiały, co za pytania! - powiedziała jedynie.

Po chwili Jeanne wróciła do tego, co zainteresowało ją na początku.

- Nie chce mi pan powiedzieć, jak schudnąć?

- Owszem, i gwarantuję, że się uda, jeśli zastosuje się pani dokładnie do moich poleceń. Wróci pani do domu, weźmie prysznic, wykonując dokładnie to - koniecznie! - co, jak mi pani powiedziała, zwykle pani robi. A potem...

- ...co potem? - nie wytrzymała.

- Żeby to się udało, musi pani się zgodzić na coś niezwykłego, co może być dla pani nieprzyjemne, bardzo niewygodne.

- Co takiego?

- Muszę przebywać w sąsiednim pomieszczeniu. Oczywiście nie w samej łazience, ale w pokoju obok. Sam albo z pani dziećmi.

- I to wszystko? - zdziwiła się, nie domyślając się nawet, że tak udratyzował wstęp, by prawdziwe żądanie wydało się niewinne, szczególnie że godził się na obecność Maksa i Bérénice.

- Owszem, ale wydawało mi się trochę niegrzeczne wpraszenie się do pani. Więc, zanim dopijemy tę szklaneczkę, możemy zdecydować, czy pójdziemy od razu, czy później. To zależy od pani.

Taka propozycja zabrzmiała mniej dziwnie, jeśli przypomnimy, że mieszkańcy metropolii w klimatycznej łaźni Nowych Hebrydów oczekali potem i często, by oczyścić się od siebie samych, brali prysznic kilka razy w ciągu dnia.

- Ale dlaczego sądzi pan, że dzięki temu stracę te kilogramy?

- Dowie się pani, susząc się przed lustrem. Nie wcześniej. Ma pani jakieś lustro? Wystarczająco duże? Jego rozmiary są bardzo istotne...

Znowu wciągał ją na grząski teren, by łatwiej przełamać opory. Godzinę później Jeanne była pod prysznicem. Myślała o tym, że Octave za przepierzeniem z desek wie dokładnie, jakie gesty ona wykonuje, i pewnie je sobie wyobraża. Opowiedziała mu przecież o każdym muśnięciu, potarciu, ruchu dłoni. Toteż każda mydlana pieszczota nasycona była szczególnym erotyzmem, jakby Jeanne dotykała się własną dłonią w imieniu Rivière'a, co wprawiało ją w miłe podniecenie. Starła się nawet ściśle utrzymywać kolejność gestów, które wcześniej mu opisała, żeby Octave nie stracił nic z tego duchowego zbliżenia ciał, na pewno sprawiającego mu przyjemność. Ją samą to ćwiczenie wyobraźni wzruszało niemal do łez, nareszcie czuła się pożądana i dotykając dłońmi uroczych okrągłości, wyobrażała sobie, że to jego ręce. Chyba nigdy nie odczuwała intensywniej własnej kobiecości. To wrażenie jeszcze się pogłębiło, kiedy wycierała się przed lustrem, obserwując z nieznaną dotychczas przyjemnością tę nagość, przed której pożądaniem Octave zdawał się bronić ze wszystkich sił. W tym momencie Jeanne zrozumiała, że dwa kilogramy nie mają żadnego znaczenia dla osoby, która wie o tym, że ktoś jej pożąda. Równocześnie przyznała, że jest gotowa ich się pozbyć, ponieważ miała ochotę postawić wszystko na jedną kartę z innym mężczyzną, nie z Alexandre'em, a ta nadwaga stanowiła jedyną więź łączącą ją z ojcem jej dzieci. Oczywiście Jeanne doznała kilku przelotnych rozkoszy, jednak wierność marzeniu o udanym małżeństwie nie pozwoliła jej przez te dwa lata zajmować się sobą, cieszyć się ciałem, które sama uznawałaby za godne pożądania, jakby schudnięcie stanowiło znak, że jest już naprawdę do wzięcia. To właśnie zrozumiała Jeanne, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze i dzięki owej wiernej kalce nabierając odpowiedniego podejścia do samej siebie.

Wychodząc z łazienki, Jeanne czuła się odnowiona, uleczona z tak długiego zaniedbania - dwa kilogramy nabierają często niezwyklej wagi w umyśle kobiety - i całkowicie zakochana w tym, który sprowokował tę rozmowę, w mężczyźnie, który potrafił rozbudzić i pielęgnować jej kobiecość, zmienić postrzeganie samej siebie. Z gardłem ściśniętym emocjami, zawołała:

- Octave!

Odpowiedział jej Max.

- Właśnie wyszedł. Podobno wiesz, dlaczego. Mówił, że to wasze szóste spotkanie, bardzo podkreślał, że szóste. Zajrzyj do mojego dzienniczka. W tym tygodniu z rachunków dostałem dziesięć punktów na dziesięć możliwych!

Jeanne niemal chwiała się na nogach, tak silnego zawodu doznała, zrobiła jednak obojętną minę i zmusiła się, by okazać zainteresowanie dzienniczkiem. Niecałowanymi wargami wymamrotała jakieś wyrzuty pod adresem Maksa, potem narzuciła bluzkę na ramiona, które nie zaznały pieszczot Rivière'a; zlekceważona przez niego skóra Jeanne drżała ze złości, biodra jej jakby zeszywniały, bo nie zostały oplecione jego nogami. Zupełnie jej nie obchodziło, czy ten Rivière był Octave'em, czy Alexandre'em! Jej zmysły rozpoznały mężczyznę, który idealnie im odpowiadał, gotowe do wielkiego skoku w miłość bez zastrzeżeń. Jednak w obecności dzieci zachowywała się jak opiekuńcza matka, niemal nie kobieta, obiecując sobie w duchu, że wkrótce dopadnie opornego. Jeanne ogarnęło niecierpliwe pożądanie - była poza tym pewna, że to czwarte, nie szóste spotkanie - podczas gdy na zewnątrz nisko zwieszono niebo wylewało swą zawartość, swoje kłęby chmur, w deszczu żółtawym od wulkanicznej siarki, przypominającym urynę. Ekscesy tej oceanicznej przyrody idealnie odpowiadały apetytom Jeanne. Obojętna na wszystko, od tej pory pragnęła jedynie schrupać tego mężczyznę, a był to jeden z tych nieposkromionych kaprysów, które czasami zdarzają się kobietom.

Obiekt pożądania czuł się dość rozbity, niemal przygnębiony tym, że nie udało mu się lepiej rozwikłać kłopotów Maksa, który w szkole z uporem brylował wśród najgorszych. Jedyne rachunki mobilizowały wszystkie jego zdolności, nie nabrał jednak ochoty, by zostać wirtuozem także w innych przedmiotach. Ponieważ doskonałość w rachunkach jakoś nie stawała się zaraźliwym bakcylem, pewnego dnia Octave zatrzymał małego Maksa po lekcjach. Utemperowanie młodego zwierzątko stawało się sprawą pilną: w domu Max zrobił się niemożliwy, często uciekał się do przemocy, kiedy Jeanne mu się sprzeciwiała. Bezwstydnie niszczył lampy, łamał poręcze na werandzie, w szczycie złości zdolny był nawet zrobić sobie krzywdę. Matka była przerażona, a w niektóre wieczory ogarniała ją panika.

Octave wiedział, że Jeanne bardzo cierpi z powodu zachowania syna, a w odczuciu Rivière'a kochanie Jeanne równało się niesieniu pomocy matce, bo w przeciwnym razie niewątpliwie zapomni o tym, że jest nie tylko matką, ale również kobietą. Nie wyobrażał sobie, by mógł podobać się Jeanne, nie zmniejszając jej kłopotów i problemów tego chłopaczka, który nosił jego nazwisko.

Dręczyły go proste pytania: Co takiego w nim samym sprzeciwiało się temu, żeby Max zrobił prawdziwe postępy? Co ograniczało chęć pomocy dziecku? Czyż sam bezwiednie nie wydał mu polecenia, żeby postępował dokładnie tak, jak to robił? Octave miał tę ciekawość i uczciwość, by zadawać sobie pytania o własną ambiwalencję, co nie było postawą szczególnie rozpowszechnioną wśród nauczycieli. Zapytywał sam siebie, czy w istocie to nie on powodował niepowodzenia Maksa w innych przedmiotach poza matematyką, czy to nie on podtrzymywał ten dumny bunt dziecka przeciwko matce.

Musiał przyznać, że charakter, jaki demonstrował młody Rivière, wcale nie był mu niemiły. Max, niezwykle uzdolniony i przeciętny zarazem, budził jego podziw i dość bezczelnie zaświadczał swoją wierność rodzinnemu dziedzictwu. Trwając w swym uporze, chłopiec dawał mu możliwość rozwiązywania trudnych problemów, w czym Octave się lubował. Zamierzał jednak skoncentrować się na bardziej istotnym aspekcie: Max, pragnąc przypodobać się wujowi, którego traktował jak ojca, zdawał się żywić wobec Jeanne głuchą urazę prawdziwego Rivière'a, jakby chciał zmusić matkę do płacenia za złość wuja czy ojca. Po raz pierwszy Rivière uświadomił sobie, że pragnie, by Max traktował go jak ojca; ta świadomość była dla niego w równym stopniu wzruszająca, co zaskakująca. Od tej pory nie bronił się już przed zalewem uczuć ojcowskich, tak mu dotychczas obcych.

Kiedy Max przyszedł na wezwanie, powiedział mu przede wszystkim:

- Jestem z ciebie zadowolony, zachowujesz się jak prawdziwy Rivière, chłopak, na którego można liczyć. Zobowiązałeś się mieć słabe wyniki w innych przedmiotach niż matematyka i dotrzymałeś słowa. Więc chciałbym, żebyś się trochę odprężył i przez najbliższe dwa dni postarał się o złe stopnie z rachunków, nawet bardzo złe. Nie wydaje mi się zbyt rozsądne, byś tak szybko osiągał doskonałość. W ten sposób zorientujemy się, czy nie byłoby jednak lepiej dla ciebie, gdybyś był zły we wszystkim, może na skutek tego coś straciłeś.

Max przez kilka chwil był zupełnie zaskoczony. Octave dorzucił:

- A żeby wynagrodzić cię za to, że dotrzymujesz słowa, że poprawiłeś się wyłącznie w rachunkach zgodnie z obietnicą, przyniosłem ci prezent, taki sam, jaki podarował mi ojciec, kiedy skończyłem osiem lat.

Wyraz twarzy Maksa zmienił się i łatwo było odgadnąć przyczynę. Na jego obliczu odbijała się przyjemność, że jest kimś w rodzaju syna dla człowieka, w którym odżywały rysy jego taty. Korzystając ze wzruszenia, które dezorientowało chłopca i uniemożliwiało odmowę, Octave wyjaśnił:

- Ten prezent powinien ci pomóc w skuteczniejszym denerwowaniu mamy: może ją doprowadzić do szału. Tylko nie jestem pewien, czy potrafisz sobie z nim poradzić tak, żeby tobie nie komplikował życia, bo nie wiem, czy wystarczy ci siły charakteru, żeby mu się sprzeciwić. Może jednak potrafisz stanąć na wysokości zadania i zachować mój szacunek, robiąc dokładnie to, co należy.

Jeśli Max z góry zaakceptował wszystkie sugestie - ciągle tajemnicze - to nie dlatego, że podsunięto mu je tak zręcznie, lecz raczej dlatego, że wyczuwał u swego rzekomego wuja prawdziwą miłość i zainteresowanie swoją osobą. Octave otworzył drzwi, gwizdnął i Max zobaczył krótkowłosego prezent wybiegający na dziedziniec. Był to młody psiak, któremu jeszcze trochę płątały się łapy, za przesadnie dużą głową postępował korpus.

- Przedstawiam ci Marcela, jest twój! Jesteś za niego odpowiedzialny.

Max uśmiechnął się, rozpoznał w kundlu psa swoich marzeń, tak często opisywanego w wypracowaniach. Podbiegł, żeby go uściskać, a tymczasem psiak, rozzuchwalony swą młodością, wymachiwał ogonem, okazując pierwszą radość z posiadania pana.

Już na progu Octave dorzucił:

- Musisz o niego dbać.

- Jest chory?

- Nie, ale bardzo był zmartwiony, kiedy odseparowano go od ojca, przez to zrobił się trochę gwałtowny i dziki, trudno nad nim zapanować; jest raczej nieposłuszny. Wiesz, co mam na myśli... Musisz się okazać stanowczy. Psy to uspokaja, czują się pewniej... ale przecież ty o tym wiesz. Więc nie pobłażaj mu, szczególnie na początku!

- A jak trzeba się nim zajmować?

- Chcesz, żebym ci zdradził sekret? Mój ojciec mi go powierzył, a on naprawdę znał się na nieposłusznych psach.

- Jaki to sekret?

- Nie wiem, czy mogę ci go zdradzić, bo wyda ci się dziwny. A poza tym nie wiem, czy potrafisz, może jednak jesteś na to za młody.

Przez dziesięć minut Octave urabiał Maksa: drażnił jego dumę, wygrywał na pragnieniu, by traktowano go jak dorosłego, i tak wyczerpał cierpliwość młodego Rivière'a, aż ten nie wytrzymał.

- To niesprawiedliwe! Daje mi pan psa, nie mówiąc, jak mam z nim postępować! To nie zabawa!

- W porządku... to całkiem proste. Najlepszy sposób postępowania z bezdomnym psem, zwłaszcza z psem, który już nie ma ojca, polega na tym, żeby dawać mu takie same polecenia, jakie ty dostajesz od mamy. Wszystkie! Dokładnie takie same.

- Łącznie z myciem zębów? - spytał rozbawiony Max.

- Łącznie z myciem zębów. Jutro przyniosę ci szczoteczkę. Kiedy mama każe ci coś zrobić, wykonasz to możliwie najszybciej, żebyś miał czas polecieć to jemu. Ale uwaga, nie wymiguj się od niczego, bo musisz dawać Marcelowi przykład! I miej się na baczności, bo pies wszystko wyczuwa. Człowieka możesz oszukać, okłamać. Ale pies od razu to wie. Jeśli nie będziesz mu dawał przykładu, nie będzie cię słuchał. I na tym polega sekret... sekret mojego ojca.

- A więc dziś wieczorem...

- ...kiedy się położysz, każ mu spać przy twoim łóżku. Nie ma mowy o tym, żeby szedł spać późno.

- A tu, w szkole?

- Czy nie zrozumiałeś, co ci powiedziałem?

- Co?

- Powinien robić to wszystko, co mama każe robić tobie. Bez wyjątku! Wysła cię do szkoły? No więc Marcel też idzie. Wyrażam na to zgodę. Podczas lekcji zostanie na dziedzińcu. A teraz zmykaj! Tylko bądź dla niego miły, on nie ma ojca. Teraz ma już tylko ciebie.

- A jeśli mnie nie posłucha?

- W jaki sposób karze cię mama?

- Wysła mnie do mojego pokoju.

- No to jego też wyślesz do swojego pokoju!

- A jeśli wszystko porozbija?

- A kiedy tobie się to zdarza, co robi mama?

- No właśnie, sama nie wie, co wymyślić. Zapanowało milczenie, które Octave przedłużał, zanim odpowiedział.

- Posłuchaj mnie, Max. Jeśli Marcel wszystko poniszczy, sam będziesz musiał znaleźć rozwiązanie. To niesłuchanie ważne. Ponieważ młody psiak, któremu nikt się nie przeciwstawia, kiedy sytuacja tego wymaga, staje się psem wszechmocnym, a to go przeraża, i wpada w popłoch. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Więc za wszelką cenę musisz wymyślić jakiś sposób, żeby nad nim zapanować, gdyby coś takiego się przydarzyło. Musisz się przygotować na taką ewentualność, ponieważ tak na poczekaniu będzie za późno na jakiś pomysł. Zgadzasz się?

- Tak, tak...

- Masz więc dwie możliwości: albo jutro przyjdiesz mi powiedzieć, co wymyśliłeś dzisiaj wieczorem, albo poprosisz, żebyśmy razem się nad tym zastanowili... Masz wybór!

Właśnie w ten sposób Octave próbował kochać Jeanne, narzucając jej prócz nieznośnego syna jeszcze młodego psiaka. Jednak inna jeszcze sprawa w równym stopniu niepokoiła Rivière'a: siostra Maksa, Bérénice, siedmioletnia dziewczynka, od wyjazdu ojca zaczęła się jąkać. Wspaniała uczennica, zawsze chciała być najlepsza i popadała w głęboką apatię, ilekroć zdarzyło się, że przypadkiem dostała niedobry stopień. Rozmawiając z nią na szkolnym dziedzińcu, Octave uświadomił sobie, że w obecności zbyt urodziwej mamy Bérénice czuje się gorsza, niewarta uwagi, śmieszna z powodu jękania (niektóre słowa powtarzała trzy- lub czterokrotnie). Jej zadziwiające wyniki w nauce świadczyły o tym, że miała o sobie raczej średnie mniemanie, które rekompensowały jedynie dobre stopnie. Zaproponował jej dziecinną zabawę na przerwach: uczenie się pewnego rodzaju języka jawajskiego, którego reguły sam określił; był to język *de-re*. Ta dziecinna gwara wymagała trzykrotnego powtórzenia każdej sylaby, przy czym przy drugim powtórzeniu zastępowało się drugą sylabę głoską „d”, a przy trzecim głoską „r” - na przykład słowo *lubia* stawało się *ludere* - co wymagało ogromnej zręczności i świadomości tego, co się mówi. Żeby rozśmieszyć Bérénice, sam zadowalał się mniej skomplikowaną formą tego języka, podwajając jedynie sylaby.

- Powtarzać trzy razy to dla mnie za trudne. Mam mniejszą wprawę niż ty, od razu się tego nie nauczę.

Tym sposobem w wadzie wymowy Bérénice uznał prawdziwą umiejętność, którą należało pochwalić, tak też przedstawił tę sprawę uczniom. Rozbawione dzieci próbowały z różnym skutkiem posługiwać się *de-re*. Ciekawość sprawiła, że wkrótce na dziedzińcu otoczyło ich duże grono. Powodowana chęcią współzawodnictwa, Bérénice bardzo szybko opanowała ten szczególny język jawajski - przecież we wszystkim musiała być doskonała! Wtedy Octave zaproponował jej kolejne utrudnienie, które mogło jej zaskarbić podziw całej klasy: używać *de-re* w co drugim słowie, co oznaczało - choć nie zostało sformu-

lowane - że na co drugim słowie przestanie się zacinać. I to również jej się udało, ale na tym etapie się zatrzymała. Rivière nie miał już pojęcia, jak ją odblokować.

Oto czego dokonywał pod wpływem ukrytej miłości do Jeanne: odkrył swoje dzieci (to znaczy dzieci Jeanne), zmuszał się, by rozwiązywać ich drobne kłopoty, spowodowane smutkiem wyraźnie czytelnym na dziecięcych twarzyczkach. Jednak mimo demonstrowania dobrego nastroju Octave niemal nie istniał, hamując gorące porywy do małżonki brata. Oczywiście majaczył o tym bez końca, o tym ukąszeniu zmysłów, o namiętności uwięzionej w fizycznej niecierpliwości, która go dręczyła. Tylko Jeanne przynosiła Rivière'owi pociechę; była niby szerokie drzwi, przez które może przejść mężczyzna pragnący osiągnąć wyższy stopień świadomości.

Jeanne tymczasem radośnie szczuplała i denerwowała się wydawaniem kolacji, na które on nie przychodził. Miała ochotę walczyć, nie zatrzymywać się na skraju pożądania. Kompletnie rozstrojona, złościła się na własną przezorność, na uparte dążenie, by wreszcie ktoś wyszedł jej na spotkanie; pragnęła dotknąć tego Rivière'a, który myślami już dawno ją posiadał. Apetyt na Octave'a stał się dla niej drugą naturą, która ją niewoliła, wstępem do pełnego szczęścia, a więc gwałtowną i pilną potrzebą.

Już się nie obawiała ich siódmego spotkania.

TTLR

III

Odpowiadam za to, co odczuwam.

Jacques Salomé

- Dosyć tego! - oznajmiła Jeanne, niemal sztywna ze złości. - Nie mam zamiaru dawać zapewnień, których pan ode mnie oczekuje, i nie chcę pana chronić przed moimi pragnieniami. Poza tym domagam się informacji, czy jest pan Octave'em, czy też Alexandre'em. Te wątpliwości są śmieszne. I nie do zniesienia.

- Skończyła pani? - spytał Rivière ze spokojem, który rozwścieczył Jeanne.

- Nie! - wykrzyknęła. - Domagam się także, żebyś szanował samego siebie, żebyś uszanował pożądanie, jakie do mnie czujesz.

- Co panią skłania do podobnego stwierdzenia?

- Przestań! Jeśli to, co mi dałeś: szczęście, uwolnienie od lęków, poczucie swobody, nie jest miłością to słowa nic nie znaczą.

- Nie zrobiłem niczego, czego nie mogła pani zrobić sama.

- Nie! - poprawiła. - Robiłam tylko to, do czego mnie skłoniłeś. I doskonale o tym wiesz. Jedno z dwojga: albo jesteś Alexandre'em i wróciłeś, żeby kochać mnie tak, jak nigdy kochać nie umiałeś, albo jesteś Octave'em...

- Bo gdybym był Alexandre'em, kochałaby mnie pani mniej?

- Już nie mam do ciebie żalu. Zakończ tę grę!

- A jeśli Alexandre pojawi się jutro lub za osiem dni?

- Dokonałam wyboru.

- A nie przyszło pani do głowy, że jeśli jestem Alexandre'em, to może już nie mam ochoty nim być, a jeśli jestem Octave'em, to wcale nie jestem tak miły, jak się pani wydaje?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Kochając mnie, kogo pani kocha?

- Tego, którego pożądam.

- Nie sądzę, by była pani zdolna kochać mężczyznę, jakim jestem naprawdę; jestem wręcz przekonany, że to niemożliwe.

- Dlaczego?

- Może odpowiem pani za siedemnaście czy osiemnaście minut... nie, za dwanaście. Proszę mi dać tyle czasu, nie więcej.

Skierował się na plażę naprzeciwko szkoły, której rozproszone budynki wydawały się leżeć na brzegu, na wprost fal Pacyfiku, wciąż ponawiającego ataki na tę wysuniętą część wyspy. Kiedy Jeanne została sama, zaczęła rozważać, dlaczego Octave chciał mieć dwanaście minut, a nie siedemnaście czy

osiemnaście, przez co uwagę jej zaprzętał raczej czas trwania tej krótkiej przerwy, a nie jej przyczyny. W ten sposób Octave uniknął dalszych pytań, dzięki czemu zapewnił sobie chwilę na zastanowienie się, bo wahał się jeszcze, czy chce się ujawnić, a poza tym nie był do końca pewien, kim jest naprawdę.

Zadając sobie najrozmaitsze pytania, przez długie minuty maszerował w podmuchach wilgotnego powietrza. Nad nim zwisało brudne niebo, na którym gromadziły się chmury pogłębiające zmrok; cała gromada kumulusów - zapowiedź zgiełku i chaosu nadchodzącego cyklonu. Jak wyjawić Jeanne wszystkie sprzeczności ukryte w jego, tak na pozór klarownym charakterze? Jak przyznać się do mąk powodowanych wrażliwością instynktów, do cierpień wywołanych dążeniem do doskonałości uczuć? A jednak wydawał się gotów, by odkryć przed Jeanne całą prawdę w sposób tak nieskrępowany, że z pewnością wyznanie to ją zdziwi, może nawet przerazi. Nie chciał, żeby kochała kogoś innego. Tylko jego, takiego, jakim rzeczywiście był, tak podwójnego, tak różnego od młodzieńczych marzeń, choć niewątpliwie bardziej ludzkiego, rozpaczliwie ludzkiego.

Kiedy wrócił do Jeanne, siedziała przed szkołą pod drzewem *flamboyant*, okrytym żałobą po kwiatkach zniszczonych przez niedawne tornado. Rivière zdecydowany na wyznania - ale czy to, co miał powiedzieć, odpowiadało prawdzie? czy było tylko manewrem? - uśmiechnął się blado, wypowiedział pierwsze pytanie, zwracając się do Jeanne po imieniu.

- A gdyby Alexandre zbyt kochoł kobiety, kochałabyś go?

- Tak.

- A gdyby nieustannie był rozdarty, zmuszony do wyboru różnego rodzaju szczerości, niezdolny oprzeć się dziewczynom, które potrafią pożądać i mają szczególny talent rozgrzeszania się z instynktów? Gdyby okazał się zbyt wrażliwy na niewiarygodne piękno kobiecych apetytów, czy wówczas byś go tolerowała?

Słowami rozdętymi trawiącą go gorączką Octave opisał nieumiarkowane uczucia Alexandre'a do owych kochanek, które zapoznawały go ze wzniosłością, przydawały mu duszy, łamiąc równocześnie ciało; tych kobiet, które dodawały mu wartości we własnych oczach, podnosiły w hierarchii dzięki namiętym pieścizotom, przenosiły go w stan bardziej ożywionego istnienia. Według tej opowieści - ale skąd Octave mógł tak dobrze znać obyczaje brata? - owe spotkania przybliżały go ku rozpierającemu szczęściu, utrzymywały w oszołomieniu istnienia, dawały wesołość, jaką daje tylko jawnie pożądlive spojrzenie dziewczyny, widoczne w blasku źrenic, przenosząc tym samym w świat radosnej feerii, nie stanowiącej czystej rozrywki, ale budzącej to jedyne uczucie, które pozwala uwolnić się od smutku bycia tylko sobą, jakże kalekim z dala od kobiecych spojrzeń.

- Alexandre nie był taki.

- Ależ był! - Octave nagle zatracił akcent nowozelandzki, w jego słowach brzmiał jedynie cień wymowy angielskiej.

- Skąd to wiesz? - zapytała zdumiona zmianą, której nic nie zapowiadało.

- Bo jestem Alexandre'em.

- Słucham?

- Jestem twoim mężem!

Jeanne zamilkła, otepliała z zaskoczenia, a po chwili uśmiechnęła się. Powtórzyła wiadomość, która w jej pojęciu nabierała wagi zawieszenia broni lub farsy, tego nie była pewna.

- Jesteś Alexandre'em. I chcesz, żebym w to uwierzyła?

- Tak, oczywiście. Taki jestem, absolutnie wolny. Jestem mężczyzną, który kocha kobiety tak, jak można je kochać!

- Gdybyś był Alexandre'em, wszystko, co przed chwilą powiedziałeś, byłoby nieprawdą.

- Dlaczego?

- Bo to tylko słowa, fakty świadczą o czymś innym.

- Jakie fakty?

- Jesteś tutaj, ze mną... wyłącznie dla mnie. Nie wątpię, że jesteś poligamistą, nie wierzę jednak, że ulegasz tym zachciankom i...

Jeanne wybuchnęła śmiechem, tak bardzo ten cień akcentu odbierał wiarygodność całej rewelacji. Alexandre mówił jak paryżanin, bez najmniejszych anglosaskich intonacji. A poza tym były jeszcze te uszy, troszkę bardziej odstające niż u Alexandre'a.

- Octave, skończ tę grę - podjęła Jeanne.

- Jestem ojcem Maksa i Bérénice; zapowiadałem swój powrót kartką pocztową.

- Jeśli jesteś Alexandre'em, dlaczego wróciłeś?

- Dla ciebie. Naprawdę.

- A dlaczego podawałeś się za Octave'a?

- Bo na niego patrzyłaś. Octave - to ja pozbawiony bierności, nowy ja przed tobą, ja odmieniony, zdolny sprawić, byś stała się sobą, ja taki, jakim nigdy być nie potrafiłem. Ja, z którym spotykasz się ponownie...

- A więc dlaczego trzymałeś mnie na dystans?

- Gdybyśmy się kochali, twoje ciało by mnie rozpoznało.

- Nie masz nic z Alexandre'a. Nic prócz twarzy.

Rivière był kompletnie zaskoczony. Na jego nieruchomej twarzy odbiło się wyraźne zdumienie, że nie traktuje go poważnie. Czy z powodu nienaturalnej miny, wystudiowanej pozy? Czy słusznie posługiwał się lekką naleciałością akcentu? W każdym razie trudno przypuszczać, że nie zauważył tych intonacji, on, zazwyczaj tak wyczulony na drobiazgi, które zdradzają człowieka; jednak ku jego najwyższemu zdumieniu Jeanne zabrakło przytomności umysłu, by się w tym zorientować. Wykorzystując niesłychane pomieszanie wywołane swoim postępowaniem, Rivière bezzwłocznie uciekł się do manewru, który trzymał w zanadrzu od chwili przybycia do Port-Vila.

- A kogo kochasz, Kochając mnie?

- Ciebie.

- Nie! Nie znosisz mojej skłonności do kobiet, co jest u mnie czymś więcej niż drugą naturą, jest prawie drugą osobą, bardziej prawdziwą od pierwszej, której podstawowa niestałość jest jej jedyną stałością! Słyszysz? Nie zadowolam się uwielbianiem kobiet, jestem owym pragnieniem, ową namiętnością, która mnie określa, jest moją rzeczywistą tożsamością do tego stopnia, że staje się to przytłaczające. Ale nic na to nie mogę poradzić. Miłość to dla mnie najważniejsza przerwa w przeciętności, która wynosi mnie do góry, pozwala uciec z monotonii codzienności, tak obrzydzącej życie. Jeanne, kochasz swoją wizję Octave'a, kolorowe kłamstwo, nie mnie! Szukam miłości pełnej, dającej mi pewność, że uznany zostanę ja, prawdziwy ja, nie jakiś kadłubek, nie jakiś ustępliwy mąż, tylko ja, zdecydowany myśliwy, którego żadna kochanka naprawdę nie może zaakceptować i który czyni Alexandre'a uciążliwym, niemożliwym do utrzymania.

- A więc... więc co?

- A więc jeśli mnie kochasz, chcę, żebyś mnie kochała bez ograniczeń. Mnie całkowicie prawdziwego! Mnie zgnębiłoby tym, że tak bardzo cię zawiodłem. Przez siedem lat odczuwałem wstyd, że wobec ciebie jestem tylko Alexandre'em Rivière'em. Oczywiście. Śmiertelnie raniło mnie to, że cię rozczarowałem, że nie potrafiłem akceptować twoich emocji tak, jak byś sobie tego życzyła, wspólnie przeżywać twoich złości, uczestniczyć w ogniu twoich uczuć. Owszem, zawsze postrzegałem siebie poza obrębem twoich oczekiwań, kiedy oceniałem twoje wybuchy, twoją subiektywność, która wydawała mi się absurdalna, podczas gdy ty miałaś wrażenie, że odrzucam twoje prawdziwe ja, i traciłaś w tym wszelką miarę. Wydawałaś mi się nagle tak oddalona od rzeczywistości, tak zamknięta w swoich przeczuleniach, zniewolona własnymi emocjami, ilekroć czułaś się nieszanowana, często z powodu drobiazgów, co wywoływało u ciebie wprost niewiarygodne reakcje. I te olbrzymie wymagania, żebym identyfikował się z twoimi szaleństwami, żebym swoim bezwarunkowym zrozumieniem dawał dowód miłości, dowód niemożliwy, chyba że sam również bym oszalał i też stracił resztki zdrowego rozsądku. A w tym całym chaosie byłem ja, nędznik, zawiedziony, że stałem się przyczyną twoich smutków. Trudno znieść to, że sprawia się zawód...

- Kiedy? O czym ty mówisz? - spytała, zwracając się do niego, jakby był Alexandre'em.

- Kiedyś - zaczął z lekkim akcentem nowozelandzkim, którego jeszcze nie mógł się pozbyć - zarezerwowaliśmy pokój w hotelu w Malezji, wybrany przez ciebie z katalogu. Kiedy zjawiliśmy się na miejscu, hotelarz umieścił nas w innym pokoju, równie ozdobnym, ale ty natychmiast uznałaś to za brak szacunku. Wpadłaś we wściekłość tym większą, że ja zachowałem spokój; irytowało cię, że potrafiłem zachować moje rzeczywiste uczucia, zachwyty, że wreszcie tam jesteśmy, i nie poddałem się twojej złości. I oto ja - facet, który przyjechał do Malezji, żeby cię kochać - po raz kolejny zrozumiałem, że cię zawiodłem. Zrozumiałem to w chwili, gdy postawiliśmy walizki: poczułem się zbity z tropu, niezdolny cię uszczęśliwić, bo tak trudno było cię dosięgnąć.

Rivière kontynuował swoje wyznania, mówił, jak mocno był zniechęcony, jak bardzo męczyło go wieczne poczucie niedoskonałości, podkreślane przez Jeanne, której poświęcał za mało czasu, nie potrafił

dotrzymać kroku jej bezgranicznym apetytom, zawsze stawał się powodem jakiejś nowej urazy. Ośmielił się wieczorem w łóżku przeczytać trzy strony powieści? Oczywiście starał się w ten sposób uniknąć rozmowy, próbował po prostu zniszczyć wszelką bliskość między nimi. Któregoś wieczoru wrócił wcześniej? To najlepszy dowód, że mógł częściej tak postępować. Podjął jakąś decyzję, nie uprzedzając o tym Jeanne? Chciał podważyć funkcjonowanie małżeństwa, w którym rzekomo tylko ona troszczyła się o cokolwiek. Stwierdził istnienie jakiegoś intymnego problemu? Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie zwierzył się z tego wcześniej, co świadczyło o braku zaangażowania w ich związek.

Rivière przyznał się również do cierpień z tego powodu, że nigdy nie kochała go takiego, jakim był, tylko takiego, jakim według niej miał się stać. Zawsze dawała mu odczuć, że w ogóle nie zniosłaby jego wad, gdyby nie nadzieje na przyszłość, kiedy wreszcie zrobi się miły, przerobiony zgodnie z jej upodobaniami, gotów dopasować się do jej rytmu. Miłość Jeanne, bynajmniej nie bezwarunkowa, ulegała zmianom zależnym od stopnia dojrzewania, które czujnie sprawdzała. Więzy niedoskonałe były dla niej nie do zniesienia. Głód absolutu ograniczał jej zapamiętanie, jakby zależało jej na utrwalaniu cierpień i żalów, jakby chciała wpadać w złość za każdym razem, gdy miała wrażenie, że nie była brana pod uwagę. Alexandre'a zmęczyły zarzuty, że nie przyjmuje jej świętej prawdy, że narzuca obligatoryjne szczęście. Szczególnie trapiło go to, że nie wiedział już, jak uwolnić ją od niej samej.

- Octave umiał się do tego zabrać z wystarczającą zręcznością, ale to nie on żył z tobą. Nie był narażony na to straszne uczucie: na sprawianie zawodu. A teraz ja też już nie chcę. Rozumiesz? Nie życzę sobie, żebyśmy zawsze mieli powód, który powstrzyma nas przed szczęściem!

- Więc co zrobimy? - spytała Jeanne, dotknięta wyznaniem, które ją przeraziło.

- Godzę się być Alexandre'em.

- ...beze mnie - usłyszała własną odpowiedź. - Miałaś rację, nie mam pewności, czy jestem zakochana w człowieku, którym jesteś naprawdę.

- Widzę, że jesteś wściekła, i zastanawiam się, czy ta złość odnosi się do Octave'a, czy do Alexandre'a. Nie wiem, czy będziesz zdolna pokochać kiedyś tego, kim jestem. Aby tak się stało, niewątpliwie musiałabyś najpierw przez jakiś czas mieć mi za złe, dłużej lub krócej, to nie ma znaczenia, chociaż... Bo nie chciałbym, jeśli to ci się uda, żeby twoja złość minęła zbyt szybko, gdyż nie byłoby to zupełnie szczere, sama przyznasz. Oczywiście wiem, że ta hipoteza nie ma żadnego sensu w chwili, gdy rozmawiamy, nie teraz, ale zdajesz sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja. Nie jest jednak wykluczone, że potem wzruszy cię to, co dziś oburza; nie wiem, czy cię zaskoczy, czy zaakceptujesz uczucie, a może będziesz wolała nie przyznać się do niego, co absolutnie należałoby respektować. Nie chciałbym przyspieszać biegu wydarzeń, popędzać spraw. Nadal miej mi za złe, jeszcze przez kilka tygodni.

- Co powiesz dzieciom?

- A kim jestem twoim zdaniem?

- Octave'em.

- A więc, jeśli w ten sposób czujesz się pewniej, dalej będę dla nich Octave'em. Nie spieszmy się. Do widzenia, Jeanne.

I wyszedł, wystawiwszy się przedtem na ryzyko całkowitego odsłonięcia. Rivière wiedział, że dążenie do miłości bez sprawiania bólu jest nierealne. Reakcja Jeanne bynajmniej go nie zaniepokoiła: zawsze słuchał osoby, która do niego mówiła, nie tego, o czym mówiła, zwracał uwagę na jej istotne potrzeby, nie na piankę jakże ulotnych pragnień.

Jeanne była kompletnie oszołomiona, patrzyła w przestrzeń, niczego nie widząc. Zakończone przed chwilą spotkanie zadziwiło ją, jeszcze przeżywała szok związany z odkryciem tajemniczej osobowości tego mężczyzny. Ale czy był to Octave, czy Alexandre? Jej serce wołało tego pierwszego, miała ochotę wierzyć, że Alexandre rozplątał się w Pacyfiku, aby zrobić miejsce temu mężczyźnie, który tak bardzo przyczynił się do jej udręk. Równocześnie jednak myślała, że jeśli jest to ojciec Maksa i Bérénice, to znaczy, że ten Rivière podarował jej najpiękniejsze tygodnie w dziejach ich związku, ułamek miłości wręcz niewiarygodnej, do jakiej zdolni są tylko szaleńcy o nieograniczonych pragnieniach. Cała drżąca, dostrzegała pod powierzchnią swojej irytacji uporczywy niepokój, bo plany Alexandre'a dokładnie odpowiadały jej marzeniom. Przepełniony romantyzmem, okazał się tak daleki od przeciętnych sztuczek mężczyzn i kobiet, tak wspaniałomyślny i tak oszalały na jej punkcie, by przełknąć wszystkie gorycze, których nie szczędziło mu życie. Jeanne była kompletnie zagubiona, już na zawsze.

Nagle zreflektowała się, uznała, że musiała całkiem stracić głowę, żeby oddalić od siebie takiego mężczyznę, tak nią przejętego, tak zakochanego w jej prawdziwej osobowości, zdolnego przerwać ciąg kompromisów, opętanego przez nią, aż do chęci ucieczki, gotowego zniknąć na czas jakiś, by w ten sposób lepiej dopomóc jej w odrodzeniu. Skala tej namiętności zawstydziła ją. Wybiegła na ścieżkę i zawołała:

- Alexandre!

To imię nagle wydostało się z jej ściśniętego gardła. Rivière odwrócił się, a Jeanne odruchowo biegła w jego stronę, powodowana jedynie pragnieniem objęcia go, obsypania pieścizotami. Zaskoczony, nawet się nie bronił, a te bezładne pocałunki miały smak pierwszego razu, pod jasnym niebem, którego nie mąciła żadna chmurka. Nie miały nic wspólnego z fuszerką zwykłych uścisków - nie, było w nich coś ze wspaniałej niespodzianki, improwizowanej na oczekaniu rozkoszy, pełnej ekstazy, która nie zna przeszkód. Zdradzony przez własne nerwy, Rivière stracił na moment panowanie nad wykalkulowanym zachowaniem, ale zaraz przyszedł do siebie i znowu stał się strategiem. Jeanne wyszeptwała w końcu:

- Chodź, wracajmy do domu!

- Nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyś jeszcze przez jakiś czas miała mi za złe? Nie spieszmy się.

- Chodź...

- Nie akceptuj zbyt szybko tego, co ci powiedziałem. Zależy mi na tym, żebyś pamiętała o swoich urazach.

Rezerwa Rivière'a pomogła Jeanne zapomnieć o rozdrażnieniu wywołanym jego wyznaniem. A kiedy upewnił się, że była gotowa kochać właśnie jego, Alexandre'a, a nie jego uwodzicielskie, kłamliwe

wcielenie, przygasił ich apetyty przypomnieniem, że lada moment powrócą Max i Bérénice. Był nawet na tyle zręczny, by rozpalić zmysły Jeanne, udając, że je studzi. Oczywiście cały dystans, jaki błyskawicznie stworzył między nimi, stanowił dla Jeanne bodziec, by jak najszybciej dopaść tego Rivière'a.

- A wieczorem - dodał - podczas naszej pierwszej nocy zabraniam ci mnie dotykać. Będziemy leżeli obok siebie, zupełnie obojętni. Nie chcę, żeby sprawy potoczyły się zbyt szybko, żebyśmy wrócili do dawnych przyzwyczajęń. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale przez cały wieczór będę unikał patrzenia na ciebie, tak jak dotychczas, choć nie jestem pewien, czy to mi się uda.

- Co?

- Zachować zimną krew. Ponieważ dzisiaj świętujemy nasze siódme spotkanie. Proszę, żebyś się nie gniewała, ale chciałbym ci wyznać coś jeszcze, wspomnienie dość żenujące...

- Co takiego?

- Dawniej, kiedy się kochaliśmy, lubiłem to robić w ciemności, to mi pomagało.

- W czym?

- W wyobrażaniu sobie, że biorę inną kobietę, nie ciebie. To mnie podniecało. Rozumiesz, dlaczego nie chciałem podejmować naszych starych przyzwyczajęń. Ale nie mówmy już o tym...

Wyznanie to zaskoczyło Jeanne. Zraniło jej dumę bardziej, niż dała po sobie poznać, i błyskawicznie wyleczyło z dawnej manii, że może oddać się całkowicie jedynie w kompletnej ciemności. W istocie to ona zawsze nalegała, by nie pokazywać swych kształtów w pełnym świetle, tej perłowej nagości, która wydawała jej się niedoskonała, tego zarysu ciała budzącego w niej taki wstyd, iż udawała, że jedynie w głębokim mroku może się rozluźnić i oddać bez zastrzeżeń. Rivière zdawał sobie sprawę, o co chodziło. Wymyślił więc to kłamstwo, by zapoczątkować nowy manewr. Polegał on na tym, by jeszcze tego wieczoru zmusić Jeanne do pokazania się nago, do czego zamierzał przekonać ją podczas kolacji pośrednimi aluzjami, by zrozumiała, że może być dumna ze swojego pięknego ciała i cieszyć się wrażeniem, jakie wywiera, na co dotychczas sobie nie pozwalała.

Właściwie od samego początku Jeanne panowała nad sobą, oddawała mu się z pewną rezerwą, co uważała za niezbędne, by zyskać czas na spotkanie jego żądz. Ten strach, żeby uściski nie skończyły się zbyt szybko, znacznie ograniczał jego spontaniczność. Bojąc się okazać swoją kobiecość, Jeanne stopniowo straciła zdolność upajania się zachłannością. Porywy kochanki pomniejszyły również dawne rozgoryczenia. W łóżku Alexandre zazwyczaj miał erekcję, zanim ona podjęła najmniejszą choćby inicjatywę. Budziło to w Jeanne nieprzyjemne uczucie, że jej talenty erotyczne nie były wymagane, wręcz nie były potrzebne, jakby jej wysiłki zupełnie się nie liczyły. Ledwie zaryzykowała drobną pieszczotę, nieśmiały gest, a jego zapal niemal natychmiast osiągał najwyższe obroty. Jeanne włączała więc hamulce tam, gdzie kobieta powinna mieć swobodę. Zawsze zachowywała rezerwę, zamiast ofiarować swą ufność równocześnie ze swoim pięknym ciałem, co - jak każdy przyzna - potęguje rozkosz.

Alexandre czuł się odpowiedzialny za jej rozczarowania. Oczywiście bardzo go przygnębiało, że jego miłość, tak niegdyś obiecująca, tak mało szczęścia dała Jeanne, dlatego wyjątkowo starannie przygo-

towywał teren ich ponownego zmysłowego spotkania. Od tej pory on przejmie rolę hamulca, co pozwoli Jeanne stać się inną kobietą. Alexandre nie chciał już się zadowalać Kochaniem Jeanne, chciał doprowadzić do tego, by mocniej pokochała siebie za to, że kocha jego; w ten szalony zamiar chciał zaangażować całą siłę swego pożądania. Prawdziwa miłość, miłość, która nie sprawia partnerowi zawodu, powinna być właśnie taka: kompletnie różna od afektacji dwudziestolatków, znacznie bardziej satysfakcjonująca, bardziej bezinteresowna.

- I to wszystko - zakończył Alexandre.

- Wiedzieliśmy! - wykrzyknął Max.

- Od samego początku - potwierdziła Bérénice.

Właśnie w ten sposób, z pogodną prostotą, zareagowały dzieci, kiedy dowiedziały się, że Octave, ich rzekomy wuj, był w istocie ich ojcem, który podejmuje ogromne wysiłki, by oswoić matkę i znowu prowadzić wspólne życie. Kolacja przebiegała w atmosferze żartobliwej, prawdziwie rodzinnej, jakby sprawa fałszywego bliźniaka była zaledwie błahą anegdotą. Max domagał się kilku wyjaśnień, raczej dla zabawy; tłumaczenia Alexandre'a zdawały się bardzo przekonujące.

- Octave naprawdę istnieje, odnalazłem go w Auckland, był tam nauczycielem francuskiego. Mieszkał pod tym adresem, który wytropiła policja. Jest prawie mną, takim, jakim wolałbym być, mówiącym z lekko angielskim akcentem, który okazał się zaraźliwy. Spędziliśmy razem rok, a potem on wyjechał i zagubił się w południowych Indiach.

Opowieść toczyła się dalej gładko, jakby ją recytował, naoliwiona doskonale i ozdobiona szczegółami, które niemal zbyt idealnie pasowały do policyjnego śledztwa. Alexandre przyznał, że przez chwilę myśleli, by zamienić swoje zdezorientowane egzystencje, pogarszające się równolegle, ale ta nęcąca pokusa pozostała żartem jednego pijackiego wieczoru.

Przez cały czas trwania kolacji Rivière pilnował się, żeby nie patrzeć na Jeanne, ściśle stosując się do tego, co zapowiedział: nie chciał rozpałić zmysłów. Jego uciekający wzrok znowu zrobił na niej wrażenie, ponieważ naturalność jego postępowania wyraźnie wskazywała, jak bardzo boi się pokusy ciała tej kobiety, tak mało wstrzemięźliwej. Jeanne nabrała przekonania, że jest nieodparcie pociągająca, w sposób oczywisty powabna i warta zachodu, gdyż przez cały czas okazywał jej względy. Ta bezbłędna, mistrzowska galanteria dodawała jej pewności siebie, ale również zaskakiwała, bo tego typu wytrwała i uprzedzająca grzeczność nigdy nie mieściła się w nieco szorstkim sposobie bycia Alexandre'a. Kieliszek Jeanne był prawie pusty? Alexandre napełniał go dyskretnie, odwracając przy tym jej uwagę. Dokuczał jej leciutki przeciąg? Przy pierwszym dreszczu okno zostało zamknięte, Jeanne nie zdążyła się nawet zorientować, że powiało chłodem. Zbliżając się do niej, mówił tylko do lewego ucha. Jak człowiek, który wszystko widzi, uprzedzał jej życzenia, nieustannie i niedostrzegalnie bacny; akurat na tyle, by pławiła się w przyjemności, mając to wspaniałe wrażenie, że ktoś odgaduje jej myśli i nie tylko jej słucha, ale także rozumie. Oczywiście przygotował taki posiłek, który mógł ją zadowolić, pięknie go podał przy zapalonych świecach, aby za mocne oświetlenie nie zadawało gwałtu jej świeżej karnacji. Ani razu nie pozwolił jej wstać.

Wypowiadał tysiące aluzji na temat urody Jeanne, co bez trudu rozwiało jej chorobliwy lęk, że nie może się podobać.

Choć Rivière utrzymywał, że jest Alexandre'em, nie mógł przestać być Octave'em. Dzięki szczególnym talentom potrafił podziękować kobiecie, że uczyniła go współnikiem losu, że pozwoliła mu kochać niewyobrażalną gęstość życia, a obecność Jeanne - twórczyni tego upojenia - wydobywała go z wewnętrznego marazmu, napełniła radością istnienia.

Owszem, ich historia nie była wytchnieniem, raczej zdecydowaną próbą wyjścia z przytłaczającego smutku bycia jedynie sobą, czyli kimś nędznym.

- W Nowej Zelandii - opowiadał dzieciom - istnieje plemię, które nam się wydaje brzydkie; wspólnota niezbyt szczerze obdarzona przez naturę, a jednak widziałem tam dziewczyny najbardziej pociągające na świecie. Wiecie, dlaczego? Ponieważ tamtejsi mężczyźni potrafią docenić kobiety, które dzięki temu czują się pewnie i wyglądają wspaniale! Tam kobiety uświadamiają sobie swoją urodę. Ich kryteria są odmienne; na przykład żaden z tamtejszych mężczyzn nie zauważyłby koloru oczu waszej mamy ani wdzięku jej ramion...

- Zauważyłby raczej moje kolana - wtrąciła Jeanne z uśmiechem, tonem, który świadczył, że niezbyt się zachwyca własnymi nogami.

Po posiłku Max zaciągnął ojca na plażę, żeby pobawić się z Marcelem i porozmawiać o jego tresurze. Odkąd żywiołowy zwierzak zakłócał mu życie i bałaganił w pokoju, Max bardzo się zmienił. Rachuby Rivière'a dały zadziwiający rezultat. Naturalnie Max nie przejawiał najmniejszej skruchy, nie wypierał się swoich dawnych postępów, ale przestał się źle zachowywać. Marcel dawał mu straszny przykład tego, na co on sam narażał matkę. Musiał ciągle pilnować szczeniaka i zaczynał wczuwać się w sytuację Jeanne, rozumiał chwile desperacji wobec powtarzających się incydentów, zmęczenie ciągłymi pouczeniami. Niezdolny zapanować nad młodym psem, który niszczył wszystko, Max poznał uczucie zniechęcenia, odkrył ciężar odpowiedzialności. Stopniowo robił się grzeczniejszy, nie opierał się już poleceniom Jeanne. Niemal zupełnie stracił chęć nieposłuszeństwa. Od tej pory przenosił na psa całą surowość, którą na próżno stosowała matka, by opanować jego wybryki. Rivière'owi udało się przerwać buntowniczy cykl.

- Zrozum, on jest gorszy ode mnie - zakończył Max.

- Rozumiem.

- Kiedy zamykam go w pokoju, wszystko niszczy.

- Widzę trzy możliwe rozwiązania - powiedział Alexandre.

Przeciągnął się i ruszył w stronę brzegu, dając Maksowi czas na to, by zapragnął wysłuchać jego sugestii. Rivière wiedział, że nieprzerwana lawina słów nie zostawia słuchającemu wiele miejsca. Zatrzymał się na brzegu ciepłego oceanu.

- No i co? - dopytywał się chłopiec.

- Możesz włożyć Marcelowi kaganiec. Gotów jestem go kupić. Możesz sam zniszczyć niektóre swoje rzeczy, zanim zamkniesz Marcela w pokoju, w ten sposób unikniesz nieprzyjemnej niespodzianki,

bo zło już się dokonało. Możesz też na jakiś czas powierzyć mi Marcela, żebym go nauczył pewnych rzeczy. Czasami trzeba mieć ojca. Nie odpowiadaj mi od razu, może jutro. Jak chcesz.

Tego wieczoru Max zasypiał uspokojony.

Bérénice wydawała się bardziej rozgorączkowana, jąkała się, dopóki nie zasnęła. Zaciągając moskietę nad łóżkiem córki, Jeanne zasugerowała w sposób dość zawołowany, żeby przestali poskramiać swoje apetyty i poszli do łóżka. Rivière uśmiechnął się bezwiednie. Ta powódź entuzjazmu dla jego osoby, ta prowokująca energia, którą tryskała Jeanne - wyraźnie widoczna pod zręczną przykrywką słów - była zapowiedzią przeżycia cudownych chwil; jednak Alexandre chciał jeszcze odsunąć własną kapitulację, przedłużać ten wieczór nad zawsze pełną lampką wina. Chociaż nie ma wątpliwości, że zniechęcił Jeanne do gaszenia światła - informując, w jaki sposób ciemności sprzyjały jego myślowym zdradom - musi jeszcze obudzić w niej chęć pokazywania się nago, chęć, która płynęłaby z wewnętrznej potrzeby. Aby jednak Jeanne mogła czerpać z tego przyjemność, najpierw musi pokochać samą siebie, oczywiście pokochać swoje ciało, ale także osobowość, cierpiącą w jego wnętrzu, bo dopóki własna powierzchowność będzie jej wstrętna, nie potrafi tego docenić. Obraz form, które się na nią składają, ów szkic istniejący w jej umyśle musi zostać wyretuszowany przez artystę, żeby przestała być tą dawną, małą dziewczynką, niszczonej surowym wzrokiem matki, tak zajadłej w krytykowaniu i tak przerażonej możliwością konkurencji ze strony swego dziecka. Alexandre nie zniósłby, żeby Jeanne, jego Jeanne, tkwiła ciągle w okowach przeszłości, uwięziona w dawnym piekle, którego tak nienawidził. Chodziło mu nie tyle o ponowne zobaczenie jej nagiego ciała, ile raczej o przyjemność, jakiej doznaje żona, pokazując się nago, a co byłoby równocześnie ogłoszeniem zwycięstwa nad straszliwą Rose.

- Zastanawiam się, dlaczego przez te wszystkie lata, kiedy się kochaliśmy, nie potrafiłaś się odprężyć przy świetle - powiedział znienacka. - Może w naszych lampach były za mocne żarówki. Czytałem gdzieś, że nadmierna jasność prowadzi do wydzielania substancji ograniczających libido...

- Niewykluczone.

- To musiało być to. Nie widzę innego sensownego wytłumaczenia.

Alexandre mówił o tym jeszcze przez kilka minut, w końcu przekonał Jeanne, że wierzy w teorię światła, które rzeczywiście może zmniejszyć pogodę ducha i osłabić pożądanie; tym razem sam dostarczył Jeanne okazji sprzedania swego kłamstwa, pozwolił córce Rose uniknąć prawdy, którą wołała zataić. Co zresztą i tak by zrobiła! Jeanne mogła więc zachowywać się jak dawniej, z tą drobną różnicą, że nieświadomie zaczęła podporządkowywać się zawołanym poleceniom Alexandre'a. Przyjmując bez zastrzeżeń jej wyjaśnienia, Rivière odbierał Jeanne możliwość ich obrony, a równocześnie zdobywał jej zaufanie, bo nie czuła się już zagrożona, ale bezpieczna pod osłoną niekwestionowanego alibi.

- A więc - kontynuował - podejrzewam, że wszystkie te lampy w naszym pokoju musiały wpływać na ciebie bardzo stresująco, zanim położyłaś się do łóżka, akurat w chwili, gdy pragnęłaś odprężenia. Zwłaszcza że twoja jasna skóra wyjątkowo dobrze odbija światło, lepiej niż skóra matowa. Nie myślałaś o tym?

- Sądysz, że to ma znaczenie?

- Według bardzo poważnego studium, które przeczytałem - oczywiście. À propos, już nie pamiętam, czy twoja skóra jest jasna, czy wyłócona słońcem; nie jest to wyraźne w mojej pamięci.

Jeanne zaczęła myśleć - dość bezładnie - o swoim nagim ciele, o perłowym połysku skóry, choć Rivière w ogóle nie poruszył delikatnej kwestii rozbierania się. Zaskoczyło ją pytanie, czy jej skóra nadal była biała w kraju, gdzie wszystko ciemniało od słońca. A on podstępnie nalegał, by kontynuowała te rozmyślania, pytając z zaciekawieniem, czy zauważyła jakieś zmiany własnego libido pod wpływem działania na skórę promieni słonecznych. Czy podczas jego dwuletniej nieobecności opalała się z gołymi pośladkami? Bez stanika? Czy zadowalała się tylko opuszczeniem ramiączek? Czy zainstalowała w łazience urządzenie pozwalające zmieniać natężenie światła, kiedy brała prysznic? A może zawiesiła w prysznicu ciemną zasłonę, żeby zmniejszyć światło odbijające się od ciała? Jeanne zajęła się tymi całkiem bezsensownymi rozważaniami, dzięki którym jednak miała przez cały czas świadomość własnej nagości.

- Nie - odpowiedziała w końcu. - Nie widzę wyraźnego związku.

- To normalne.

- Dlaczego?

- W tym studium przeczytałem też, że działanie światła na ciało może wywołać skutek odwrotny: podsyćć pożądanie. Wszystko zależy od psychicznych dyspozycji osoby. To zadziwiające, ale tak jest. Ta sama ilość światła stymuluje lub hamuje. Kobiety pobudzone wiedzą, że niedoskonałe ciało wcale nie jest przeszkodą, że wspaniałe piersi i zbyt duże biodra mogą podniecać, że dla wielu mężczyzn ekscytujące są kobiety z paroma kilogramami nadwagi, bardzo kobiece i niemające płaskiego brzucha...

Nawet nie spostrzegła, że on opisywał jej ciało czy raczej wady, które jej dokuczały, i zalety, które dostrzegała; robił to tak, by poczuła, że jej fizyczne niedociągnięcia w oczach niektórych mężczyzn decydują o jej atrakcyjności. Ta myśl trochę ją zaniepokoiła, ponieważ nigdy nie przyszło jej do głowy, by w taki sposób oceniać swoją powierzchowność. Na koniec, chcąc zmusić ją, by przestała oceniać swoją urodę przez porównywanie jej z innymi, dodał:

- Możliwe jest nawet, że kobieta z zahamowaniami nagle zostanie pobudzona przez światło; taka zmiana zachodzi zazwyczaj gwałtownie. Wszystko zależy od tego, kiedy ona uświadomi sobie, że mężczyzna, który ją kocha, nie patrzy na nią przez pryzmat innych kobiet, że patrzy po prostu na nią. A ponieważ nie chciałbym, żeby w tobie zaszła taka zmiana, w każdym razie nie za wcześnie, bo i tak w twoim życiu teraz wiele się zmienia, nie chciałbym, żebyś mi mówiła - i na pewno nie zaraz - których partii swojego ciała nie lubisz.

- Nie mam na to najmniejszej ochoty!

- Oczywiście! To całkiem normalne, że pewne rzeczy chcesz zachować dla siebie. Moim zdaniem najlepiej byłoby, gdybyś nie mówiła, o czym myślisz i czego nie chcesz mi wyznać. Pijąc tę lampkę wina, tu, na fotelu, możesz zdecydować, o czym mi nie powiesz, bo cię to krępuje, i zająć się tym, co naprawdę masz ochotę przedyskutować. Zgoda? Nic więcej. Ale na to nalegam. Masz absolutnie wolny wybór.

Uspokojona tym wstępem, Jeanne powoli wyliczyła wszystkie niedostatki, które jej zdaniem psuły urodę. Od najdrobniejszego braku przechodziła stopniowo do najbardziej krępującego, i ta kolejność pozwalała pokonać zawstydzenie, niwelowała rezerwę, z czego Jeanne nawet nie zdawała sobie sprawy, ponieważ czuła, że może w każdej chwili przerwać.

- Jedna rzecz mnie uderza - wtrącił zniecała Rivière. - Zastanawiam się, jakim prawem twierdzisz, że mężczyzna nie zauważy przede wszystkim twoich fizycznych zalet; jakim prawem sądzisz, że mężczyzna - nie mówię tu o sobie - musi koniecznie najpierw spojrzeć na twoje kolana, zanim zachwycą go twoje oczy? Za kogo się uważasz, żeby decydować za innych? Każdy spostrzega inne rzeczy, każdy ma własne priorytety, czy chce tego, czy nie! Popatrz tylko, co teraz ci pokazuję?

Podniósł prawą rękę na wysokość oczu i skierował palec wskazujący w ciemność za oknem. Na ledwo przygasłym niebie błyszczały już liczne gwiazdy; Jeanne wpatrywała się w palec Alexandre'a.

- Widzę twój wskazujący palec. Dlaczego pytasz?

- No nie, pokazywałem ci gwiazdy, te karaty, które mają blask twoich oczu. Ale ponieważ sam patrzyłem na palec i miałem tego świadomość, ty też spojrzałaś na mój palec - poniekąd zabroniłem ci dostrzec to, co mogłabyś zobaczyć. Pomyśl tylko! Ale wybacź, bo ci przerwałem. Wróćmy do tematu... a więc twoje felery: nie wypowiedziałaś się konkretnie o swoich kolanach i nie bardzo zrozumiałem. Twierdzisz, że niezbyt podoba ci się ich część wewnętrzna czy zewnętrzna?

W ten sposób Rivière uniemożliwiał jej wyrzucenie ze świadomości własnej anatomii, a napięta uwaga, z jaką słuchał tego szczegółowego przeglądu, i czas, jaki mu poświęcał, nie kwestionując ani razu negatywnych ocen Jeanne - co nie zdałoby się na nic, bo była do nich przywiązana - świadczyły o jego gorączkowym zainteresowaniu jej ciałem, a równocześnie odbierały Jeanne wszelką możliwość protestu przeciw temu pośredniemu hołdowi. Wystrzegał się negowania jej ocen, zadając równocześnie pytania z takim wewnętrznym ogniem, który wyraźnie podawał w wątpliwość uczucie, niemal obrzydzenia, jakie Jeanne żywiła do siebie.

Po półtorej godziny drobiazgowego rozpatrywania fizycznych niedostatków Jeanne Alexandre nagle spojrział z absolutną szczerością w oczy swojej żony - ale czy była to jego żona? - po raz pierwszy tego wieczoru. I zadał jej proste pytanie:

- Jeanne, naprawdę myślisz, że spędziłbym tyle czasu - dwie godziny! - na dyskusowaniu o twojej figurze, gdybym uważał, że jest szkaradna? Czy rozmawiałbym o ciele, którego nagości wolałbym nie oglądać?

Potem, nie zostawiając jej chwili na odpowiedź, przewrócił butelkę wina, plamiąc ubrania obydwójga. Natychmiast trzeba było przystąpić do likwidacji szkód. Wysuwając konkretny argument - czas poświęcony dla niej, sprawdzalny, dający się wymierzyć - Alexandre obdarzył ją najpiękniejszym komplem, jaki kiedykolwiek podarował jej mężczyzna. Jeanne, zajęta wycieraniem plam, była tym poruszona i oszołomiona, niezdolna do riposty, a tymczasem Rivière kontynuował:

- Oboje jesteśmy zgodni, że tego wieczoru nic między nami nie zajdzie. Mamy przed sobą długie życie; zresztą powinniśmy od razu coś zmienić, to znaczy przebrać się. Jestem cały mokry!

- Ja też.

W sypialni trzeba było zrzucić ubranie, nie mogli przecież dłużej siedzieć w mokrym. Rivière rozebrał się szybko ze swobodą człowieka, który wystarczająco lubi swoje ciało, by bez niepokoju oferować je kobiecie. Patrzyła na niego ukradkiem, zaskoczona, że w ciągu dwóch lat Alexandre tak bardzo poprawił swoją sylwetkę, wyrzeźbił tak męską figurę, która zresztą natychmiast wślizgnęła się do łóżka. Ale czy to naprawdę był on? Kiedy się rozbierał, zauważyła, że nie stara się być atrakcyjny; Rivière istotnie usiłował ukryć zmysłowość w oschłości i szybkich ruchach, jakby chciał zmniejszyć swoją atrakcyjność. Jeanne z kolei ociągała się niezręcznie, wahajaco, ale potem, czując, że mężczyznę, który ją obserwuje z pewną rezerwą, trudno będzie rozpalić, nabrała nagle śmiałości.

Zapalając ostatnią niepalącą się jeszcze lampę - aby podkreślić, że już nie obawia się światła - Jeanne zsunęła krótkie *pareo*, które służyło za spódnicę, bez pośpiechu, jakby każda chwila liczyła się podwójnie. Obnażając swe ciało, po raz pierwszy w życiu eksponowała odzyskane poczucie własnej urody. A przecież jej nogi nie należały do tych, które umieszcza się na okładkach magazynów, były po prostu zwyczajnie ładne, nic więcej. Pokazywała je jednak z taką przyjemnością i z taką pewnością, że się podobają, iż sam ten gest, tak cudownie, tak szatańsko kobiecy, wprawiał w wibracje ciężkie, wilgotne powietrze. Rivière, daleki od poddawania się instynktom, nadludzkim wysiłkiem panujący nad nerwami, pozwolił sobie jedynie na zwężenie źrenic, jakby patrzył prosto w słońce. Jeanne odsłoniła następnie tę część ciała, która musiała zapierać dech: pokazała plecy, sławetne plecy zachęcające do pieszczoty. Alexandre wyraził słabość jedynie lekkim kaszlem. Zdawał sobie sprawę, że tą rezerwą zachęca Jeanne, by sięgnęła do zasobów swojej kobiecości, by stała się kobietą, której dotychczas nigdy nie potrafiła w sobie odkryć.

Pewna siebie Jeanne nie potrzebowała już wiele czasu, by obnażyć się do końca, i robiła to z dumą; dumą zdawała się promieniować nawet z czubków piersi niby policzek wymierzony Rose. Nastawiła starą płytę i tańczyła ze swobodą Judith, złudnej sąsiadki z przeciwka, która dwa lata wcześniej wzbudziła pożądanie Alexandre'a, a kiedy marzył o niej, ona okazała się jedynie odbiciem jego małżonki.

W tym momencie Jeanne była równie piękna jak niedostępna kobieta, którą pokochał w swoich snach. Ona, dawniej tak wstydliva, tańczyła bez oporów, nie mając żadnych wątpliwości co do swojej urody, przed mężczyzną, który dostrzegał przede wszystkim jej cechy fizyczne, któremu rzekome niedoskonałości - wciąż się przy tym upierała - sprawiały przyjemność, wyraźnie pobudzały zmysły, choć ciągle się przed tym bronił. Każdy objaw osłabienia oporu stanowił triumf Jeanne, pogłębiał szczęście i dumę z powodu posiadania takiego ciała. Rivière zwyciężył: pokonał Rose, uwolnił żonę od cierpienia, że nie kocha samej siebie. Uwielbiać swoją drugą połowę - to było właśnie to: pozwolić na takie wyzwolenie, dopomóc w usunięciu zniewalających ją niepokojów i poczucia winy. Pobudzając Jeanne do zrzucenia tych pęt, Rivière uznał się wreszcie za bardziej godnego uwagi, mniej śmiesznego, wartego uścisku, niemal zasługującego na jej miłość. Niewątpliwie - powtarzał sobie - kobiety są po to, żeby ulżyć naszej męskiej

kondycji, sprawić, żebyśmy czuli się mniej zagubieni, mniej brudni i strapieni z powodu przynależności do naszej płci.

Jeanne tańcem wyrażała radość, że Alexandre okazał się takim, jakim pragnęła go widzieć, mężem udanym, dojrzałym, wyzwolonym z poczucia samotności, czego tak mu brakowało w chwili ich poznania. Teraz Alexandre przejawiał zainteresowanie mężczyzny spragnionego właśnie jej, ożywionego prawdziwą rozkoszą współuczestnictwa, zdolnego do tego, by nie rzucać słów w pustkę. Jeanne rozkoszowała się tym, że ten Alexandre, na którego czekała tak długo, w końcu ją rozbudził, budząc także siebie.

Naturalnie zgwałciła go.

Nazajutrz, kiedy Jeanne otworzyła oczy, doznała szoku. Rivière rozkoszował się jeszcze ciepłym snu, kiedy ona spostrzegła, że zniknęły dwie cienkie blizny pooperacyjne za uszami Alexandre'a. Doszła do wniosku, że lekko odstające uszy są naturalne, a to cudowne ciało nie mogło należeć do jej męża!

Kolejne odkrycie tylko utwierdziło ją w tym przekonaniu: delikatna blizna wzdłuż linii kręgosłupa, jeszcze różowa i miękka w dotyku.

I nagle Jeanne z całą brutalnością uświadomiła sobie, że jej małżonek nigdy nie potrafił kochać się tak jak wczoraj Rivière; z niepohamowaną, niemal dziką żądzą, z lekceważeniem wszelkich zasad, z taką skutecznością w pokonywaniu oporów i dawaniu rozkoszy. Wszystkie improwizowane gesty tej nocy wskazywały na Octave'a: panowanie nad cudownym płomieniem, radosny błysk w oku, zachęcający do pozbycia się wstydu, absolutna zuchwałość zawsze na miejscu i owo nieokiełznanie estety, bez którego miłosne porywy pozostają jedynie pojedynkiem na tępe szable, baletem bez muzyki; Alexandre nie miał takich zalet, jakie cechowały Octave'a, tych zasobów erotyzmu, które nadają miłości, jej zapachom i dźwiękom niebiańskiego posmaku.

Jeanne obudziła go i zapytała:

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego?

Kompletnie zaskoczony, jedynie wytrzeszczał oczy, tak pociemniałe, że w tym momencie wydawały się kluczem do całej osobowości; nieruchomo patrzące oczy kazały zapomnieć o pozostałych rysach twarzy. Po chwili Rivière zauważył, że Jeanne ukradkiem zerka na jego uszy. Wypowiedział zdanie, które zupełnie zbiło ją z tropu, tak bardzo wpadało w jej myśli:

- Zgadza się, moje uszy są takie same, jak były. Musiałem się odnaleźć. Odkryć swoje prawdziwe oblicze.

- Ale nie masz blizn za uszami - rzuciła.

- Co świadczy o postępach chirurgii plastycznej. Kazałem je usunąć.

- A blizna na plecach?

- Wypadek samochodowy w Auckland. Rok w szpitalu, w gorsecie. Dopiero skończyłem rehabilitację.

Od tej rozmowy Jeanne zaczęła podejrzewać, że to Octave wypożyczył sobie tożsamość jej męża. W ciągu tych tygodni, kiedy przedstawiał się jako brat Alexandre'a, musiała się przekonywać, że Octave rzeczywiście istnieje - teraz jednak sytuacja się odwróciła. Upierając się, by przekonać Jeanne, że naprawdę jest ojcem jej dzieci - mimo śladów nowozelandzkiego akcentu! - tylko pogłębiał jej wątpliwości. Ani przez sekundę nie przypuszczała, że jest obiektem nowego podstępu Rivière'a, ponieważ ta powracająca niepewność sprawiła, że pragnęła dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Gdyby chciał rozbudzić w niej ciekawość, kim właściwie jest, nie mógłby się zabrać do sprawy z większą zręcznością.

Tego popołudnia po powrocie do domu zastała rozleniwonego Rivière'a w hamaku pod werandą, pokonanego przez godziny słońca, wypalonego klimatem. Zamyślony, z wypełnionymi jelitami - bo w tej szerokości geograficznej niczego się nie trawi, wszystko jełczeje - notował coś w czerwonym zeszyte, identycznym z tym, któremu Jeanne powierzała kiedyś swoje smutki. Uderzyło ją to podobieństwo.

Podchodząc do Alexandre'a, aby go pocałować, przeczytała tytuł wypisany na okładce dużymi literami, jakby po to, żeby obudzić jej zainteresowanie: *Autobiografia miłości*.

- A więc ty też - zauważyła.

- Tak. I chciałbym, abys obiecała, że nigdy nie przeczytasz tego zeszytu; w każdym razie nie bez mojej zgody i wyłącznie te ustępy, które sam wybiorę.

- Masz coś do ukrycia?

- Nie, ale do powiedzenia w odpowiednim czasie.

- Dlaczego?

- Nie jesteś jeszcze gotowa, żeby teraz dowiedzieć się o wszystkim. Nie chciałbym więc, żebyś szukała tego zeszytu podczas mojej nieobecności. Jeszcze za wcześnie, żebyś go przeczytała. Nie wiem, jak będziesz się czuła, gdy nadejdzie właściwy moment na tę lekturę, ale wiem, że wyczujesz to wcześniej niż ja. Jeśli tak się zdarzy, czego bym nie chciał, i jeśli przeczytasz całość, proszę, żebyś się do tego nie przyznawała, dopóki nie uznasz, że ja mogę się o tym dowiedzieć. Chciałoby się, żeby ta druga osoba poznała pewne sprawy, ale nie zawsze chce się wiedzieć o tym, że ona wie. Zgoda?

Rivière jeszcze przez kilka minut rozwijał swoją retorykę, dopóki nie nabrał pewności, że Jeanne nie potrafi się oprzeć chęci przeczytania czerwonego zeszytu. Z równym zapałem przekonał ją, że po tej lekturze znajdą w niej nieoczekiwane przemiany, jeśli okaże dość cierpliwości.

- Myślę, że możesz się przez chwilę zastanawiać. A potem zobaczymy, czy zdolna jesteś zaakceptować to, co napisałem, tak by odnieść z tego jak najwięcej korzyści. Ponieważ to, co przeczytasz, może spowodować między nami trudną sytuację, oczywiście jeśli nie wydarzy się nic nowego.

Oczywiście Rivière wyolbrzymiał rezultaty lektury po to tylko, by po przeczytaniu zeszytu realizacja jego postulatów wydała się Jeanne dziecinnie prosta. Jeanne jednak nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się upierał, żeby się nie spieszyła.

Osaczając ją męczącymi pytaniami - które jak zwykle nie wymagały odpowiedzi - Alexandre zdołał wytworzyć w niej przekonanie, że ten zwyczajny czerwony zeszyt odmieni ją i nada inny bieg ich związkowi.

Zamyślona Jeanne zaczęła się oddalać, ale nagle się zatrzymała. Zauważył mimowolne skurcze jej rozgorączkowanych warg, ślady irytacji. Weszła do salonu i zobaczyła, że jak zwykle zostawił tam bałagan. Jeanne przełknęła ślinę i z lekko usztywnionym karkiem zbierała porozrzucane rzeczy. Czoło miała zmarszczone jak zawsze w momentach irytacji. Zaczynały się w niej kumulować ukryte niechęci, które przeważnie tała zbyt długo. Nigdy nie umiała rozżłościć się ze swadą, upuścić trochę pary. Po dwóch dniach pojawiały się aluzyjne podteksty: specjalność Jeanne w dziedzinie łagodzenia nagromadzonych urazów. Alexandre'a doprowadzało to do usprawiedliwionej desperacji, która nakładała się na dodatkowe konflikty, błahe pojedynczo, ale w nadmiarze - poważne. Załedwie powrócił do gniazda, a już zaczynał się rozkręcać ów szkodliwy proces, tak początkowo niewinny, a w końcu fatalny, bo skutecznie rujnujący miłość.

Świadom tego procesu - może nawet nazbyt, by jego słowa nie trąciły wyrachowaniem - Alexandre powiedział:

- Jeanne, przepraszam, ale zostawiłem w kuchni trochę bałaganu. Nic wielkiego...

Zlew wypełniały brudne garnki, ze śmierdzącego kosza wysypywały się śmieci, na podłodze wałały się jakieś resztki jedzenia. Jeanne swoim zwyczajem zabrała się do sprzątania, a kiedy w kuchni zapanował niemal idealny porządek, pojawił się Rivière. Ukroił sobie chleba, celowo rozsypując masę okruchów na stół, który Jeanne właśnie wytarła.

- Bardzo cię proszę, mógłbyś uważać - powiedziała, przejeżdżając znowu gąbką po stole.

- Nie - odpowiedział jedynie.

Jeanne zacisnęła szczęki, a Rivière wykonał niezwykle i całkiem nieoczekiwany gest: wziął jajko, pokazał jej i wyrzucił je do góry.

Oszołomiony wzrok Jeanne towarzyszył lecącemu jajku, które rozprysnęło się dużą plamą dokładnie za nią, niemal między jej nogami, w miejscu, gdzie zdążyła zamieść. Z kontekstu całego zajścia nie potrafiła wywnioskować sensu tej prowokacji; ogarnęło ją bardzo nieprzyjemne uczucie ogromnego stresu. Zszokowana swoją reakcją, nie miała dość zimnej krwi, by wyartykułować ironiczną replikę, jak to zwykła czynić; gwałtownie wyrzuciła z siebie nagromadzoną złość, wybuchnęła wściekłością w sposób dotychczas niepraktykowany.

Kiedy skończyła pierwszą długą salwę, Alexandre uśmiechnął się do niej i powiedział z nieoczekiwaną słodyczą:

- To dobrze robi, prawda? Porządna awantura! Następnym razem starajmy się nie doprowadzać do takiej sytuacji. Zastanów się nad tym, błagam. Ze względu na nas. Rozluźnij się!

Jeanne wpatrywała się w niego głęboko zaniepokojona. Impulsywny Alexandre nigdy nie potrafiłby aż tak się okiełznać, zapanować nad swoim zachowaniem z tak pedantyczną premedytacją. Jeśli to nie był

on, był to jego bliźniak. Rivière nie mógł przestać być Octave'em, nie zdołał podporządkować swojej natury zakochanemu taktykowi.

Tego samego wieczoru rzekomy Alexandre wrócił do ich pustelni w porze, kiedy tropikalna noc spieszy, by zakryć pejzaż i ulżyć ludziom i przedmiotom umęczonym słońcem, wyjątkowo dokuczliwym na tej szerokości. Dzieci bawiły się przed domem z psem Marcellem pod surowym kierunkiem Maksa; Bérénice od nowa zaczęła się mocno jąkać.

Rivière niósł dwie doniczki z jakimiś krzaczkami.

- Co to takiego? - spytała Jeanne.

- Dwa krzaczki hebrydzkiego kiwi, sukulenty. Postawimy je pod werandą w donicy.

- A dlaczego dwa?

- Jeden krzaczek męski, drugi żeński, jeden dla ciebie, drugi dla mnie. Potrzebne są dwa, żeby wydały owoce.

- Aa...

- Czy nadal uważasz, że lepiej zostawić rośliny same sobie i nie zajmować się nimi?

- Tak, a dlaczego pytasz?

- Bo ja mam zamiar pielęgnować swoje kiwi, żeby się dobrze rozwijało, ale nie mam specjalnej ochoty podlewać i podcinać twojego. A niedobrze by było, gdyby nie owocowały i nie mielibyśmy zbiorów, bo jeden krzaczek zmarniał. Nie chcę ci jednak narzucać odpowiedzialności, skoro masz to w nosie i nie widzisz powodu, żeby zbierać owoce z tych dwóch drzewek - męskiego i żeńskiego.

- Dlaczego to mówisz?

- Założę się, że twoim zdaniem nie trzeba nic robić, żeby kiwi zaowocowały, bo natura sama da sobie radę.

- Owszem.

- Czy znasz coś żywego, pięknego lub użytecznego, co nie wymagałoby pielęgnacji? Jeśli podasz mi choć jeden przykład, tylko jeden, zobowiązuję się, tu i teraz, że zajmę się krzaczkiem żeńskim zamiast ciebie. Zamiast ciebie!

- Cały las.

- Kpisz sobie? Drzewka się duszą, jeśli się nie robi wycinek. Rzeka, staw, sad, rozarium, związek, trawnik, truskawki... wszędzie to samo!

Jeanne ledwie dosłyszała słowo „związek” zaplątane w tej pospiesznej wyliczance, choć słowo to Alexandre wypowiedział z wyraźnym naciskiem. Chciał wykazać, że nad wszystkim, co żyje, trzeba czuwać, z czego logicznie wynikało, że Jeanne zajmie się swoim krzaczkiem kiwi, ponieważ nie odrzuciła propozycji Alexandre'a. Nie myślała już o tym, ale podświadomie oswajała się z pomysłem.

Rivière kontynuował:

- Z tego, co przed chwilą powiedziałaś, wnoszę, że zechcesz hodować kiwi.

Jeanne miała w głowie lekki zamęt, nie przypomiwała sobie, żeby coś podobnego powiedziała, spytała więc odruchowo:

- A co trzeba robić?

- To bardzo szczególna roślina, wrażliwa, łatwo jej zaszkodzić. Jeśli nie respektuje się jej potrzeb, cierpi i może zwiędnąć, choć na pozór nie wydaje się chora. Ma jednak cechy niezwyklej wytrzymałości, szczególnie ta odmiana hebrydzka. Drzewko żeńskie potrafi samo o siebie zadbać przy odrobinie pomocy, jeśli tylko ma dosyć wody. Może raptownie urosnąć, poszukując niezbędnego światła. Zdolne jest nawet owinać się wokół drzewka kiwi innej płci, żeby za pomocą zwykłego dotyku pobrać od niego niezbędne minerały. W tym momencie drzewko męskie czynnie pomaga, nie szkodząc przy tym sobie. Dziwne właściwości tej rośliny polegają na tym, że zdolna jest do samodzielnego zaspokojenia własnych potrzeb... Ale ponieważ wygląda na to, że nie masz ochoty zajmować się kiwi, więc nie rób tego, przynajmniej nie od razu. Jeszcze nie.

- Dlaczego tak sądzisz? Tego nie powiedziałam...

- Na pewno masz rację. Prościej jest na jakiś czas zostawić to naturze. A skoro się zgadzamy, zabraniam ci w ogóle dotykać twojego drzewka kiwi. Proszę cię nawet, żebyś okazała spontaniczne posłuszeństwo. Spontaniczne! Aj!

Alexandre krzyknął i udawał, że skręcił nogę w kostce, kto wie, może nawet zwichnął. Zbiegli się domownicy i zaczęli pomagać, nikt nie zajmował się cechami hebrydzkiego kiwi ani kwestionowaniem tego, czego Rivière w tak szczególny sposób zabronił Jeanne. Sama Jeanne, wytrącona z równowagi - niby jak miała okazać spontaniczne posłuszeństwo? - długo masowała nadwerżoną kostkę, najwyraźniej zupełnie zdrową, i zastanawiała się, dlaczego to ostatnie polecenie wprowadziło ją w takie pomieszenie. Nie mogła ani go posłuchać, ani się przeciwstawić, bo Alexandre wzywał ją do robienia równocześnie dwóch rzeczy, niedających się pogodzić. W istocie osiągnął swój cel, na pozór bezwiednie: dezorientował żonę i skierował jej myśli na tematy prowadzące do ostatecznego uświadomienia sobie pewnych spraw.

Następnego ranka Jeanne zobaczyła swoje kiwi lekko zwarzone, ponieważ nie zostało podlane, nie najlepiej się czuło w donicy pod werandą. Ciepła noc okazała się dla niego fatalna. Jeanne z filiżanką kawy w rękę, już oblana potem w upale zaczynającego się dnia, nie zemdląła na ten widok tylko dlatego, że nie osiągnęła jeszcze stanu tak złego jak to drzewko. Widząc żeńską roślinkę, tak siostrzanie kruchą, natychmiast zaczęła sobie robić wyrzuty, że posłuchała Alexandre'a. Ze smutkiem rozważała konsekwencje swojej beczynności, mając wyraźny dowód na to, jak nierozsądne było zdawanie się na męża w sprawie owoców ich związku.

Wierząc, że przechodzi do porządku dziennego nad poleceniami Rivière'a, Jeanne podlała swoją roślinę i pomyślała, że powinna pilnie podjąć jakąś inicjatywę, by mogła na nowo rozkwitnąć ich zaniedbana miłość; przy tym zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jakimi drogami przywędrowała do niej ta myśl. Nagle zrozumiała, jak nieostrożne było trwanie w postawie wyczekującej, roszczeniowej, ciągle jałowej rozpatrywanie urazów i żalów. Wyraźnie uświadomiła sobie, że aby przestać mieć za złe Alexandre'owi, musi

przede wszystkim zająć się sobą i zaspokoić własne potrzeby. Ta refleksja, na pozór zupełnie spontaniczna, opanowała jej umysł w chwili, gdy podlewała roślinę wyposażoną w umiejętności tak niezbędne mężczyznom i kobietom. Jeanne nie dostrzegła, że była przedmiotem manipulacji, że jej postanowieniem kierowała przede wszystkim sugestywna wola Rivière'a.

Pragnienie ulżenia Jeanne opanowało tego stratega miłości bardziej niż kiedykolwiek. Całe swoje zaangażowanie wyładowywał w szlachetnych spiskach, obliczonych na to, by nieunikniona manipulacja towarzysząca stosunkom międzyludzkim miała wyłącznie dobroczynne skutki dla kobiety, którą teraz gorąco uwielbiał. Rivière był przekonany, że nie istnieją związki, na które nie można oddziaływać; innymi słowy, nie uważał za konieczne, by krzywdzić partnera mimo woli, kochając na ślepo, poddając się szczerym porywom, tak często strasznym dla tego, kto jest ich obiektem.

Patrząc na parę krzaczków kiwi, z których jeden był do uratowania, Jeanne postanowiła odtąd respektować swoje potrzeby, zerwać z postawą biernej żony i bez żadnych wykrętów wziąć na siebie część odpowiedzialności za losy małżeństwa. Niewątpliwie to Alexandre swoim zachowaniem od dawna pokazywał jej jakby lekko uszkodzony obraz jej samej, kobiety niespełniającej oczekiwań. Ale to przecież ona zgodziła się trwać w tej roli niezbyt sprzyjającej estymie dla własnej osoby. Jeanne zamierzała więc uzdrowić ich związek, biorąc swój los we własne ręce, aby łatwiej oczyścić miłość z bolesnych zadr.

Przez cały czas małżeństwa miała pretensje do Alexandre'a, że nie chciał razem z nią założyć plantacji kokosów i bawełny na wyspie Espirito Santo na północy archipelagu Nowe Hebrydy. Ograniczona do roli żony, roli, która przestała jej odpowiadać, hodowała w sobie gorzkie resentymenty. W zasadzie to nie Alexandre uniemożliwił jej zrealizowanie tego projektu, lecz ona sama zgodziła się poddać i przekazać los w ręce męża. Po raz pierwszy zrozumiała tę prawdę, a także niestałość swoich pragnień, od których odstępowała zbyt szybko na rzecz życzeń małżonka.

Rozpromieniona Jeanne postanowiła porzucić posadę nauczycielki i zająć się bardziej brawurowymi projektami. Najpierw wyprawi się konno w okolice Big Bay, na rzadko uczęszczaną północną stronę wyspy Espirito Santo, na terytorium życzliwego i nielicznego plemienia Big Bay, w poszukiwaniu opuszczonego skrawka ziemi, zagubionego na Pacyfiku, gdzie pewnego dnia będzie mogła zrealizować swoje młodzieńcze marzenia. Poczula, że wreszcie bierze los we własne ręce wraz ze swoim krzaczkiem kiwi; oczekiwała, że to poszerzone pole działania dostarczy jej poczucia spełnienia. Ten nastrój sprzyjał rozkwitaniu jej urody, co było charakterystyczne dla osób uwolnionych z pokusy czynienia sobie wyrzutów, ośmielających się manifestować własną naturę, która nagle przestała być uciążliwa. Jak bardzo twarzowa jest dla kobiet odwaga bycia wolnymi!

Rivière wysłuchał nowiny, unosząc delikatną powiekę.

- Nareszcie! - powiedział.

- Sprawia ci to przyjemność? - dopytywała się niepewnie.

- Plantacja? Nie! Ale to, że się zdecydowałaś - tak!

- Będziesz mi towarzyszył?

- W twojej chęci realizowania własnych pragnień, owszem, ale tam - nie.

- To jak zrobimy?

- Może staniemy się prawdziwą parą...

Tego dnia Rivière po raz pierwszy uwierzył, że Jeanne potrafi stworzyć sobie szczęście pozbawione wszelkich resentymentów, zgodne z tak długo lekceważonymi potrzebami. Poczuł, że może przestać wpływać na nią, położyć kres działaniom realizowanym tak uporczywie i z takim wyrachowaniem, mającym doprowadzić Jeanne do ustawicznego zadawania pytań, na które nie ma prostych odpowiedzi, uczynić z niej kobietę zdolną wyzwolić się z pułapek przeszłości, zdolną wymyślić swoją wolność. Może on sam też wkrótce pozna zawrotną rozkosz poddania się kierowniczej roli Jeanne? Ten strateg intymności marzył tylko o jednym: żeby żona stała się twórcą ich wspólnego losu, żeby w ten sposób pozwoliła mu wkroczyć w okres uspokojonej męskości, okres, którego bez niej nigdy by nie odkrył. Prześladował go jeszcze częściami paraliż mężów, którzy nigdy nie słuchają swojej drugiej połowy; ale był tego świadomy.

Trudno wypowiedzieć smutek bycia mężczyzną, uwięzionym w tym stanie znieczulenia, pozbawionym talentów, które pozwalałyby mu przyjąć prawdę o sobie i dzielić ją z innymi. Kobiety nawet sobie nie wyobrażają smutku tej naszej niereformowalnej samotności, samotności ślepców, którym zdaje się, że widzą; głuchych, którzy sądzą, że słyszą; niemych, którym zda się, że mówią. Rivière potrzebował tylu lat, by pojąć szansę Śpiącej Królowej, która wie od zawsze, w pamięci swej pamięci, co jej przyniesie pocałunek. A on rozpaczliwie czekał na to, żeby go przebudzono, żeby żona wyrwała go z somnambulizmu. Dopiero zaczął rozumieć, jak bardzo mężczyzna potrzebuje, żeby ktoś wyszedł mu na spotkanie.

Przypadek Rivière'ów wywołał w Port-Vila kolejną falę plotek i mnóstwo różnych komentarzy. A więc ten męski Octave to głupekowy Alexandre, ani zbyt interesujący, ani wymowny, który zniknął przed dwoma laty. Wyjaśnienia, jakie złożył władzom, wprawiły majora Webba w nerwowe i uporczywe osłupienie. Jego umysł, usztywniony brytyjską edukacją, mógłby pojąć, że mężczyzna podaje się za swego brata bliźniaka z wyrachowania lub z chęci zemsty za wyjątkowe upokorzenie, nie dokonuje się jednak podobnego oszustwa, aby odnaleźć własną żonę. Tak cklive motywy mogły poruszyć jakąś teściową, ale nie mogły zaspokoić jego pedantycznej dociekliwości, tak obeznanej z prawdziwymi przywarami rodzaju ludzkiego. To prawda, że wzniosłość jest mało wiarygodna. A poza tym major Webb, niezbyt szczodry w bezgranicznych sentymentach, nie wiedział, że miłość może być drogą zbawienia, szeroką bramą pozwalającą uciec od przeciętności, sprawą życiowej wagi usprawiedliwiająca wszelkie wysiłki wyobraźni, ponieważ miłość pozbawiona inwencji nie dotrzymuje żadnej ze swoich obietnic. Jak wszyscy prawdziwi kretyni Webb nie wciągał swego serca w proces myślenia.

Tymczasem Jeanne, pogrążona w przygotowaniach, nie mogła się uwolnić od uporczywej myśli: kim jest Rivière? Te wątpliwości nigdy nie ustaną, jeśli nie uzyska definitywnej odpowiedzi. Toteż w tej chwili jej jedyny problem sprowadzał się do znalezienia czerwonego zeszytu, którego na próżno szukała w całym domu aż do dnia, kiedy znalazła go na lodówce. Zeszyt jakby czekał, by zaspokoić jej wyostrzoną ciekawość.

Czy Rivière zapomniał go schować? Czy specjalnie zostawił? Początkowo podejrzewała zasadzkę, przynętę do jakiegoś większego manewru, tak bardzo jednak pragnęła poznać prawdę, że nie miała wyboru: musiała dać się złapać w pułapkę. Otworzyła zeszyt, przygotowana na bezpośrednią konfrontację z nieprzyjemnymi rewelacjami. Tylko kilka kartek było zapisanych pismem nierównym, pospiesznym, niewątpliwie ręką Alexandre'a. To stwierdzenie natychmiast przyniosło jej ulgę, zbyt jednak krótkotrwałą, bo zaraz ogarnął ją podstępny niepokój i zabrała się do skrupulatnego studiowania niechlujnych bazgrołów. Niepewne kształty liter przypominały charakter pisma Alexandre'a, ale rysunek linijek nie był taki sam, a długopisu na pewno używano z mniejszym naciskiem niż przedtem. Czy to jednak nie było naturalne? Alexandre tak bardzo się zmienił.

Następnie Jeanne zajęła się tekstem. Poczuli się ogłuszona treścią, dostała za swoje, natychmiast ukarana za odwagę. Alexandre pisał szczerze o tym, czego nie mógłby jej zwierzyć bez rumieńca; wyznawał wstydlivą prawdę: stracił zaufanie do własnej żony, odkąd wiedział, że jest zdolna do samobójstwa, do spowodowania nieszczęścia, gotowa zniknąć i zostawić go samego z niemożliwą do zniesienia rozpaczą dzieci, jeszcze tak małych. Ta ewentualna śmierć jako jedno z rozwiązań, ucieczka, na którą chciała sobie pozwolić, postawiła na zawsze mur nieporozumienia między nimi, uniemożliwiła odtąd sytuacje związane wyłącznie z przyjemnością, i nie mógł już być tak szczęśliwy w towarzystwie Jeanne, jak można być szczęśliwym tylko z kobietą. Jego druga połowa stawała się niebezpieczeństwem z opóźnionym zapłonem, zdolna pchnąć go w otchłań rozpacz, zdolna pewnego dnia narzucić mu brutalnie własne cierpienia. On, Alexandre, nie zniesie tego, żeby inna istota ludzka rzucała mu prosto w twarz koszmar swoich osobistych lęków, swoją niezdolność stawienia czoła. Jakby nie wystarczała mu własna niedola istnienia! Jakby nie był już wystarczająco obciążony powstrzymywanymi łzami, napełniony udręką!

A więc, niestety, podczas dwu lat nieobecności ścigał kobiety chętne, dziewczyny mniej niebezpieczne, mniej zarażone uporem życia, a to wszystko - jak wyjaśniał - ze strachu przed strasznym bólem istnienia, na który cierpiała Jeanne. Z zapalem zmuszał się do innych miłości, przekonywał się, że inna kobieta wyzwoli go z tej niebezpiecznej miłości, której nie potrafił ugasić. Usiłował stworzyć sobie zadowalające szczęście w nowych prześcieradłach, poświęcił się bez reszty dotykaniu świeżych ciał gotowych czerpać rozkosz ze wszystkiego. Jednak te wszystkie wydumane namiętności, mnożące się w jego sercu, wspierane kłamstwami, które miały zwodzić także jego samego, nie zdołały uwolnić go od Jeanne, bo jedynie ona czyniła go współnikiem życia. Tylko jego droga żona miała tę moc, tylko ona potrafiła mu pokazać poezję istnienia, zmniejszyć żal z powodu samego faktu przyjścia na świat. Przy niej gorycz kondycji mężczyzny stawała się niemal do zaakceptowania, była mniej dokuczliwą niewygoda.

Alexandre wyznawał na piśmie, choć z przykrością, że kocha swoją żonę, której jednak nie ufa. Owszem, był w niej zakochany, bez ratunku, nawet jeśli wiedział, że instynktowny niepokój każe mu nieustannie poszukiwać innej kobiety, a przyznając się do tego, wydawał się sobie nędznikiem, zdrajcą własnych marzeń, uwięzionym przez własne tchórzliwe reakcje.

Jeanne przyjęła dyskwalifikujące ją wyznania ze źle skrywanym bólem. Buntowała się na myśl, że ten kryzys zaufania jest nieodwracalny, jakby jednym flirtem ze śmiercią wystraszyła go na zawsze. Uświadomiła sobie, że tym uczynkiem z przeszłości niejako nacisnęła guzik wyzwalający wszystkie słabości Alexandre'a, przerażonego myślą, że śmierć może znów zburzyć jego odbudowany świat. W zeszycie dopisał:

Nie bardzo widzę, jak mogłoby się odrodzić moje zaufanie. Aby jednak ten strach mnie nie opuścił, aby uczynić nasz związek jeszcze bardziej niebezpiecznym, wystarczyłoby, gdyby Jeanne przestrzegala czterech podstawowych reguł postępowania.

To zdanie zaintrygowało Jeanne i automatycznie, bez żadnego zastanowienia, nabrała ochoty, by nie podporządkowywać się owym czterem zasadom, które według Rivière'a niemal gwarantowały przyszły rozpad ich związku. Przytłoczona niepokojem z powodu przeczytanych wyznań, bardzo była ciekawa jego sugestii, nie domyślając się jednak, że Alexandre spisał je tylko po to, by dać jej okazję do sprzeciwu. Rivière przejawiał czasami wystarczające wyczucie taktyki, by zachęcić swych rozmówców do niezgadania się z jego uwagami.

Przede wszystkim - pisał - jeśli chcemy mieć pewność, że skutecznie pogłębimy wzajemne urazy, musimy za wszelką cenę w dalszym ciągu obarczać drugą stronę winą za własne wyrzeczenia. Nawet jeśli jest oczywiste, że on czy ona nie przeszkodzili nam bezpośrednio w spełnieniu własnych pragnień, wystarczy sobie wmówić, że wina leży po drugiej stronie i że w żaden, absolutnie żaden sposób nie możemy sami zaspokoić naszych potrzeb. Aby udawało się to w każdym przypadku, rozsądnie jest nie precyzować rozgraniczeń między potrzebami a tym, co mogłoby je zaspokoić. Jeśli Jeanne pragnie trzeciego dziecka, a ja nie, zasadnicze znaczenie ma to, żeby udało mi się ją przekonać, iż jej pragnienie i dziecko, którego chce, to jedno i to samo. Przede wszystkim nie może się zorientować, że to pragnienie jest w niej, a nie-mowlę poza nią, zupełnie odrębnie, w każdym razie po ewentualnym narodzeniu. W przeciwnym razie może wpaść na niebezpieczny pomysł zaspokojenia swojej chęci posiadania dziecka inaczej niż zachodząc w ciężę. Uniknęłaby rozczarowania, co byłoby niemal pewną klęską; prawdopodobnie przestałaby mieć do mnie pretensje. Ten pierwszy punkt jest wprost fundamentalny.

Jeanne uśmiechnęła się; te notatki stanowiły echo jej myśli, kiedy jej krzaczek kiwi o mało nie zmarniał. Z trudem zachowała powagę, czytając ciąg dalszy:

Aby zwiększyć szansę klęski naszego małżeństwa, powinniśmy również zrezygnować z bezpośredniego rozwiązywania trudności. Wystarczy o nich mówić - co pozwala niewielkim kosztem stworzyć wrażenie zaangażowania w rozwiązanie tych problemów - zadając stale pytanie, dlaczego się nie układa, zamiast: jak mogłoby się układać lepiej. Poszukiwanie przyczyn to zajęcie ekscytujące intelektualnie, w dodatku przynoszące rozkosze wyrozumiałości; ma jeszcze ten dodatkowy plus, że skupia uwagę na upajającym śledztwie i z pewnością nie doprowadzi do konkretnych decyzji. Poddając się modnej idei, zgodnie z którą odblokowuje się kryzys przez znalezienie jego przyczyny, powinniśmy ugrzęznąć na dobre. Konklu-

zja: zakaz zajmowania się tym, co naprawdę sprawia cierpienie; trzymać rękę w ogniu, zastanawiając się mądrze, dlaczego ogień parzy.

Trzeci punkt był bardziej zwięzły.

Powinniśmy także nabrać przekonania, że to partner musi się zmienić, jeśli mają zajść zmiany w naszym związku; jest to absolutnie konieczne. Ta zasada jest zasadnicza, jeśli chcemy odebrać naszej miłości wszelkie szanse powodzenia. Jeśli okazujemy dość słabości, by przypuszczać, że tylko dokonanie zmian w sobie może wpłynąć na zmianę drugiej strony, ryzykujemy uniknięcie topieli i możemy nawet stać się ludźmi szczęśliwymi.

Po czwarte, rozsądne jest niewyznaczanie żadnych określonych celów, by ulepszyć nasze wspólne życie. Jeśli jesteśmy na tyle zręczni, by nieustannie formułować życzenia niejasne i mylące, w znaczny sposób zwiększamy prawdopodobieństwo zachowania frustracji. Gdyby Jeanne wykazała nieostrożność i znalazła w każdy czwartek dwie godziny, które mielibyśmy dla siebie, moim obowiązkiem byłoby wyszydzenie tej sugestii, napiętnowanie łatwo przewidywalnego postępowania Jeanne, jakże mało romantycznego, i zaproponowanie, by zdać się raczej na impuls chwili. W ten sposób mielibyśmy większe szanse, że nie spotkamy się przez długie tygodnie.

Wydaje mi się, że te zasady są dostępne dla przeciętnego stadła takiego jak nasze, wymagają przy tym umiarkowanego wysiłku. Ich skrupulatne przestrzeganie zapewni powrót do naszych złych stosunków z przeszłości i przy odrobinie szczęścia także długotrwałość kłęski. Nie mamy obowiązku o tym myśleć, ale możemy się nad tym zastanowić. Jakaś część naszego ja na pewno może wykorzystać te notatki. Nie od razu, ale w niedalekiej przyszłości i w sposób nieoczekiwany...

Poruszona i rozbawiona Jeanne zapomniała poddać krytyce tę dość szczególną deklarację, całkowicie sprzeczną z przewidywanym celem, łatwiej przyszło jej uznać ewidentne wnioski; doskonale rozumiała, czego żądał Alexandre w tak zawołany sposób, choć nie zrobiłby tego otwarcie. Rivière nigdy nie był na tyle naiwny, by rozkazywać; jego wspaniałomyślne słowa zadawały się wskazywaniem drogi, wymyślaniem możliwości. Świadomy tego, że zachęta do kontynuowania zwykłych zachowań może być zręcznym sposobem sprowokowania zmiany - ponieważ Jeanne początkowo z trudem mogła odmówić zrobienia tego, co robiła od dawna - dodawał:

Zanim to wszystko przedyskutujemy, wspaniale byłoby klócić się co wieczór, tak jak nam się to udawało od pewnego czasu; lepiej byłoby jednak naprawdę się do tego przyłożyć zamiast robić to tak bezładnie. Nie musimy się powstrzymywać, być może jednak nie mamy już ochoty opierać się tej idei, w końcu bardziej zabawnej dla Jeanne niż dla mnie.

Dwa zagadkowe zdania na końcu przykuły uwagę Jeanne:

Wkrótce przestanę się wahać między Octave'em a Alexandre'em. Wtedy powiem wszystko.

Nazajutrz Jeanne rzeczywiście miała ochotę pokłócić się z Rivière'em, żeby po prostu poinformować go bez zbytnich fanfar, że przeczytała jego zeszyt. Alexandre użył całego swego talentu, by ta myśl przyszła jej do głowy i by nie podejrzewała w tym jego wpływu; nie był jednak pewien, czy mu się to uda-

ło. Ucieszył się więc, widząc, że Jeanne udaje złość na widok niewielkiego bałaganu, który starannie zaaranżował w łazience. Odparował natychmiast:

- Dlaczego hamujesz wyrzuty pod moim adresem? Jak mamy się przyzwoicie pokłócić, jeśli nawet się nie starasz jasno wyrazić tego, co myślisz?

- Wyraziłam się jasno.

- Kiedy się kłócimy, to o co ci tak naprawdę chodzi? Jakiej reakcji oczekujesz ode mnie? Założę się, że twoim zdaniem nie zasługujemy na szczęście, i dlatego nie wychodzą ci nawet sceny małżeńskie.

- Nic podobnego!

- A może boisz się szczęścia i w ten niezręczny sposób próbujesz go uniknąć?

- Ależ nie...

- Więc wyrażaj się tak, żebym poczuł twój gniew, tak dobieraj słowa, żeby mnie skutecznie trafiły.

Zgoda?

- Kiedy nie myjesz wanny po kąpieli, mam wrażenie, że żyję ze świnia!

- Jaką świnia? - spytał zimno. - Jaśniej precyzuj. Kłótni nie prowadzi się według zasad *savoir-vivre*'u, bo jest zwykłą stratą czasu. Więc bardzo proszę, powiedz to lepiej. No dalej, wrzeszcz na mnie!

Rivière doskonale wiedział, że wymagając od Jeanne określonego zachowania, budzi w niej chęć sprzeciwu. A odkąd odkryła uroki szczerzej złości, której wybuchy niosą taką radość, miała tendencję do korzystania z tego, co było dla niego straszne. Akceptując to zachowanie tak dalece, żeby ją do niego zachęcać, Rivière odzyskiwał panowanie nad sytuacją, którą sam sprowokował. Jeanne nie mogła tolerować podobnej próby wpływania na swoje słowa.

- Nie - odpowiedziała, sądząc, że robi to z własnej woli. - Już nie mam ochoty cię rugać.

- Masz całkowitą rację. To fakt, niby jakim prawem pozwalam sobie, żeby czegoś podobnego od ciebie wymagać? To absolutne nadużycie. Pomyśl o tym następnym razem, kiedy będziesz chciała na mnie krzyczeć. Możesz się nad tym zastanowić lub nie. Jako kobieta wolna i niezależna powinnaś zarezerwować sobie prawo do krzyczenia na mnie, kiedy tylko ci przyjdzie ochota! Chociaż...

- Chociaż co? Robię to, co chcę!

- Oczywiście, zupełnie się zgadzam, ale co to znaczy „kobieta wolna i niezależna”? Rozumiem, że chodzi o kobietę, która jest tego pewna. A czy przypadkiem nie będzie to dziewczyna, która, zamiast wrzeszczeć, potrafi sformułować swoje życzenie, powiedzieć po prostu: „Chciałabym, żeby w łazience był porządek, to by mi sprawiło przyjemność”? Tylko stawiam pytanie, nie odpowiadam na nie. Wyznam co prawda, że zawsze urzekały mnie kobiety, które umiały zająć zdecydowane stanowisko, które wychodziły poza etap narzekania. Jesteś pewna, że nie masz ochoty na mnie krzyczeć?

- Tak.

- Zauważ, że doskonale to rozumiem, bo nie ma sensu zdawać się na improwizację bez dogłębnego omówienia sprawy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałbym, żebyś na mnie wrzeszczała codziennie przez kilka tygodni, by rzeczywiście zrzucić do końca to, co leży na sercu.

- Ale nie mam ochoty, rozumiesz?

- W takim razie od czasu do czasu trochę na mnie nakrzycz, ale starannie dobieraj każde słowo.

Odpowiada ci to?

- Odczep się ode mnie! Nie chcę na ciebie krzyczeć!

- No, skoro nalegasz...

Chcąc zaniepokoić Jeanne i nie dopuścić do tego, by zorientowała się, że nią manipuluje, dodał:

- Czy to prawda, że twoja matka ma rodzaj płetw między palcami u nóg?

- Nie, a dlaczego pytasz?

- Bo wygrałem w totka, niewiele, ale jednak wygrałem!

Po tych słowach oddalił się. Jeanne patrzyła na niego, zastanawiając się, jaki może być związek między palcami nóg jej matki i totkiem. Nie myślała o tym, co jej przed chwilą wbijał do głowy. Rivière czasami uciekał się do praktyk prestidigitatora, złodzieja uwagi, ale z kapelusza wyciągał jedynie przyszłość oczyszczoną z niepotrzebnych cierpień. Ten szczególny człowiek nie znosił myśli, że mógłby podać się nieszczęściu.

W ciągu następnych dni Jeanne miała ochotę - uważała zresztą, że to naturalne - sama zaspokajać swoje wciąż żywe potrzeby. Odkąd nie musiała oddawać Rose dziesięciu procent własnych dochodów, unikała wszelkiego kontaktu z braćmi i siostrami, bo bardzo wstydziła się postawy niewdzięcznej córki - w dalszym ciągu tak oceniała swoje postępowanie. Za to uporczywe zażenowanie zapłaciła stopniowym zrywaniem więzi rodzinnych. Postanowiła więc znowu płacić, co przyniosłoby jej ulgę, gdyż mimo wszystko gnębiło ją poczucie winy.

Założyła konto i postanowiła wpłacać tam co miesiąc jedną dziesiątą zarobków, nie dla Rose, ale dla swoich dzieci, które by mogły korzystać z tych oszczędności, osiągnąwszy pełnoletność - okres kosztownych wyborów. Jeanne nie oczekiwała, że sprawi satysfakcję Rose, chodziło o wewnętrzną potrzebę złożenia daniny rodzinie. Ta sama suma, która do niedawna wiązała ją z przeszłością, miała teraz służyć przygotowaniu przyszłości najbliższych. Podpisując w banku polecenie przelewu, Jeanne czuła się autentycznie szczęśliwa, że może sprawić sobie taką przyjemność; nie potrafiła ukryć emocji, kiedy tłumaczyła bankierowi:

- Gdy Max skończy osiemnaście lat, podzieli pan tę sumę na trzy części.

- Przecież pani ma dwoje dzieci?

- Tak, ale przekaże pan jedną trzecią Maksowi, a jedną trzecią Bérénice. Proszę to zanotować, a ja podpiszę.

- A pozostała część?

- Nie wiem... jeszcze nie wiem.

Jeanne nie przyznała się bankierowi, że kiedyś chciała mieć trzecie dziecko, na co nigdy nie zgadzał się Alexandre. I ta trzecia część to właśnie była jej myśl o trzecim dziecku, którego nie miała, ale z którego nigdy nie zrezygnowała.

Aby mieć całkowitą pewność, że skończyła już z pretensjami do Alexandre'a, postanowiła, że w ciągu dziewięciu miesięcy założy niewielką plantację, którą nazwie Raphael. Łatwo zgadnąć, że było to imię, o którym marzyła i śniła przed kilkoma laty. Więc przez dziewięć miesięcy będzie realizowała ten projekt. Ale wszystko pozostanie w tajemnicy, będzie jej sekretem; Alexandre nie zostanie o tym poinformowany, ponieważ nigdy nie chciał być ojcem jej trzeciego dziecka.

Za to Jeanne pozwoliła sobie powierzyć zeszytowi Rivière'a inne swoje plany. Czyż to nie ona przed laty zapoczątkowała tę spowiedź pod tytułem *Autobiografia miłości*? Pisanie ich wspólnej autobiografii wreszcie stało się aktualne.

Po powrocie z banku zastała dom przewrócony do góry nogami; w salonie wały się poduszki, brudne ubrania i pogniecione pojemniki po jogurcie. Alexandre - jak dawniej - dorzucił akcent osobisty: pomięte i porzrzucone gazety z krzyżówkami, których hasła dawno już odgadnięto, przewrócona lampka wina rozlała się szkarłatną plamą na jasnym dywanie, niski stolik uginał się pod resztkami jedzenia. Jeanne już miała zareagować zwykłym wybuchem wściekłości, ale po chwili przyznała w duchu, że najwyraźniej tylko jej zależy na porządku. A więc to był jej problem.

Zamiast pomstować czy od razu zabrać się do sprzątania postanowiła przede wszystkim opanować silny stres, któremu podlegała, ilekroć znalazła się w podobnie irytującej sytuacji.

- Najpierw ja, potem salon - powiedziała sobie.

Poszła do swojego pokoju i ze wściekłą pedanterią przystąpiła do układania rzeczy w szafach i szufladach. Składała każdą bluzkę, niezwykle starannie dobierała pary skarpetek, układała stare ubrania, powiesiła stos spodni; przestała dopiero wtedy, gdy uznała, że zaprowadziła pożądany ład. Po trzech godzinach gorączki porządkowej poczuła się pogodna, nie miała szczególnej ochoty na sprzątanie salonu, rozbawiona wyzwaniem, jakie stawiała tak niespotykana u niej niedbałość.

Po kolacji nie posprzątała ze stołu, co zresztą przyszło jej z nieznaną dotychczas łatwością; obserwowała z niezadowoleniem, że Rivière starym zwyczajem zasiada przed telewizorem, by obejrzeć film emitowany przez nieregularnie działający kanał lokalny. A przecież cały dzień czekała na tę porę spotkania, na chwilę, w której skończy się jej samotność.

Jeanne pomyślała, że tylko Alexandre'a stać na podobną niedelikatność. Takie grubiaństwo nie leżało w charakterze Octave'a, chyba że wiązałoby się z jakimś założeniem taktycznym. Jeanne zastanowiła się i po chwili przyznała, że odczuwa urazę, gdyż to jej wrażliwość rodzi ten głód intymności i czystym szaleństwem jest szukanie uspokojenia poza sobą, na zewnątrz. Przekazanie tej niezwyklej zdolności komuś innemu zapowiada ponure perspektywy i powracające desperacje.

Jeanne postanowiła więc przemóc swój brak poczucia pełni i poświęcić sobie czas, którego odmawiał jej Rivière, troskę, jaką jej wydzielał. A skoro nie ma ochoty spędzić tego wieczoru z nią, wobec tego sama zajmie się sobą.

Napuściła wody do wanny i siedząc w ciepłej kąpieli, nawiązała wewnętrzny dialog, stała się swoją najbardziej uważną słuchaczką. Stopniowo nabierała wrażenia bliskości z samą sobą, będącej rodzajem

czułości i pociechy. Rozleniwiona słodką świadomością istnienia, wsłuchiwała się w siebie i słyszała wyraźnie własne niezadowolenie. Przez rozpoznanie tego gorzkiego uczucia nie wyzwoliła się oczywiście od niego, nie pozwoliła jednak, by zawładnęło nią i zatrulo ją całkowicie. Zawiedzione oczekiwania przestały budzić niepokój, przybrały niejako naturalne proporcje. Jeanne mogła wtedy pomyśleć, jak w prosty sposób uwolnić się od nich: zamiast zasypywać Alexandre'a wyrzutami, kiedy przyjdzie ziewający po obejrzeniu filmu, wystarczy mu powiedzieć, jaką przykrość sprawiło jej to, że nie spędzili tego wieczoru razem.

Jeanne wzięła pióro i bez ograniczeń zwierzała się wspólnemu zeszytowi: taka szczerota świadczy o zaufaniu. Po raz pierwszy zrezygnowała z marzenia, że zmieni swego męża, z tej nadziei, która powoduje u kobiet nieodwołalne wyrzuty sumienia, nieuchronne rozgoryczenie i brak miłości. Potem Jeanne usnęła, pewna ich namiętności, wierząc w nadchodzący świt.

Nieupiększona opowieść Jeanne wzruszyła Rivière'a i obudziła jego ciekawość. Czytając ponownie zapiski w czerwonym zeszycie, zrozumiał, dlaczego od dwóch dni zapadł w letargiczną ponurość. Dostrzegł związek między szczęściem jego i żony, oczywistą zależność ich nastrojów, tak bardzo różnych. Zaledwie ona poczuła się lepiej, decydując o własnym losie, kiedy on odczuł niezadowolenie, jakby zaniepokojony tym, że nie będzie już potrzebny Jeanne, że będzie musiał zrezygnować z wyznaczonej sobie roli protektora. Wzruszony Alexandre uświadomił sobie, że kiedy dwa lata wcześniej Jeanne próbowała z sobą skończyć - akurat w dniu jego urodzin - do jej depresji przyczynił się jego stan psychiczny.

Jeanne, wyposażona w niezwykłą zdolność empatii, cierpiała niewymownie z powodu tego, co dotyczyło jej bliskich. Czyż niechęć do egzystencji, jaką wtedy okazała, nie była w istocie jego niechęcią? Czy to nie widok jej pędu do nieszczęścia jego samego zmusił do panowania nad sobą? Czyż nie wołała zginąć pierwsza niż znosić to, że on odejdzie przed nią? Nagle Alexandre przypomniał sobie, że w tygodniach poprzedzających pierwszą próbę samobójstwa Jeanne zostawiała na wierzchu swój czerwony zeszyt, jakby chciała, żeby się dowiedział, jak bardzo jest zmęczona tym, że nie czuje się kochana. Czytając jej zapiski, Rivière uświadomił sobie nareszcie, że był wówczas smutniejszy, niż chciał przyznać, udręczony marynowaniem się w tak wąskim świecie, człowiekiem przywykłym już do znudzenia sobą samym, potulnie przeciętnym, mimowolnie skłonny do depresji pokrywanej sztucznymi uśmiechami. W nagłym przeblysku świadomości Alexandre pojął całą prawdę o ponurych cechach swego charakteru, z czym zawsze starał się walczyć; zrozumiał, jak tragiczne skutki miało to jego wieczne zakłamanie dla tych, których kochał.

Jeśli Jeanne potrafiła ocalić go od niego samego - i to z jakim powodzeniem! - dając mu okazję wystąpienia w roli wybawiciela, to on z kolei może podjąć wysiłek zaspokojenia jej potrzeb. Rivière uświadomił sobie, do jakiego stopnia ograniczał się dotychczas w poprawianiu egzystencji Jeanne, żeby uniknąć poprawienia swojej. Czytając notatki w zeszycie, miał ochotę włączyć się w poczynania kobiety, która go zaskakiwała.

Czy potrafi jednak zerwać z dotychczasową rolą nieudanego męża, rolą, której mimo wszystkich zaprzeczeń zdawał się trzymać z takim uporem? Czy wystarczy mu odwagi, by zmienić się w mężczyznę zawsze gotowego usatysfakcjonować kobietę? Kim zostanie, kiedy definitywnie porzuci zachowanie faceta

godnego pożałowania, jakim był od tak dawna? Czasami miernota, ciągła i powtarzająca się, w końcu zaczyna nas kształtować i staje się tworzywem charakteru. Czy potrafi uwolnić się od swoich niedoskonałości, podjąc olbrzymie nadzieje z początkowego okresu ich miłości?

Rivière powierzył te rozgorączkowane pytania wspólnemu zeszytowi, dodając na zakończenie:

Wydaje mi się, że gdybyśmy dzisiaj mieli trzecie dziecko, byłoby dzieckiem innego człowieka. A gdybyśmy to zrobili na swojej plantacji?

Czytając te trzy linijki, ten krótki wybuch radości, Jeanne wiedziała, że pewną drogą zmierza ku szczęściu. Była równie przekonana o tym, że nie da się zmienić postępowania drugiej strony inaczej, jak ośmielając się samemu ruszyć tą drogą. Przecież nie powiedziała Rivière'owi ani jednego słowa, które świadczyłoby o tym, że marzy o trzecim dziecku. Zadowolila się jedynie tym, by nie zaniedbywać tej niewygasłej jeszcze potrzeby, a samo życie, dobry partner, jeśli traktujemy je po przyjacielsku, zadbało o dostarczenie niespodzianki.

Widziała przed sobą giętkie drzewa poddające się trudnemu do zwyciężenia wilgotnemu wiatrowi, ciepły podmuch pasatu nagiął wszystko z siłą, dzięki której przyroda zatracala tropikalne otępienie. Na plaży dzieci zanurzały swą bezpłciową nagość w płynnym chaosie oceanu, fale pożerały umierającą plażę, pokrytą pianą. Okres cyklonów dobiegał końca. Jeanne miała wrażenie, że uczestniczy w przebudzeniu świata, który stał się bardziej rozległy, odkąd nie oczekiwała niczego, czego sama nie mogła sobie podarować. Swoim depresjom i zwykłej goryczy istnienia we dwoje przeciwstawiała teraz te zdolności, z których wcześniej nauczyła się nie korzystać.

Otworzyła *Autobiografię miłości* i zajrzała na dalsze strony zeszytu Rivière'a.

Jeanne,

chciałbym na tych kilku stronach napisać całą prawdę o sobie. Mam tendencje do niewierności, to fakt, a ty wybiłaś mnie z naturalnego rytmu. Jesteś nieoczekiwanym zjawiskiem, które zachęciło mnie, bym stał się lepszy; bym stał się człowiekiem, który pewnego dnia potrafi dać ci szczęście na Wyspie Świętego Ducha. Twoje urazy były dla mnie najlepszą wskazówką, jak złapać wiatr w martwe żagle naszej miłości. Nie chcę już kochać cię powolutku, żeglować oszczędnie. Odnalazłem się w masie twoich przykrych zawodów.

Alexandre przestał istnieć. Zniknął w Auckland, dzięki wypadkowi samochodowemu, który na rok przygwoździł mnie do szpitalnego łóżka, udręczonego smutkiem. Poeta ma rację: „Każdy z nas w każdej swojej miłości niesie odpowiedzialność za całą miłość na ziemi”. Obraziłem miłość, narzucając ci mój brak uwagi, obraziłem twoje marzenia zaniedbaniem, wyszydziłem tak piękne oczekiwania. Owoce moich rzekomych namiętności obnażały własne braki; fałsz moich deklaracji świadczył o tym, jak dalece nie dorastałem do swoich porywów.*

* Christiane Singer.

Na tamtym żelaznym łożu zrozumiałem, że byłeś ze mną przez siedem lat, ale ja nie byłem z tobą. Widziano mnie uśmiechniętego u twojego boku i uważano, że jestem szczęśliwy; raniło mnie to, że raniłem ciebie. Wtedy zrodziło się we mnie pragnienie, by złagodzić twą gorycz, zniwelować urazy, wyzwolić cię z niewoli dawnych lęków, krępujących przekonań, okrutnych zjaw z twojego dzieciństwa, które psuły twoje wyobrażenie o sobie samej. Usilnie chciałem stać się mężczyzną na miarę twoich oczekiwań, zdolnym oddać się tobie całkowicie, umiejącym przekonać cię do kochania siebie samej. Moją ambicją pozostało to, żebyś darzyła siebie ową pogodną miłością, która chroni przed egoizmem i całą resztą.

Octave - którego odnalazłem w Nowej Zelandii na kilka tygodni przed wypadkiem - często przychodził do szpitala dotrzymywać mi towarzystwa, Przez wiele miesięcy był niemal stale obecny, niewiele mówił, ale swoim milczeniem dawał mi dowody współczucia, którego tak potrzebowałem. Widząc go niemal codziennie, widziałem siebie w tym sobowtórze siedzącym obok mnie, okazującym mi swe niezaprzeczalne uczucia, co wyrażało się w tym, że poświęcał mi tyle czasu. Słuchał moich słów, moich przemilczeń; pasjonowało go to, co zatajałem i co zdradzało moje ciało.

Pewnego ranka, kiedy nie mógł zostać w szpitalu, wpadł na pomysł, by na oparciu krzesła przyczepić zdjęcie nas dwóch z dzieciństwa. W ten sposób nawet nieobecny wpatrywał się we mnie. Początkowo ten pomysł wzbudził mój uśmiech, ale w końcu pomógł mi zachować złudzenie, że jestem obiektem troski Octave'a. Innym razem wyciął ze zdjęcia swoją podobiznę i odrzucił, potem przypiął do krzesła moje zdjęcie - byłem tak podobny do niego - nie dodając żadnego komentarza.

Patrząc na zdjęcie własnej twarzy, zrozumiałem, że mogę sam sobie dotrzymywać towarzystwa, poświęcić sobie samemu maksymalną uwagę, którą dotychczas on mi okazywał.

Za pomocą zdjęcia, pineski i nożyczek Octave przekonał mnie skuteczniej niż słowami. To doświadczenie dało początek mojemu wyrażaniu się innym językiem, którego Octave nauczył się od swego starego nauczyciela, pana Ericksona.

Unieruchomiony, nauczyłem się żyć z sobą samym, co nie leżało w moich zwyczajach, a ta nowa intymność pozwoliła odkryć cud autentycznego poznania samego siebie, co jest wstępem do każdej prawdziwej miłości. Oczy mi się otworzyły, a myśl wniknęła głębiej pod powierzchnię rzeczywistości. Przestałem rozpamiętywać własne życie, nauczyłem się, jak się w nim zadomowić; przestałem się nudzić z samym sobą. Mój brat wyjechał do Indii, a Alexandre niszczył się stopniowo, by stać się Octave'em. W miarę jak opuszczałem samego siebie, moje ja przestało mi ciążyć i przejąłem tamto imię. Nie mogłem już być tym okrutnikiem, który pogrążył cię w takich cierpieniach.

Następnie uparcie budowałem swój charakter, ciało podobne do brata i taki sposób trzymania głowy, który mógłby unieść moje nowe spojrzenie na ciebie. Zachowałem tożsamość Octave'a, wypożyczyłem od niego akcent, aby stać się dla ciebie zagadką. Pojawienie się na Nowych Hebrydach pod postacią brata bliźniaka było chwytem taktycznym, który miał cię zmusić do myślenia o czymś innym niż o dawnych urazach. Tym sposobem skoncentrowałem twoje wątpliwości na określonym problemie. Zamierzałem w ten sposób zmusić cię do odstąpienia od dawnych zachowań, a przekonując stopniowo, że jestem Octave'em -

wyleczyć cię z uprzedzeń do mnie. Moim usilnym pragnieniem było danie ci okazji pokochania mężczyzny, jakim zawsze chciałem być, i ponowne z tobą spotkanie.

Ten fałsz opierał się na szczerej nienawiści do takiego Alexandre'a, jakim byłem, do nędznika, który nie potrafił zapewnić ci tej absolutnej pełni szczęścia, na jakie zasłużyłaś. Później, wyznając ci prawdziwą tożsamość, postarałem się, aby nie opuściły cię wątpliwości, chciałem bowiem zostać obiektem twej niepewności, żeby moja obecność wywierała na ciebie ten niemal hipnotyczny wpływ, który zresztą wykorzystalem, żeby wyzwolić cię z najbardziej zgubnych nawyków. A potem nie mogłem się zdobyć na zerwanie z tym fałszywym mną, który był tak prawdziwy, z promienną osobowością Octave'a, którym chciałem być od chwili urodzenia. Nie możesz sobie wyobrazić, jak nieznośnie jest być tylko Alexandre'em Rivière'em, wiecznym nieudacznikiem. W charakterze mam tyle małostkowości, tyle wymagań przekraczających możliwości, tyle nieosiągalnych marzeń, że Octave objawił mi się jako nadzieja na ulgę.

Rozumiałem oczywiście, że niepokoją cię moje pociągnięcia strategiczne i zręczne metody, nie potrafiłem jednak ograniczyć się do kochania, nie obciążając tego słowa szaloną ambicją. Jeśli moja miłość nie pozwala ci cieszyć się, że jesteś sobą, to znaczy, że nie jestem jej godny. Jeśli moja miłość pozwala ci wątpić we własną wartość i urodę, to wstydzę się być twoim kochankiem. Jeśli moja miłość sprawia, że czujesz się bardziej samotna ze mną niż beze mnie, to oddychanie nie ma dłużej sensu.

Kiedy zrozumiałem, że niedobra miłość może cię doprowadzić do zagłady, zazdrościłem ci tego, że jesteś tak żywa, aż śmiertelna, tak cudownie krucha. Kiedy poczułem, że byłbym zdolny przeżyć twoje samobójstwo, podziałało to na mnie jak znieczulenie; byłem już niewątpliwie martwy, nie odczuwałem bowiem żadnego z bolesnych nieszczęść naszej miłości, a ty czułaś je wszystkie. Tak, Alexandre to kundel, który nie umiera z miłości; cwaniaczek w marynarce gotów układać się z przeciętnością. Temperament Octave'a bliższy był nieskończoności.

Skoro mi mówisz, że Bérénice już się nie jąka... (To zdanie uderzyło Jeanne, przecież żywo interesowała się córką. Natychmiast zaczęła się zastanawiać, jakim cudem mogła poinformować Alexandre'a o czymś, o czym sama nie wiedziała. Kontynuowała więc lekturę trawiona niepokojem)... to może masz ochotę dopomóc mi w tym, żebym żywił do siebie mniejszą nienawiść, abyśmy wszyscy byli szczęśliwi, rododendron wspólnego życia. (Dlaczego, u diabła, użył słowa „rododendron”? Ten absurd jeszcze bardziej ją poruszył). Zastanawiam się nawet, czy wcześniej lub później nie znajdziesz przyjemności w tym, by mnie popierać z właściwą ci wyobraźnią. Oczywiście, tylko od ciebie zależy, czy podarujesz mi ten prezent. Możesz jednak znaleźć szczególną przyjemność w manipulowaniu mną, w tworzeniu warunków niezbędnych, żebym zaczął szanować samego siebie. Nie wiem, czy to pragnienie narodzi się w tobie bez trudu, mimowolnie, czy też będziesz go świadoma; nie jestem pewien, czy będziesz miała okazję powiedzieć mi o tym, wiem jednak, że bez ciebie nie zdołam pokochać człowieka, który wyznaje dzisiaj swój wstręt do siebie.

Na dole strony Jeanne zrobiła dopisek zakochanej kobiety:

Alexandre, kiedy kochaliśmy się ostatni raz, miałam trzy orgazmy z rzędu, ale ukryłam to przed tobą, żebyś nie przestawał! Nie musisz mi wierzyć, ale możesz o tym pomyśleć jutro, później albo od razu.

Wątpię, czy dostrzeżesz w tej rewelacji bezpośrednią odpowiedź na swoje zawołane pytanie, komplement zbyt dogodny, by nie był wykalkulowany. Ale jeśli mnie pytasz, jakie jest niebo, a ja ci mówię prawdę, czy to moja wina? Co powiedziawszy, zrozumieć doskonale, że wolisz zapomnieć o tej informacji, jeśli wyda ci się kłamliwa. Zlekceważ ją, proszę. Już mam do siebie pretensje, że ci ją powierzyłam. Zapomnij te słowa, których nie mogę wydrzeć, nie niszcząc twojego wyznania, tak pięknego, które zapisałeś na odwrocie tej strony. Wymaż to zeznanie.

Naturalnie Alexandre nie mógł się powstrzymać od myślenia z satysfakcją, że jeśli Jeanne była szczerą, to osiągnął istotnie doskonałość (trzy razy!); ta myśl pochlebiała mu, dokładnie trafiała w jego niepokoje. Pozwolił więc sobie na trochę śmieszna słabość, by uwierzyć Jeanne, i nawet nie próbował się przekonywać, że przecież mogła skłamać.

Jeanne i Alexandre zaczęli swoje najlepsze lata. Z ufnością wkroczyli w szeroki korytarz szczęścia, wierząc w rododendrony swojej namiętności. Aby przestać potykać się o przeszłość, mieli świadomość - tak jak my wszyscy - że mogą liczyć na wiedzę, o której posiadaniu jeszcze sami nie wiedzieli.

14 kwietnia 1998 - 14 kwietnia 1999